

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/591

1996



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

J. TRYBUSIEWICZ:

DWA TRÓJKĄTY I JEDNA OBSESJA

A. STROŃSKA: **NAD SMOTRYCZ, ZA ZBRUCZ**

L. NEUGER: **NOBEL DLA CZYSTEJ POEZJI**

K. WOLICKI: **PANOWIE NA „K”**

**INDEKS AUTORÓW I TEMATÓW
ROCZNIKA „KULTURY” ZA ROK 1996**

SPIS RZECZY

Janusz Trybusiewicz:	<i>Dwa trójkąty i jedna obsesja</i>	3
Anna Stronńska:	<i>Nad Smotrycz, za Zbrucz</i>	16
Mariusz Wilk:	<i>Sołowki, czerwiec</i>	30
Leopold Neuger:	<i>Nobel dla czystej poezji</i>	41
Wisława Szymborska:	<i>Rachunek elegijny; Nic darowane</i>	48

ARCHIWUM POLITYCZNE

Basil Kerski:	<i>Francja–Niemcy: anatomia partnerstwa</i>	51
Wsiewołod Czaplin:	<i>Neutralny – lecz nie obojętny</i>	59

KRAJ

Krzysztof Wolicki:	<i>Panowie na „K”</i>	65
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	75
Czesław Bielecki:	<i>Warszawa–Paryż</i>	92

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Martyn Harris:	<i>„Już mi łatwiej spojrzeć w oczy śmierci”</i>	96
Tomasz Mianowicz:	<i>Ścisłe tajne z Watykanu</i>	102

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	111
---------------	------------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Grzegorz Godlewski:	<i>Portrety autoportrecistów</i>	117
Renata Głowacka:	<i>Pismo artystyczne „Format” (Rozmowa z Andrzejem Sajem)</i>	125
Jadwiga Maurer:	<i>Nowojorska konferencja o Józefie Wittlinie</i>	129
W. Zagórski:	<i>„Laboratorium bez murów”</i>	132
Piotr Daszkiewicz:	<i>Wileński miłośnik storczyków</i>	134
–	<i>Nagrody</i>	138
–	<i>Lista członków wspierających Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu</i>	139

NOTATKI REDAKTORA 141

KSIAŻKI

Maria Danilewicz		
Zielińska:	<i>Gorące popioły</i>	144
Piotr Wandycz:	<i>Zapomniana książka</i>	149
Zbigniew Baran:	<i>Portrety mistrzów</i>	151
–	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	152
–	●	
–	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	155
–	●	
E. Berberysz:	<i>List do Redakcji</i>	158
–	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	158
–	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1996</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień/Décembre 1996

INSTYTUT  **LITERACKI**

**REDAKCJA „KULTURY” SKŁADA
SWOIM PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE**

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Zbigniew Brzeziński, McLean, VA (USA) po raz 21-y – dol. 500,00	F. 2.500,00
Dla uczczenia pamięci inż. Fryderyka Topolskiego i dr. Andrzeja Semkowa – Wojciech, Caroline i Noemi Topperman, Downsview, On. (Kanada)	F. 400,00
Aleksander Frejszmidt, Toronto On. (Kanada) – po raz 8-my	F. 130,00
Ilse Maybach, Heilbronn/N (Niemcy) – po raz 33-ci	F. 400,00
Bohdan Paczowski, Luksemburg	F. 1.500,00
Elżbieta Piórkowska, New York – po raz 8-my – dol. 34,00	F. 170,00
François Prause, Chiangmai (Tajlandia) – po raz 42-gi	F. 300,00
Zofia i Kazimierz Romanowiczowie z córką Barbarą, Paryż – zamiast kwiatów na grób Władysława Szomańskiego, zmarłego 11 listopada 1996 w Londynie – od zawsze Przyjaciela naszej rodziny	F. 500,00
Lusia i Marek Stauber – zamiast kwiatów na grób Przyjaciela Janusza Warmińskiego	F. 300,00
Marek Stroba, Chicago, IL (USA) – dol. 50,00	F. 250,00
Longin E. Sztachanski, St. Petersburg, FLA – po raz 44-ty – dol. 20,00	F. 100,00
T.M.I., An Arbor, MI (USA) – po raz 13-ty – dol. 500,00	F. 2.500,00
Zapis testamentowy Jana Furdaka, naszego wiernego czytelnika i Przyjaciela, przekazany nam przez biuro Paul Blachiera, notariusza w Orleanie	F. 15.265,39
Henryk Zegadło, Soller, Mallorca (Hiszpania) – po raz 7-my – DM 15,00	F. 50,00
Bezimiennie z Australii	F. 35,00

DZIEKUJEMY !

Dwa trójkąty i jedna obsesja

Dzisiejsza polska myśl polityczna jest zadziwiająco pragmatyczna, pozbawiona niemal całkowicie wizji historycznej. Króluje w niej jedna obsesja: lęk przed Rosją i jedno kurczowe pragnienie: jak najściślej przyłgnąć do Zachodu. Karierę robi mityczny „trójkąt weimarski”, mile głaszczący naszą próżność narodową, choć pozbawiony, jak się zdaje, jakiegokolwiek głębszej treści politycznej. Mówi się o „Europie ottońskiej”, niezrealizowanym marzeniu Ottona III by poszerzyć Europę karolińską o Polskę – i tylko o Polskę. Spojrzenie nasze zwrócone jest jednolicie na Zachód. Nawet Ukraina widziana jest w Warszawie przede wszystkim – jeśli nie wyłącznie – jako naturalny sojusznik wobec Rosji. Odzywa się stary kompleks „kresów”, kraju położonego na przednim skraju obrony.

Warto postawić pytanie: czy takie widzenie międzynarodowej roli i miejsca Polski powinno być dogmatem naszego politycznego myślenia?

Dla uniknięcia nieporozumień, jedno na początku muszę powiedzieć dobitnie: podzielam pogląd, że nie ma dla Polski alternatywy wobec przystąpienia do Unii Europejskiej i NATO. Tu – na szczęście – nie ma wahań i dyskusji: panuje rzadka zgodność narodowa.

Ale poza tym wszystko jest otwarte. Powszechne jest u nas błogie mniemanie, że moment formalnego wejścia do UE będzie ostatecznym dotarciem do mety, a potem to już tylko ustawiczny bankiet, na którym inni troszczyć się będą o menu. Widzimy w Unii monolityczną całość, podczas gdy nawet jednonarodowe Włochy nie są jednolite. A im więcej

państw wchodzić będzie do Unii, tym bardziej, siłą rzeczy, stawać się ona będzie obszarem zróżnicowanym, na którym przemieszczać się będą centra siły, wpływu i dynamiki. Dlatego nasze przystąpienie do Unii nie tylko nie zamyka, a wręcz otwiera problem międzynarodowej roli, miejsca i znaczenia Polski.

Mogłoby się wydawać, że jakieś elementy doktryny już istnieją: często powtarza się, że Polska winna być nie przedmurzem, lecz „pomostem” Europy. Bieda w tym, że nikt na dobre nie zajrzał temu pojęciu w zęby. Zapytajmy: jakim pomostem? Autostradą? To akurat oczywiste, ale cóż jeszcze miałoby przez Polskę przechodzić tranzytem takiego, czego Rosja i inni nasi wschodni sąsiedzi nie mogliby wziąć sobie bezpośrednio z Zachodu? Ja przynajmniej nie widzę tu nadmiernych możliwości, by nie rzec: praktycznie żadnych.

Widziana realnie Polska jest dziś ubogim, płaskim krajem o mizernej gospodarce, nieznanym nikomu na świecie z imienia produktach i kulturze, którą w najlepszym wypadku kwituje się kurtuazyjnym komplementem. Jest krajem ubocza, któremu przydarzył się Szopen.

Jeśli nie ma takim krajem w wyobraźalnej perspektywie historycznej pozostać, Polska ma tylko jedną naprawdę realną szansę: iść razem z sąsiadami. Tylko kupą, mości panowie!

O realnym układzie sił i wpływu decydują dziś nie imperia (jak przedwcześniej), nie bloki (jak wczoraj), a strefy ekonomiczne. Pośród innych, poważnych, jest jedna, dość osobliwa: amorficzna jeszcze, fermentująca, nędzarska, niepewna siebie, pełna kompleksów i fobii, ale dynamiczna, chciwa, drapieżna, gotowa do historycznego skoku. To strefa środkowo-europejska.

Tu właśnie znajduje się miejsce Polski. I choć nasze irrealne marzenia i snobizmy ciągną nas po staremu ku „Paryżowi”, życie z nagłą siłą narzuca inny kierunek. To nie „trójkąt weimarski” a „trójkąt brzeski” jest naszym najbardziej naturalnym aliansem. (Dla uniknięcia zbędnej polemiki: pojęcia „trójkąt brzeski” używam czysto symbolicznie, ponieważ po prostu nie wiem jaka jest, czy miałyby być, treść polityczna tego układu w intencjach jego projektodawców).

Wiele ze sobą łączy kraje tej części Europy: geograficzna bliskość i komplementarność, wspólnota historycznego

doświadczenia, podobieństwo klimatu kultur narodowych, podobny stopień gospodarczego rozwoju i – *last but not least* – wspólna zawiedziona miłość do Zachodu.

Czy to wystarczy na jakąś formę integracji? Bóg raczy wiedzieć. Dziś widać jedno: choć stare, oficjalne więzy zostały zerwane, w ich miejsce powstają nowe związki. W polityce trwa ciągłe poszukiwanie formy dla jakiejś jedności: grupa wyszehradzka, Inicjatywa środkowo-europejska, CEFTA, Trójkąt brzeski – nazwy mnożą się, inicjatywy rodzą, upadają i odradzają, ale zasadnicza tendencja wciąż jest żywa. W innych sferach życia „oddolnie”, często w sposób prawie niezauważalny, rodzą się nowe formy współpracy.

W handlu i gospodarce.

To nie Francuzi czy Belgowie, a Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie, Litwini, Niemcy, Słowacy, Czesi są dziś masowymi klientami polskich bazarów: 6 do 8 miliardów dolarów rocznie przepływa przez te budy i stragany. Również oficjalny handel – po okresie dramatycznego załamania – rozwija się dziś dynamiczniej z naszymi wschodnimi sąsiadami i krajami CEFTA niż z Unią Europejską. To Polacy wreszcie są najliczniejszymi cudzoziemskimi inwestorami – na miarę swoich karłowatych możliwości – w Białorusi, Litwie, w Ukrainie.

W kulturze.

Dla litewskiego teatru, białoruskiego zespołu folklorystycznego, ukraińskiego historyka, Polska jest naturalnym miejscem wymiany i prezentacji własnej myśli twórczej. Blisko im do niej nie tylko w kilometrach.

Oglądałem kiedyś późny program moskiewskiej telewizji. Szedł jakiś program teatralny. I nagle – zaskoczenie. – Ależ tak! To „Damy i Huzary”! I jak wystawione!... Komedia Fredry lśniła blaskiem aktorskiej brawury, tempem, humorem, o jakie trudno na polskich scenach.

Spytajmy: kogo jeszcze poza tym kątem Europy obchodziłaby dziś stara ramotka Fredry? Nie idzie o głupie puszenie się z wpływów polskiej kultury. Ten Fredro na rosyjskiej scenie to znak, że łączy nas ze sobą jakiś głębszy klimat duchowy, którego nie ma między nami a Francuzami czy Belgami. My też inaczej czytamy rosyjską i czeską literaturę, inaczej oglądamy ich filmy, śpiewamy pieśni („po

pijaku" najczęściej, ale wtedy serce ujawnia się najwyraźniej) niż Belgowie czy Francuzi. Klimat to rzecz może nieuchwytna, ale potężna w społecznym działaniu.

W bezpośrednich kontaktach międzyludzkich wreszcie.

Trudno sobie wyobrazić by miał pozostać bez żadnych następstw ten bezustanny przepływ ludów sąsiednich, to „obijanie się” o Polskę, które nieraz zamienia się w trwalsze kontakty. Warto odnotować, że wszystkie te fale ludzkie – z *gastarbeit*erami włącznie – tylko w nielicznych przypadkach spotykają się w Polsce z aktami wrogości czy pogardy etnicznej. Dominuje w stosunkach wzajemnych jakieś nieuchwytnie, nieprzekładalne prawie na słowa poczucie, że jesteśmy w gruncie rzeczy podobni jako ofiary i sprawcy tego samego historycznego losu i mieszkańcy tego samego klimatu kulturowo-cywilizacyjnego. Jakaś bliskość. Myślę, że podobnie się dzieje w innych krajach tego regionu, że wszędzie – w różnym natężeniu i z różnymi trudnościami – trwa proces przenikania się „ludów tutejszych”.

Można spytać, czy warto angażować się w jakieś chimeryczne i podejrzane „strefy środkowo-europejskie”, zakładać spółkę historycznych kalek i outsiderów?

Jako zdeklarowany fantasta historyczny odpowiem tak: dla polityka-pragmatyka świat jest układem stabilnym, naprawdę jednak rzecz ma się akurat odwrotnie. Kto jeszcze ledwie sto lat temu był w stanie przewidzieć – ba, wyobrazić sobie! – że na „dzikich” obrzeżach Azji Wschodniej wyrośnie największa światowa potęga gospodarcza, że Seul, Tajpej, Pekin czerpać będą impuls do niesłuchanego rozwoju nie z Londynu, Berlina czy nawet Chicago, ale z Tokio? Centra siły w oczach przesuwają się po mapie globu. Kto nie jest dziś wizjonerem historycznym – nie jest realistą. Mamy więc prawo pytać: może to właśnie bije nasz czas?

Jak wszystkie górotwórcze procesy historyczne proces integracyjny Europy środkowo-wschodniej ma charakter organiczny i niejasny. Ta wspólnota powstaje – jeśli powstaje – po omacku, bardziej z instynktu, z naturalnego ciążenia, niż ze świadomego planu. Czym będzie? Nie wiemy.

Dziś jedno tylko wydaje się oczywiste: że nie jakieś samodzielne polskie poczynania, nie chciejstwo polityczne płynące z fałszywej oceny własnych możliwości, ale gospodarcza i

polityczna dynamika tego regionu i siła jego związków wewnętrznych decydować będzie o roli i znaczeniu Polski – tak jak i innych krajów sąsiednich – w Europie. Tyle będziemy znaczyć, ile będziemy warci razem. Dlatego trzeba, by nasza polityka poważniej i głębiej zaangażowała się w rolę akuszerki integracji. Jeżeli dziś wójtowie gmin nadgranicznych latami dobijać się muszą w Warszawie o otwieranie dróg i przejść granicznych na ich terenach, wykonując lokalnie sami *gros* prac przygotowawczych, to pokazuje to wyraźnie jak zaściankowe i zakompleksione jest myślenie polityczne naszych sfer decydenckich, jak nie umie ono odróżnić polityki budowania rzeczywistej siły państwa od polityki fajerwerkowych sukcesów dyplomatycznych.

Tu pora na kilka uwag, jeśli tak rzecz można, propeedeutycznych.

Nie brak u nas ludzi, którzy uważają, że właśnie Polska powinna odegrać w tej części Europy jakąś „rolę specjalną”. Warto ich przestrzec. Warunkiem udanej integracji na tym obszarze jest to, że żaden kraj – a już zwłaszcza Polska – nie będzie odgrywał „roli specjalnej”. Rozwijając aktywność integracyjną Polacy powinni okazać szczególną ostrożność wobec obolałych kompleksów narodowych, obsesji i fobii krajów tej części Europy, wobec ich podejrzliwości o polski ekspansjonizm i chęć dominowania. To prawda, sama myśl o odgrywaniu roli jakiegoś mini-mocarstwa (co ostatnio proponowano nam w Moskwie) wydaje się nam śmieszna: zbyt dobrze znamy własną słabość i granice możliwości. A i ochoty jakoś nie ma, wyjąwszy etatowych maniaków.

Ale inne kraje regionu niekoniecznie muszą to widzieć i rozumieć, i każda nasza nieostrożność, każda, rzekłbym, gruboskórność we wzajemnych stosunkach, wzniesła tam na nowo obawy przed Polską.

Weźmy Litwę. Dobry to przykład dla sformułowania reguł ogólnych.

Dwie sprawy stanowią tu potencjalną trudność: przeszłość historyczna i polska mniejszość na Litwie.

Dla nas unia z Litwą to jedna z najjaśniejszych kart historii, dla Litwinów największy błąd. Nasze wspólne dzieje Litwini widzą przede wszystkim jako dzieje polonizacji i akulturacji litewskiego żywiołu etnicznego przez Polaków.

Również bliższa przeszłość historyczna kryje niejedną ranę litewskiej pamięci: zajęcie Wilna przez Żeligowskiego, stosunek władz II-iej Rzeczypospolitej do mniejszości litewskiej, nacisk polityczny, zbliżony do szantażu w roku 1938. Niemało. Trzeba nie tylko uszanować ten sposób widzenia przeszłości, ale także bliżej go poznać i zrozumieć.

To, że Litwini odczuwają 8-mio procentową mniejszość polską jako zagrożenie, jest zupełnie zrozumiałe w narodzie małym, o ciągle słabo ugruntowanej tożsamości kulturowej i bardzo ciężkich doświadczeniach historycznych, tym bardziej, że wśród tej mniejszości wciąż żywe są marzenia o ponownym przyłączeniu do Polski obszaru Wileńszczyzny.

Wilno. Przed rokiem 1939 prawie nie było tu żywiołu litewskiego i litewskiej kultury. Ale Wilno – historyczne serce Litwy – jest jedynym miastem wielkiej rangi historycznej na jej obszarze. Bez Wilna Litwa byłaby straszliwie okaleczona.

Sam jestem Wilnianinem i mogę o sobie powiedzieć słowami Miłosza: „Nigdy od ciebie, miasto, nie mogłem odjechać”. Wyzbyłem się Wilna z nigdy nie uleczonym bólem, ale wyzbyłem szczerze. Myślę, że Litwini powinni mieć absolutną, organiczną pewność, że nigdy nie zechcemy tam powrócić jako państwo.

W interesie narodowym Polski jest Litwa silna, rządna, zamożna, dobrze świadoma swej narodowej tożsamości. Tylko nacjonalistyczna głupota stoi na przeszkodzie by oddać temu małemu narodowi należny szacunek za jego uporczywą wolę niezależności, za wytrwałość i miłość z jakimi – niemal z niczego – stwarzał swą kulturę narodową. Za jego rządność, pracowitość, gospodarność. Wielka jest ta mała Litwa. Myślę, że warto by tego w Polsce nauczyć się na pamięć.

To nasze trudności – na Litwie i gdzie indziej. Inne kraje regionu mają większe i poważniejsze. Ale bo też nikt nie powiedział, że proces integracji ma dokonywać się w atmosferze pikniku. Jest i będzie to proces trudny i żmudny. Upór jest ważnym składnikiem historii.

Z Rosją, czy bez Rosji?

W Polsce dominującym stosunkiem do Rosji jest obawa. Ma ona charakter narodowej obsesji.

Obsesje zawsze kosztują drogo. Zwłaszcza narodowe. Kazać ścigać fantomy. Energia zbiorowa narodu kieruje się w pustkę? Pochłanianie go łapanie mgły.

Przez dwa stulecia trapiła nas tragiczna obsesja absolutyzmu. Z chorobliwą, spotworniałą czujnością patrzyła szlachta i magnateria na ręce królewskie, śledząc, czy aby nie próbują uszczknąć dla tronu za wiele władzy, czy nie sięgają po święte „wolności”. Polski dom się walił, a oni widzieli groźbę tam, gdzie była tylko rozpaczliwa słabość.

W samej obawie przed Rosją nie ma nic dziwnego; jej powody są aż nadto historycznie oczywiste. Niedobre jest tylko to, że ten strach zautonomizował się, że paraliżuje i pochłania rzeczowe myślenie. „Rosja nam zagraża” – tym przekonaniem oddycha dziś polska myśl polityczna.

Argument koronny jest taki: zagraża, bo zagrażała zawsze, bo imperializm wpisany jest w samą jej istotę.

Czy rzeczywiście?

Rosja przeżyła straszliwy wstrząs. Z jego ogromu i następstw tak na dobre nikt jeszcze nie zdaje sobie sprawy. Pytanie brzmi tak: czy obecna „smuta” prowadzi do kolejnej reorganizacji imperium, czy jest to punkt zwrotny, od którego dzieje Rosji przyjmą inny, nieimperialistyczny charakter.

Spróbujmy pomyśleć nieobsesyjnie.

Pierwsze, co uderza, to fakt, że czas imperiów minął. Na naszych oczach zawaliły się pod własnymi gruzami niedoszłe imperia niemieckie, japońskie i włoskie, zamknęło elegancko swe dzieje znakomite imperium angielskie, w ogniu wybuchów pod Dien-Bien-Phu i strzałach algijskiej Kazby umarło imperium francuskie, na koniec – zapadł się pod własnym ciężarem Związek Sowiecki.

Nie ma już imperiów. Są – na razie jedno – supermocarstwa, ale to zgoła inna kategoria. Supermocarstwo nie ma w sobie „imperatywu imperialnego”, tego palącego przymusu wewnętrznego poszerzania swych włości aż po krańce świata.

Ten zanik imperiów nie jest kwestią historycznej mody, ale następstwem zasadniczych przemian historycznych. Jeszcze do połowy naszego stulecia widzieliśmy świat jako łup. Najlepszy wyraz znalazło to w doktrynie niemieckiego faszyzmu: do zdobycia jest tyle a tyle ziemi, tyle bogactw

naturalnych, tyle dóbr. Było to myślenie powszechne. My też mieliśmy swoje marzenia o Madagaskarze.

Dziś widzimy świat jako problem. Do rozwiązania są sprawy ekologii, denuklearyzacji, penetracji kosmosu, bezrobocia, demografii, nowych epidemii, przestępczości, narkomanii, głodu. Świat nie jest już bogactwem – jest trudnością. Nikt rozumny nie sądzi, że może sam, o własnych siłach rozwiązać nie tylko problemy świata, ale nawet swoje własne. Ostatnim krajem, który myślał w tych kategoriach, był Związek Sowiecki. Dopóki można było ukrywać własną beradność za fasadą wielkich haseł i rakiet międzykontynentalnych – czyniono to. Czernobyl definitywnie położył temu kres, odślaniając brutalnie całą bezsilność systemu. A nie ma nic groźniejszego dla imperium niż świadomość własnej bezsilności; to jego śmierć psychiczna. W każdy imperializm wpisane jest strukturalnie butne przekonanie o własnej mocy. Gdy ono upada – upada wszelki sens postawy imperialnej.

Nie tylko imperializm wydaje się dziś przemijać. Wygląda na to, że podkopane zostały głęboko w ogóle wszelkie korzenie nacjonalizmu w starym stylu. Z zażenowaniem patrzymy dziś na etniczne rzezie, ewokowane ideą „Wielkiej Serbii” czy innej „wielkiej” ojczyzny. Uderza w nich nie tyle ich plemienna dzikość, co żalosny anachronizm idei przewodniej: śmieszna i absurdałna nadzieja na „wielkość” w mikroskali. Mój Boże, „wielka Serbia” w czasach, gdy cały glob wydaje się tak wzruszająco mały!... Dzisiaj myślenie w kategoriach narodowej „wielkości” staje się na politycznej scenie domeną postaci farsowych.

Tyle o świecie.

Zniknął też – jak się zdaje – drugi konieczny warunek rosyjskiej obecności imperialnej.

Imperium nie da się założyć z dnia na dzień – to nie jest spółka akcyjna. Imperium to wola. Wola ugruntowana na świadomości, na doktrynie, nad którą pracują pokolenia, która urasta piędź po piędź z głębi narodowej kultury. Bez doktryny wola jest ślepa, jest bezładnym miotaniem się. To doktryna organizuje w spójną i funkcjonalną całość narodowe marzenia, urazy, kompleksy i najbardziej tajne pragnienia, to ona z bezładnej masy „cywilów” kraju formuje karną armię

jego „żołnierzy”, przenikniętą jednym duchem, jednym celem. Bez doktryny niemożliwe jest żadne imperium.

Rosyjska doktryna imperialna ma długie dzieje.

„Wielka Rosja” rodzi się w pierwszej połowie XIV wieku za panowania Iwana Kality. Władca ten przejął impuls tatarskich najeźdźców: dążenie do budowy imperium, opartego na scentralizowanej, absolutnej władzy. Od tej pory impuls ten rozwija się nieprzerwanie, stając się wielkim wyznaniem narodowej wiary.

Przynajmniej od Iwana Groźnego dwie fundamentalne zasady kierują dziejami Rosji: mesjanizm i absolutna władza. Rzec można, że pierwszy jest rekompensatą duchową za dolegliwość drugiej. Rosjanin znosi pokornie dziki autokratyzm caratu, bo wynagradza mu świadomość, że należy do narodu, który podbija świat i przyniesie mu harmonię ostateczną. Obłądana idea „trzeciego Rzymu” z XV wieku, szalone rojenia XIX-wiecznych słowianofilów, literatura, sztuka – wszystko to przez stulecia i pokolenia gruntoowało świadomość, że przyszłość ludzkości reprezentuje tylko Rosja.

Z tej tradycji wyrósł komunizm rosyjski. Mesjanizm i władza absolutna osiągnęły w komunizmie stalinowskim swoje monstrualne apogeum. Chwila największego cierpienia była zarazem dla Rosji chwilą największej pychy narodowej: oto Rosja realizuje czyn, wobec którego czyn Chrystusa był tylko drobnym epizodem – zapoczątkowuje Nową Historię rodzaju ludzkiego.

Pisał sowiecki poeta o mauzoleum Lenina w Moskwie:

*Stoit mauzolej w samom centrie ziemi;
narody kak rieki k niemu potiekli.*

Każdy, kto miał wówczas do czynienia z Rosjanami bawiącymi za granicą nie mógł nie odczuć ich bezgranicznego poczucia wyższości wobec przedstawicieli innych narodów. Naturalnym stosunkiem Rosjanina do innych był apodyktyczny dydaktyzm. Było to coś więcej niż arogancja silnych: to była pewność nawiedzonych przez ducha świętego.

Wszystko to runęło.

Czym jest dzisiaj rosyjska doktryna imperialna?

Koncepcja „trzeciego Rzymu” opierała się na trzech fila-

rach, trzech wartościach, których ducha Rosja miała zanieść innym narodom: samodzierżawiu, prawosławiu i ludowości (*narodnost*).

Co z nich dzisiaj przetrwało?

Samodzierżawie w wersji carskiej uległo totalnej kompromitacji: dziś nie nadaje się chyba nawet na strzępy tradycji. Lecz jeszcze gruntowniej zdegradowane zostało samodzierżawie w wersji komunistycznej. Nie skompromitowały go, rzecz jasna, zbrodnie. Taka fraszka jak ludobójstwo nie ma znaczenia w oczach architektów totalnego ładu światowego; Stalin był i pozostał mitem. Upokorzyła je własna bezsilność, a więc to, co z ideą samodzierżawia najgłębiej sprzeczne. W dzisiejszym świecie taki sposób sprawowania władzy jest po prostu nieefektywny. I to jest definitywny wyrok śmierci. Nawet Ziuganow rozumie doskonale, że prawa ekonomii i światowego rynku są silniejsze od wszystkich możliwych carów.

Prawosławie w dzisiejszej Rosji jest bodaj czymś niewiele więcej niż ładną folklorystyczną ozdobą państwowych i społecznych uroczystości i trochę snobizmem. Do roli żywego źródła nowych idei bardzo mu jeszcze daleko, a jeszcze dalej do powszechnego rządu dusz.

Ludowość wreszcie. Gdzież ona jest? Piękna rosyjska pieśń ludowa rozbrzmiewa dziś coraz częściej już tylko w emeryckich nostalgicznych kręgach. Dżinsy, a nie rubaszka, *heavy metal*, a nie czastuszki – tak wybiera młoda Rosja, masowo i żywiołowo. Świat tradycyjnych – bardziej wyidealizowanych niż rzeczywistych – chłopskich wartości, nostalgiczny świat powieści Abramowa, Rasputina, Możajewa, Szukszyna rozsypuje się w pył. Rosja urbanizuje się demograficznie, ale przede wszystkim kulturowo. Chłop rosyjski nie pali się do swej tradycyjnej roli, nie chce nawet ziemi na własność, a jakakolwiek próba wyciśnięcia kropli ideowej inspiracji z kołchozów byłaby czystym iluzjonizmem intelektualnym. Ludowość? Nie, stąd nie przyjdzie zbawienie.

Kasa pancerna ideologii rosyjskiego imperium wydaje się być dziś pusta. Może leży tam trochę liczmanów, nic więcej. Z wielkiej przeszłości państwowej Rosji pozostała jej dziś tylko jedna bezsporna wartość: wyrzutnie atomowe. To dość na

odruch szaleństwa, za mało na ideę.

Owszem, odradzanie się rosyjskiego nacjonalizmu, recydywa tęsknot imperialnych są dziś faktem. Myślę, że nie tak trudno to zrozumieć i ujrzeć we właściwej skali zagrożeń.

Myśl, wielka myśl nie rodzi się na kamieniu, a era komunizmu była latami myślowej pustyni. Nic dziwnego zatem, że rosyjska świadomość, obolała, rozbita, konwulsyjna, chora, usiłuje żywić się tymi strzępami idei, które może znaleźć na pobojuwisku. Przecież i my w Polsce – mimo o ileż lepszej sytuacji – nie dorobiliśmy się dotąd żadnej nowej idei patriotycznej, żadnej doktryny narodowej adekwatnej do wezwania czasów. Mówimy słowami poprzednich pokoleń. Naturalnie, nie można wykluczyć, że w tych konwulsjach, jakie przechodzi dzisiejsza Rosja urodzi się jakaś karykatura idei imperialnej, jakiś efemeryczny potworek doktryny, rozpaczliwy zlepek, który może posłużyć za alibi nowego szaleństwa. Ale to mało prawdopodobne. Nie ma chyba realnej szansy, by z tych remanentowych resztek mogła powstać ideologia, zdolna zawładnąć sercem i wyobraźnią milionów, porwać je, ukazać im mit i cel, i z masy dziejowych rozbitków znów stworzyć karną armię.

Tym bardziej, że Rosja jest dziś po prostu bardzo słaba. I nie jest to bynajmniej ten rodzaj przejściowej słabości, który cechował republikę weimarską. Słabość Rosji jest naprawdę głęboka. Zniszczona ekonomicznie, społecznie, politycznie, wycieńczona demograficznie Rosja jest dziś naprawdę wielka tylko na mapie. Niestety: w naszym stuleciu obszar już dawno przestał być wymiarem potęgi. Może natomiast być – źródłem kłopotów.

Na naszych oczach dokonuje się cichy ale niezwykle skuteczny proces podmywania cywilizacyjnych i kulturowych podstaw rosyjskiego panowania nad Dalekim Wschodem, trwa bezgłośna erozja rosyjskiej władzy nad Syberią. Syberia wyludnia się ze swych słowiańskich obywateli, a jednocześnie rośnie w niej procent skośnookich mieszkańców. Czy wystarczą same czołgi?

Głupawa – choć może nieunikniona – wojna w Czeczenii wikła Rosję w perspektywny konflikt ze światem środkowoazjatyckiego islamu, rosnącym w siłę demograficznie i politycznie. Jeśli pragnie się dziś w Rosji odbudowy łączności

państwowej z dawnymi republikami sowieckiej Azji środkowej, to nie będzie to już dawna łączność wasalna. Wczorajsi wasale będą jutro beneficjentami związku z Rosją. Za sen o wielkości przyjdzie słono zapłacić.

Czy należy zatem bać się Rosji?

Oczywiście.

Ale chyba nie jako imperium. Dzisiejsza Rosja jest wielkim, nieobliczalnym, niesfermentowanym do końca państwem, w którym możliwe są wszystkie przypadki historyczne, nawet te najgroźniejsze. Ta Rosja rządzi się w swojej polityce zagranicznej metodami osłabiania sąsiadów, mącenia, wiarołomnej i fałszywej dyplomacji, ciągłej pracy agenturalnej. No bo niby czym ma się rządzić? Takie zasady i nawyki wyniosła ze swej wiekowej tradycji. Czy ma raptem przejść cudowny chrzest demokratyczny i nagle nawrócenie? Uczynić swą normą szlachetne, euforyczne i zawsze dla niej marginalne myślenie swojej najlepszej inteligencji? Czegóż właściwie mielibyśmy się spodziewać? Rosja jest jaka jest i taką trzeba ją przyjmować. Obowiązuje wobec niej czujność i jeszcze raz czujność.

Ale także – otwarcie.

Bo Rosja jest naszą wielką szansą historyczną.

Paradoksalnie dopiero zakotwiczenie się w NATO pozwala wyzbyć się lęku przed Rosją i otwiera szeroko bramy perspektywom współpracy. Ta współpraca może być tym intensywniejsza, tym głębsza, im bardziej zintegrowana i silna będzie nierosyjska strefa narodów środkowej i wschodniej Europy, im bardziej jednym głosem będzie ona mówić. Wtedy, usadowiona z jednej strony mocno w zjednoczonej Europie, z drugiej zaś – tworząca wewnątrz niej własną nową jakość regionalną, strefa ta będzie dla Rosji partnerem, nie wasalem. A i sama Rosja zrozumie zapewne z czasem nie tylko, że nie jest „trzecim Rzymem”, ale także i to, że Stany Zjednoczone nie są jej najbliższym sąsiadem, a Berlin jej jedyną europejską szansą. A wówczas, przy pomocy jej ogromnego potencjału kulturowego i gospodarczego, może otworzyć się dla tej części świata niepowtarzalna szansa historyczna: głównego ośrodka europejskiej dynamiki. Dlaczego serce przyszłej Europy nie ma bić w Moskwie, Pradze, Warszawie zamiast w Paryżu, Rzymie, Londynie? My

także winniśmy dać coś z siebie dziejom cywilizacji światowej. Żaden Babilon nie jest wieczny. To barbarzyńcy na ogół tworzą nowe kultury. Herbert pisał o „barbarzyńcy w ogrodzie”.

Może stworzymy nowy? Własny?

Dlatego na pytanie o kierunek polskiej polityki zagranicznej: „Zachód czy Wschód?” powinniśmy odpowiadać: „i Zachód, i Wschód”.

Janusz TRYBUSIEWICZ

Nad Smotrycz, za Zbrucz

Za ogromne pieniądze – 180 dolarów, tutaj to fortuna – wynajmuję ładę, która obwiezie mnie – na chybicka, ale jednak – po podolskich krzemieniach i kamieniach. Kierowca, pan Władziu, jako rasowy syn Łyczakowa czy Zamarstynowa, prowincją w życiu się nie interesował, trasy nie zna, mapy nie posiada, więc udostępniam własną, prezent z konsulatu. Po alfabecie i koślawej transkrypcji sądząc, mapa jest adresowana do niemieckich turystów, na wyrost, bo Niemcy za delikatni na przyjażdżki po kraju bez moteli i stacji benzynowych.

Najwygodniej i najnudniej podróżuje się po autostradach. W wypadku Ukrainy należałoby raczej mówić o drogach szybkiego ruchu, ale każda z nich przynajmniej pod tym jednym względem spełnia warunki autostrady: smuży się bezbarwnie, płynie po płaszczyźnie, omija miejscowości, a na domiar złego obrasta w „posadki”, gęste, szczelne kordony drzew i krzewów odcinające asfalt od żywego świata. Oczywiście Polacy zaraz umyślili sobie, że to przez parszywą perfidię sowiecką, bo „Ruski” nie chciał żeby się rozglądać... Bzdura. „Posadki” są od śniegów. Owszem, istniały trasy zakazane cudzoziemcom, sama zostawiłam sobie na pamiątkę karteluszek z „Inturista”, jeszcze w 70. latach przestrzegający *Riga-Minsk tylko samoletem!* Międzyrządowanie mieliśmy we Lwowie, dwie godziny postoju, wyszli wszyscy, a mnie nie pozwolono. „Przecież ja tylko do restauracji” molestowałam stewardessę. Usadziła mnie ostrym *U was wizy niet. Inostrancom nielzia.*

Nie te czasy. Droga wolna. Zabrał się z nami dziennikarz

z polskiej *Gazety Lwowskiej*, Emil Legowicz, bezbłędny w trudnych sytuacjach. Wie, kiedy powoływać się na *Lwowską*, a kiedy na *Wysokij zamok*. Respekt przed prasą, nam to już zupełnie przeszło, im jeszcze nie.

Władziu opiekuńczy: ta trzeba okno przymknąć, żeby nam Legowicza nie wydulo. I dodaje przede wszystkim sobie ducha na wybojach: no nic, szorujemy.

Z tym szorowaniem nie tak prosto, zakrętów nie mało, a za każdym może czań się milicjant. Dopóki drogowskazy wskazywały Briest i Kijew, na stukilometrowym odcinku spotkaliliśmy aż cztery patrole: pierwszy zaraz za Lwowem. Milicjant z pierwszego tylko sprawdził papiery kierowcy, milicjant z drugiego domagał się mandatu za przekroczenie szybkości aż o dwanaście kilometrów, ale pomogła elokwencja Legowicza i nie musieliśmy zapłacić.

– Dawaj do przodu – sam siebie zachęca pan Władziu i natychmiast monituje: cicho, cicho. Co oznacza: tylko bez nerwów. Bez szaleństw na strzeżonej drodze.

Brody, obok Gródka Jagiellońskiego, Zbaraża czy Trembowli – jedno z tych miasteczek, w których uchował się, mimo wyburzeń i naporu monotonnych bloków, koloryt kresów. Ale wszędzie jakiś świeższy akcent do legendy o Rzeczypospolitej co najmniej dwu kochających się narodów. We Lwowie obok kościoła św. Elżbiety stanie pomnik Bandery. W Brodach oglądam pierwszy i nieostatni na wybranej trasie obelisk „Ofiarom stalinowskich represji”. Z tablicy wynika, że większość represjonowanych wojowała w UPA. Listę wieńczy cytat *Molusia synu za Ukrainu / jaho takoj zamuczyły kołyś.*

Zieleń i fiolet, to barwy Wołynia, migającego w nieczęstych przerwach między „posadkami”. Odbijamy od autostrady. Nadal nic ciekawego. Płoty, wertepy, fasolowe grządki. I nieoczekiwany na tej przypodolskiej, ale jeszcze wołyńskiej, przestrzennej, stołowanej równinie Poczałów. Góra, dopiero gdy się patrzy z góry, wydaje się ogromna. W dole płaski, zmały Poczałów, poprzesywany zielenią, rozwleczony po ogródkach. Tak wysoko, tak nisko... Zdumiewająca sklejka krajobrazów.

Wokół Ławry staruszki. W tym strasliwym upale siedzą albo i leżą na ławkach zakutane jak na ciężki mróz, w szalach,

szubach, walonkach. Może tak bezpieczniej. Co na sobie – nie zginie. Modlą się, oszczędnie żują chleb, patrzą w przestrzeń – jak której pasuje. One wiekowe, i jakaś porażająca odwieczność sytuacji. Tak jest i pewnie zawsze tak tu było, bez względu na potrząsające światem huragany.

W Poczajowskiej osiągalny tylko jeden druczek, i to zajmujący się nie Ławrą, a świadkami Jehowy. Agitka nawet nie po ukraińsku tylko po rosyjsku – czego się tu nie lubi – energicznie bierze się za przeciwnika. Jehowici już przywykli do łgarstwa i dobrocią z nimi nie poradzisz. Intencje tekstu wyartykułowane, powiedzieć można, szczerze i bez zahamowań. „Nienawiść świadków Jehowy do chrześcijaństwa tłumaczy się tym, że w założeniach swoich sekta opiera się na judaizmie...” No, tośmy w domu. Dalej wychodzi na to, iż przewrotni świadkowie lansują Antychrysta. Niby to wyczekując Mesjasza – spodziewają się „człowieka grzechu, syna ciemności”.

Krzemieniec – długa ulicówka, miasteczko na osnowie wsi. Od tej głównej, równinnej – odpryski bocznych ulic, stromych, dla mnie, oczywiście po przemysku. Za długo tu nie zabawimy, gdyż Krzemieniec jest tematem dyżurnym, pisze o nim kto może, tylko bez efektu.

Przed nocą – i całe szczęście, bo to nie są strony na nocne podróże – dobijamy do Zbaraża. Mój portfel prawie pusty. Gdzie by się tu przenocować omijając hotel? Legowicz zawsze coś wymyśli, tym razem też nie zawiódł: jedziemy do księdza.

Samotny lokator zrujnowanego klasztoru mieszka w pokoju bez pieca. Kancelaria (duże słowo) też nie ogrzewana. Na dworze upał, tu przeszywający chłód. Nawet w nieznosnie letni, przegrzany dzień majowy kamienna podłoga w refektarzu jakby świeżo myta: co tam myta, złana wodą. Sączawka w lecie, a ślizgawka w zimie. Ksiądz przystojniak, na oko – siłacz, rośły, umięśniony, już ma w wyroku bolesny żywot reumatyka. A wita nas pogodnie. Przedstawiwszy się: „ksiądz Żydowski jestem”, dorzuca „takie nieładne nazwisko noszę, co robić...” Faktycznie. Żeby to choć: Jewrejski...

To jego szósty rok na Ukrainie, przed Zbarażem – na głębokiej Ukrainie, bliżej Odessy. Powiada, że tam praca była lżejsza, a Polaków więcej. Radził sobie, choć trafił do parafii

od 70 lat pozbawionej księdza. Zamieszkał – jak to pogodnie określa – w chatce na cmentarzu. W dawniejszej przechował ni zwłok. „Wstawiłem łóżko, stolik, krzesło... Więcej i tak by się nie zmieściło. Wodę to szanowałem jak złoto. Kościół tam kiedyś był, długo był, bo postawiony w 1662 roku. Po rewolucji zamknięty, najpierw zamienili go na skład nawozów sztucznych, potem w prezbiterium porobili mieszkania, druga część poszła na kino, trzecia na salę tańca. Z kościoła został tylko obraz. Jeden, tak. Ogromnie zniszczony”.

W Zbarażu puste ściany, które jeszcze byłyby do odratowania. Nie gustuję w baroku, ale to uderzająco piękny kościół. Ksiądz nie przeoczył mojego zachwytu, wyczuł sojuszniczkę i agituje: „Gdyby nasze ministerstwo kultury i sztuki zainteresowało się, co z funduszami przysłanymi przez Kijów na kościół zbaraski, czemu one tu przepadły... na co poszły...”

Kościół, nieopodal cerkiew prawosławna, w pobliżu grekokatolickiej, niedaleko od kaplicy baptystów. Może został ślad po synagodze, ale jakoś mi nieporęcznie pytać księdza Żydowskiego. Niech najpierw Legowicz załatwi coś do spania. Udaje się nadspodziewanie łatwo. Mili, usłużni ci tutejsi księża, co sobie później potwierdzę i w Kamieńcu Podolskim, i w Mościskach. Ta ich ufność, gotowość do pomocy, to aż zaskoczenie, to jak z zamierzchłej bajki. Myśmy w kraju dawno już odwykli. Poza tym, cóż on o nas wiedział? Jestem z Polski – mówię, wysiadając z wozu z ukraińską rejestracją. I my Polacy – dołączają się dwaj moi towarzysze, których akcent już nie daje gwarancji. A gdyby nawet? Przecież w Zbarażu (ksiądz się o tym nie zająknął, inni powiedzieli) już były z rodakami różne złe doświadczenia. „Mam oko”, powie ksiądz któremu – ale dopiero nazajutrz, wyspani, wykapani – wytykamy nieostrożność. „Mam oko, ja rozpoznam człowieka”. Tak się mówi, ale...

Otóż to, córka Piechowej była mniejszą optymistką, rano zajrzała, czy ksiądz się nie pomylił i czy matka żyje.

Piechowa to Polka, matka Ukrainki, babka Ukrainca i Polaka. Dostaliśmy się jej na przenocowanie. Ksiądz rekomendował: kobieta poważna, starszawa, nie ubliży gościom, może i ucieszy się, zwłaszcza że dom do pochwały. Sami zobaczymy.

Parafia księdza Żydowskiego liczy piętnaście tysięcy Polaków (nie powie: wiernych. Na jedno wychodzi. Pielęgnowany kanon kresowy: wiara równa narodowości). Tak, będzie z piętnaście tysięcy, choć wielu już zruszczonych. Mimo to: wiernych? Różnie. Ksiądz żyje „w bardzo dobrej zgodzie” ze swiaszczennikiem grekokatolickim, ale podejrzewam, że trochę taka to zażyłość prokuratora z adwokatem: nawet prywatni przyjaciele jednak wojują na sądowej sali. Toga obliuguje, sutanna też. U Piechowej od pierwszych chwil czujemy się po domowemu, bo i wino znalazło się domowe, nam wesoło, a ksiądz nie zasypia gruszek w popiele, pracuje nad Haliną. Zachęca, by zamiast do cerkwi chodziła do kościoła, lecz to twarda sztuka. Poznać, że nie ustąpi. Spierają się dyplomatycznie, ostrożnie, bez przeciągania struny. Ksiądz, niby to półżartem „U nas ładniej...” Halina, już zniecierpliwiona „Mnie wystarczy tamto”.

Ani się nie dogadają, ani nie pokłócą.

Z tą chwilą rozmowa już zdecydowanie świecka. Ksiądz namawia Piechową na poprawę zdrowia i urody. „Czemu sobie zębów nie wstawisz?” Władziu z Legowiczem też są za tym. I wcześniej dużo ludzi było, przyznaje Piechowa, a znowuż inni odradzali „Nie wstawiaj, lepiej chodzić pusto”.

Nie wstawi.

W nocy długo nie śpimy: ja pewnie ze zmęczenia, Piechowa ze strachu, czy jej nie poderżniemy gardła, bo to ksiądz księdzem, paszport paszportem, a obcy obcym, jednak. Wobec czego rozmowa. Właśnie o strachu, ale tym tutejszym, mulistym, złym jak bagno, sączącym się na sowiecką Ukrainę przez dziesiątki lat, Piechowa oponuje. „Strachu nie było” powiada. „Strach był za Stalina, a potem to już nie”.

Cichutko smuży się rozmowa. O rodowodach. „Ja z domu Ornawka, poślubiłam Piecha. Mąż był Ukrainiec, ale syn Polaka. On chodził do cerkwi, ja szłam do kościoła. Ludzie zaraz ciekawi: a czego wy się rozłączacie? To mówię: my się w niebie złączymy”.

Od córki Haliny Piechowa ma wnuków. Starszy w dwa wieczory polskiego „Ojciec nasz” wyuczył się, młodszy woli cerkiew. *Ja chcę słuchać po ukraińsku*. Babka nie oponuje. Chcesz iść – idź do cerkwi. Tam choć ciepło.

W czterdziestych latach Ornawkowie chcieli uciekać

przed banderowcami, powstrzymali ich ukraińscy sąsiedzi – „zostańcie, nie damy krzywdy zrobić”.

Ornawkowa unika określenia „banderowcy” i uchyla się od komentarzy. Dosyć typowe dla tutejszych: widać jeszcze dzisiaj bezpieczniej jest zmilczeć, czy nie mówić wprost. Są takie niedobre tematy. Lepiej od nich z daleka. „Była wojna, była. Przyszedł Żyd Brojda: panie Ornawka, daj pan choć gorącej wody, żebym nie zmarł na lód. Panie Brojda, idź pan stąd, bo będzie nieszczęście. Panie Ornawka, niech ja choć przy krowach w stajni ogrzeję się, no przez godzinkę. I co z nim było robić? Tak się jakoś przechował: trochę tu, trochę tam. Po wojnie przychodził dziękować...”

Tu było dużo Żydów, zgadza się Piechowa. A gdzie są? Powyjeżdżali. Czyżby? A dokąd? „Nie wiem. Pewno do siebie”. Ryzykuję pytanie czy „Brojda” też wyjechał. O dziwo, tak. Piechowa przez moment znowu jest na twardym gruncie. Uratował się, przed wyjazdem przychodził, kilka razy zaszedł i dziękował... Panie Brojda, mówi jemu ojciec, tylko Boże broń, żeby pan list przysłał. No to obiecał, że nie, i na tym się skończyło.

Popłatane byłyby korzenie i chromy pień drzewka tej sprawiedliwości.

Smuży się noc, kołysze się rozmowa. Zza ściany miarowe, zasłużone pochrapywanie Władzia. Wyczerpały go całodziennne dyrektywy. Więc co się stało z Żydami ze Zbaraża? Wyjechali, odpowiada Emilka. Ci ze Lwowa – z wcześniejszej opowieści Adamskiej – też powyjeżdżali. Porażająca jedno-myślność. Zupełnie jakby nie było obozów śmierci i nikt nawet nie słyszał o rozstrzeliwanych nad pierwszym z brzegu jarem, wybitych, spalonych. Nie ma, to nie ma. Nikt ich nie szantażował, nie wydawał, nie likwidował, niekiedy nawet bez udziału Niemców, rękami ukraińskiej policji.

O tym się milczy, to jest skażona strefa. Powyjeżdżali – łagodnie, pocziwie zapewnia mnie Piechowa. Wszyscy? No, dużo wyjechało. – Nie zabijali ich? – dociskam. Piechowa: Niemcy trochę wybili. Ja: tylko Niemcy? Piechowa: Dlaczego? Dużo wyjechało. No, któryś mógł i przepaść.

Z wojny pamięta partyzantów. Przychodzili po nocy, tłukli w drzwi: *chaziain, otkriwaj. Hospodar, otkryj*. Raz rusczy, a raz Ukraińcy. Jak im tam pasowało. A miejscowym

co za różnica, kogo karmią: dawaj, choć sam nie dojesz, spróbowałbyś odmówić.

Tak to zeszło. Ojciec robił w polu, kiedy nadbiegła kobieta i rozkrzyczała się, że już koniec wojny. Piechowa, wtedy jeszcze Ornawka, lat może trzynaście, pamięta mokrą od szczęśliwych łez twarz tamtej: „tato nawet na chwilę zaniechał roboty i pyta się: a kto wygrał, Niemiec, czy Ruski?” Emilka koniecznie chciała na paradę zwycięstwa, ale się nie dało, robota nie puściła. „Tato mówi: zasiałem jęczmień a to musisz poskradlić końmi wszystko...”

Smuży się noc. Nie śpimy. Piechowa tylko wzdycha, gdy w sąsiednim pokoju zatrzeszczy łóżko (wstają? Znaczy – po niej). Nawet mi się nie chce śmiać, bo w końcu tylko my troje wiemy, że wyżyje. Do zainteresowanej ta radosna pewność dotrze, kiedy jutro łada wytoczy z podwórka. A noc długa. Cóż można robić w tych warunkach? Opowiedzieć życie... Piechowa tutejsza, mąż był spawaczem, ona telefonistką. Najgorzej nie mieli, pobudowali się tak pomiędzy 56-tym a 57-mym rokiem. „Wszystko my dwoje. Sami. Z tych dziesięć palców”. Sowieckie czasy? Manna z nieba nie leciała, ale można było się dorobić, można było żyć. „Nie bałeś się siwizny. Nie aż tak”.

Bieda przyszła z wolnością. Emerytka Piechowa pobiera 4 miliony papierków, na pieniądze licząc – dwadzieścia dolarów w miesiącu. „Pani ja pracowała od 1943-go i co: mam na pół rachunku na gaz i na pół za światło, a jeszcze trzeba jeść”. Emerytura w dwu ratach, rozumie się z opóźnieniami. Dobrze Piech przeczyna! „Mąż zawsze prosił Boga, żeby on zmarł pierwszy, żeby to ja jego pochowała. U nas grabarzy nie ma, sami jamę kopimy”.

I znów ta niepokojąca, szczerza konstatacja: „Pani, a przedtem coś my takiego niedobrego mieli?” Strach – podpowiadam. A spokojny głos w ciemności szmerze: „Nie, pani. Jego już nie było. Strach był za Stalina”.

Rano odjazd. Po obejrzeniu rozbudowanego, odmienionego wielopiętrowcami (rzeczywiście sporo ich. Część już z „ukraińskich” czasów) Tarnopola, wreszcie odbijamy od głównej drogi. Co za ulga! Oczywiście nie dla łady, która trzęsie się i charczy, ale sunie jak czołg, pokonując pagóry wiejskiej drogi. Władziu aż się skurczył, ale milczy, wszak sto

osiemdziesiąt dolarów piechotą nie chodzi, a ja nareszcie mam swój pejzaż, wielkie podole ciszy, jak je nazwał w wierszu poeta Olbromski, na co dzień kierownik wojewódzkiego wydziału kultury w Przemyślu. Coraz piękniej wspina się ta droga, zbacza, podrywa się i zniża. Bokami – na wysokich skarpach – płoty i kolorowe futryny. Wieś ukraińska przynajmniej z wyglądu nie jest taka nędzna, jak sugeruje się w korespondencjach. Domy raczej zadbane, sporo nowych, nie brzydszych niż w Polsce. Jesteśmy pośrodku Iwanówki, na kałużastym majdanie, którego jedyną ozdobę stanowi sklepik z żółtym szyldem, kiedy Legowicz podrywa się z siedzenia i wrzeszczy – Wracamy! Ale już!

Ta co ty, zdurniał? – upewnia się pan Władziu. A tamten swoje – zawracaj! Zaraz zawracaj! Słyszysz Władek?

Aż wypieków dostał. Ki diabli – jak mawiali w Galicji. Pan Władziu już nie protestuje, nawet mnie zatkało, choć to wielka rzadkość. Legowicz zdenerwowany, czerwony z przejęcia, dyryguje, poganiam, dopiero na tarnopolskiej szosie wyjaśni się, że jego zdaniem nadłożyliśmy sześćdziesiąt kilometrów. No, może trzydzieści. Pożalował Władzia (benzyna!) i tym sposobem znowu zażywam autostrady. Z której i tak trzeba będzie zboczyć do Kamieńca. Droga z Legowiczowego wyboru okazuje się równie kiepska, jak ta przez Iwanówkę, i już nie nieciekawa. Bajeczny pejzaż zostawiliśmy przy tamtych grudach i wybojach. Legowicz skruszony; nie chciał źle, samo tak wypadło...

Przed ostatnią wojną Kamieniec już nie był nasz, odpłynął w historię. Ależ tu wysoko! Gdzie to ja udawałam przed samą sobą, że nie mam lęku przestrzeni? W Bristolu. Tamtem most nie był wyżej zawieszony od kamienieckiego, a widoki podobne. Tyle że w Bristolu nie ma rynku krzywego jak z rysunku Schulza, i kamieniczek nieomal mniejszych od swych ciemnych bram, w których mieściły się furmanki. Chcę zajrzeć na któreś podwórze, ale wyrasta przede mną młodzieniec z papieroskiem w kącie ust, i drugi, też w kaszkiecie. Nic nie mówią, patrzą. Zupełnie jak na naszej Pradze. Czemuś rezygnuję.

Malowniczy, ale wściekle stromy ten Kamieniec. Zadyszana wracam z resztek po Sienkiewiczowskiej twierdzy. Chyba nikomu z nas inaczej tu się nie pomyśli.

Ruiny nawet zadbane, lecz na to rady nie ma, że więcej z Kamieńca Podolskiego zachowało się w trylogii niż w kamieniu.

W ładzie cisza. Coś zaszło – naradzili się pod moją nieobecność? Bo zatroskany Emil wychodzi mi naprzeciw i komunikuje, że Władziu źle obliczał, tyle tych kilometrów narobiło się, a droga jaka szkodliwa dla maszyny... Ja, chłodno: o drogach Władziu wiedział, mapę dostał, źle nie płacę. Emil, źle to nie, tylko mało. Władziu czeka w ładzie, uroczysty, tragiczny. Nie odzywa się. I nagle: proszę bardzo, on może nie wziąć pieniędzy nawet na benzynę, on w ogóle nic nie musi, tak źle jeszcze nie jest... Pokłócamy się coraz mniej zobowiązująco, już tylko dla przyzwoitości. Konflikt zażegnany. – Fajno, zaiwaniamy – cieszy się Legowicz. Teraz on za szofera. Poklepuje kierowcę, jak strudzonego konia. Jedziemy. Władziu smutny, chyba przestraszył się, że wezmę serio jego pochopną deklarację w kwestii niepłacenia.

Im bardziej Podole, tym więcej pogórza. Podole... Przewrotna nazwa. W stromym nad jarami Kijowie jedną z najwyższych położonych dzielnic ostro staczających się od Starej Żytomierskiej ku Dnieprowi jest Podół, slums na zawrotnych skarpach, z wielopiętrową, drewnianą „lesnicą” czyli schodami dla osób o sercach wyczynowców. Ładny mi podół! Kulminacja pejzażu daleko stąd, w Mołdawii, istotnie przypominającej Walię (ale piękniejszej, znacznie) tymi rozległymi, po horyzont wspinającymi się zatoczami połonin, niemniej wyszłam na swoje, bo za Kamieńcem to już wyraźnie jest ta ziemia, którą dobry Pan Bóg rozkołysał i zatrzymał w pół ruchu. Gdybyśmy nie zrezygnowali z Iwankowki... Legowicz pokorniutki, boży się, że on tylko mapy posłuchał, że chciał dobrze dla mnie. Mapa nas zmyliła. Nas!

Żał mi tamtej wspinającej się przez jary drogi. Dwadzieścia lat temu byłam na Czernihowszczyźnie, na Zadnieprzu i coś nie coś wiem o wspaniałej urodzie Ukrainy. Ależ to piękny kraj. I nieszczęśliwy, od zawsze. W kajdaniarskim „związku republik swobodnych” zamorzony niechlujną faktycznością, struty radiacją, wytrzebiony z czarnoziem. Ukraina: mocny przykład, ile potrafi przeciw sobie zdziałać człowiek. W potencjalnym spichrzu Europy zrujnowano rolnictwo. Podobno tę świetną ziemię, o której powiadało się: urodzi, byle nie przeszkadzać, nawet mniej zniszczył priorytet

przemysłu, sobiepana depczącego wszystko co na drodze, niż orka, tak jest, traktorowa orka na głębokość morderczą dla lessowych gleb.

Jedziemy do Gródka. Przez Płoskirów, obecnie miasto Chmielnicki. Przez Jarmolińce. No tak, to już szlak Zagłoby. I gościniec, jak za jego czasów. Pokonanie piętnastu kilometrów zabiera pół godziny. Pomoc drogowa, tutaj? Przejchawszy kilkaset kilometrów, nie zauważyłam ani jednej stacji obsługi, czy niechby budki telefonicznej. Na gościńcach – pustka, przez dwa dni nieomal bezustannej jazdy spotkałiliśmy może 50 wozów, głównie ciężarówki. Gdzie indziej większość dawno poszłaby na złomowisko. Jak to się dzieje, że jeszcze jeżdżą – nie wiem. Kierowcy pewnie też nie wiedzą.

Wyboje jak kratery, ale nie mniejszy problem stwarza brak znaków drogowych. Skrzyżowania, rozjazdy – bez tablic. Pewnie na zasadzie: a po co, swój i tak dojedzie. W każdej wsi parokrotnie zatrzymujemy się, by wysłuchać skomplikowanych objaśnień: *priamo... i w prawo... i w liwo... i jeszcze priamo, priamo...* a tam znowu spytacie...

Przy smacznym obiadku uskarżamy się księdzu Franciszkowi, który zaraz pyta, czy wolno żarcik powiedzieć. Bo to teraz tak się porobiło, przedtem ludzie nie błędzili, przeciwnie, w każdej miejscowości Lenin z pomnika wskazywał kierunek: *tędy, towarzysze... tędy...*

W samym Gródku nie będziemy mieć kłopotów, trwa ulica Lenina, zdobna w jego pomnik. Wcale świeży, sprzed ośmiu lat. Przy Leninie, ramię w ramię, ale na własym podeście, Matka Boska, z uniwersum w tle. Można odnieść wrażenie, że się pogodzili i tak sobie stoją, nie wadząc nikomu nad sennym Smotryczem.

Seminarium gródeckie, czynne od niespełna pięciu lat, kształci 68 kleryków. Drugie rzymskokatolickie seminarium na Ukrainie – kijowskie – funkcjonuje od roku. Doszło trzecie, pod Lwowem.

Chmielnicka oblast, misto Horodok, Prowuток Pijonerskij nr 14: tak trzeba adresować pocztę do księdza Franciszka. „Nazwisko moje Harasiewicz, a znowuż ksiądz rektor seminarium tutejszego – Jan Ślepowroński. Tak to wygląda”.

Cichutki, drobny, uśmiechnięty. Wygląda na człowieka, którego niełatwo wyprowadzić z równowagi.

Lenin odegrał rolę w osobistym życiu księdza Franciszka. Gdy w 72-gim władze chciały przenieść kapłana za Płoskirów, pod pomnikiem zebrał się kilkusetosobowy tłum, zagrzębiał krzyk „Lenin, oddaj nam księdza”. I pomógł.

Wielu Leninów na wschodniej Ukrainie. Poprzedniego minęliśmy w Kołomnej, nieopodal niezapomnianej Iwanowki. Wjazd do jeszcze innej wsi przyozdabiał obelisk z sierpem i młotem, „Na Zachodniej to już niemożliwe”, uspokajają księża. Też z tym różnie, choć generalnie *Zapadna* przestawiła się na inny zegar, żyje własną pamięcią. Wątpię, czy się pogodzimy w jej ocenie.

Tak blisko, tak daleko. Ostatnia miejscowość przed dawną granicą – Skała Podolska. Tam jeszcze trwają rachityczne chałupki ze szparkami okien i brzuchate balkony na chudych kamieniczkach. Bardzo niegdysiejsza jest ta Skała, budowana bez ładu i składu, jak się komu w duszy grało, rozrzucona, rozbałaganiona po skarpach, z drogą gwałtownie w dół, z nieoczekiwanym widokiem na polskie ruiny i ukraiński pomnik. Mam to w oczach: zakręt, ogromne, półrówninne pola i obok resztek po zamku, po pałacu, w każdym razie po czymś, co zanim przeinaczyło się w gruz, musiało być polskie – obelisk. *Wieczna pamiątka* ufundowana ofiarom bolszewizmu przez *Wseukraińskie bractwo wojaków UPA*.

Więc Skała Podolska, drugi wstrząs po Zbarażu. Tam wspaniały kościół w ruinie, tu szkielet świeckiej świetności. Już się z martwych nie podniesie. Na Ukrainie można się przekonać, jak wstrząsająca bywa śmierć kamieni. Szczególnie tych zabijanych nie z biedy. Z intencją. Lęk ogarnia, gdy naród – każdy! – wyzbywa się świadectwa wieków. Tak na dobrą sprawę – o czym świadczy strach przed „cudzą” kulturą? Czyżby własna była tak niedoceniana, by się lękać porównań? Bolesnym przykładem Lwów. Ukraińcy jakby wciąż nie byli pewni swej drugiej stolicy. Architektura mówi za siebie, i nie po ukraińsku. Odpolszczyć Lwów – znaczyłoby: zburzyć go. Inny sposób nie istnieje. Zatrzymując miasto. Ukraińcy załatwili sobie cięższy kompleks niż we Lwowie przedwojennym. Gdyby rzeczywiście czuli się tu u siebie jak w Kijowie albo Żytomierzu, nie byłoby aż takiej koncentracji akcentów jednak stonowanych na wschodzie

republiki. Siły nacjonalistyczne skoncentrowały się we Lwowie. Sporo ludzi przy władzy żyje złudzeniem, że te mury dadzą się zakrzyć.

Tak daleko, tak blisko... I już Zbrucz, leniwa, mała rzeczka. W tym miejscu – po drodze z Gródka Podolskiego do Trembowli – nieomal przeskoczyć można było tasemkę ciemnej wody. Zbrucz między Kamieńcem a Trembowlą jest tak wąski, że żołnierz z KOP-u z ich pogranicznikiem mogli sobie nad tą spokojną i powolną wodą podać ręce.

Nie podali.

Od Trembowli wyraźne „przysiadanie” terenu, znak, że zaczęliśmy się rozstawać z płytą podolską. Po prawej intensywniejący w krajobrazie Wołyń. 60 kilometrów do Równego. Wczesny wieczór, a ja czuję senność. Obezwładniającą. Ziewam do bólu szczęk. Co się dzieje? Pewno skok ciśnienia. Legowicz z Władziem też nieswoi.

Rano, wychodząc z domu – już we Lwowie – słyszę że sąsiad zagania synka do mieszkania. Przeziębiony? A nie, tylko w Równem coś znów się wydarzyło i przedszkola nieczynne. Syn sąsiada urodził się dobrych kilka lat po Czernobylu, zęby ma bez szkliwa, nadzieja w tym że mleczne, więc doktor kazał czekać. Wspominam o wieczorze. Sąsiad fachowo: senność, tak, zgadza się. Chrypę pani ma? Mówię do Legowicza – jak się dobrze ściemni, trzeba spojrzeć w lustro, czy świecimy. Żart, ale ze strachem na dnie. Było coś w Równem, czy nie było? Przecież bezustannie coś się dzieje, wkracza Adamska. Podobno właśnie takie ostre i rażące słońce jak dzisiejsze, oznacza wzrost radioaktywności. Waham się, co robić. Oglądać Lwów, czy zostać w domu? Młody Adamski wyczuł mój brak zdecydowania, podpowiada: na pani miejscu ja bym został. My to co innego, nam już mało przeszkadza.

Wstyd mi przed Adamskimi, więc wychodzę, zanurzam się w nieprzyjemny, duszny, rozprężony dzień nagłego lata, w wynaturzoną majową pogodę ciężką od słońca jak głęboki lipiec, snuję się po Lwowie, mijam uniwersytet ojca, potem na eks-Akademickiej bez powodzenia – nikt z zagadniętych nie mieszkał tu przed wojną – szukam miejsca po cukierni Zaleskiego, niesiona przez tłum całkowicie, najzwyczajniej spokojny i codzienny. Stało się? Nie stało się? Jednak była

informacja w polskim radiu. Do konsulatu wiadomość nie dotarła, teraz sprawdzają, telefonują. No owszem, był pożar, lecz niegroźny. „Niepromieniujący”. Po kilku dniach w lwowskiej prasie lakoniczna wzmianka, że w Chmielnickim (więc nie w Równem?) doszło do niewielkiego wycieku radioaktywnego, nie ma mowy o jakimkolwiek zagrożeniu.

„Nic nie było”. To już nieraz słyszeli. Ukraińskie media wykluczyły radiację, a jednak we Lwowie zajęcia w przedszkolach zawieszono na dwa dni, spłukiwano podłogi.

Słoneczko jakieś rdzawe, złe i nadal mam ten metaliczny posmak w ustach. „Żeby jak najszybciej do Przemyśla” – wzdycha Robert, tamtejszy kierowca. Optymista. Ile może być z Równego do Przemyśla w linii prostej? „Zawsze trochę dalej niż z Równego do Lwowa”. No, jeśli niespełna sto kilometrów wystarcza mu na pocieszenie...

Robert regularnie przywozi i odwozi prelegentów, finansowanych przez przemyski wydział kultury, więc Adamscy musieli słyszeć więcej takich rozmów.

Stało się? Nie stało się? Ulice wymiecione z dzieci, poza tym bez zmian i z niczyjego zachowania nic mi nie wynika. Spacerują sobie ludzie? Spacerują. Widać panikę? Nie widać. Czyli życie toczy się po staremu i bez obaw, świat się nie zawali. Od rana nic nie jadłam ale nie mam odwagi na *hot dog*a z kiosku. Świeże w nim jest chyba tylko napromieniowanie. Dziwne, ale ten mankament jakby mi przestawał wadzić. Szybko się zasymilowałam. Nieomal jak w tym rosyjskim reportażowym dokumencie z Czernobyla, jeszcze za Gorbaczowa, pokazanym w telewizji. Otóż są dwie prawdy czernobylskie. Jedna, nagłośniona, o dramacie śmierci, druga, cichsza, o przekorze życia.

W reportażu sowiecki *day after*. Strefa skażona, ale nie bezludna. Iluś tam mieszkańców albo przyczało się i nie dało się ewakuować, albo też – wróciło. Chwałę sobie, żyją – niczego sobie, w sklepiku bez tłoku... Kamera ukazuje rybaków nad potokiem: no jakże, wiedzą, nie można nie wiedzieć. Był ogień, był wypadek, od razu krzyk się zrobił, gadanie o zagładzie, a jak to zagłada, kiedy ryba żywa i oni z niej żyją. Od kiedy już łowią i co: świecą? Chichot. Oko do kamerzysty. Zaśmiewają się, rozweseleni, że tak wszystkich oszukali, i milicję, i całą naukę.

Władza pilnowała, ale niektórym się udało. Teraz dopiero jest dobrze, mówią, nikt nie stoi nad głową, nie pogania, żyjesz, jak chcesz. Teraz się oddycha.

Pamiętam tę sekwencję. Czernobylscy: śmieją się z naszego popłochu, pokazują rybę – zdrowa, wskazują na siebie – zdrowi, więc o co chodzi, o czym my mówimy, niby gdzie jest to niebezpieczeństwo. Nie widać go. I na co to wmawiać narodowi głupstwa różne. Nauka światowa, zawracanie głowy, dzisiaj wszyscy mądrzy. A czemu ci uczeni nie wymyślą co robić, żeby ludziom łatwiej było?

I zęby w rybę. I zdrowy śmiech.

Dawno. Jest rok 1996 i lwowianka, Polka, konstatuje spokojnie, bagatelizująco: „słoneczko jaskrawe. Znowu coś się dzieje. Jak jest awaria w Równem zawsze mamy takie słońce. No trudno. Nic nie poradzimy. Trzeba żyć, wykorzystać każdą sekundę tego życia”.

Anna STROŃSKA

Sołowki, czerwiec

1. Białe noce na Sołowkach cicho tleją w lilaróż: od wyblakłych fioletów na pierwszym planie, przy samym brzegu, po amarant krzepnący w dali, na widnokręgu, tam, gdzie słońce tonie w morzu, na mgnienie. Woda, niebo, obłoki i kamienie, to różne tony różowego, nawet mgły i piana morska wyglądają jak żurawinowy mus. W białe noce Białe morze jest spokojne: ni fałdy, ni zmarszczenia. Niczym wielkie, przyciemnione lustro, w którym można i wyspy zobaczyć, i ludzi. I siebie. Ludzie siedzą w łodziach, są czarni pod światło, jakby ich nie było – mroczne dziury w lila tle. Są głodni i nieruchomi. Czekają na śledzie, jedyne tu źródło białka dla wielu. A śledzie, też wygłodzone przez zimę, biorą na puste haczyki. Wystarczy kawałek kija, żyłka, dwie blachy po konserwach, imitujące ryby, a między nimi sześć, siedem haczyków. Jeśli idą ławicą, to nie nadążasz ich z wędką zdejmować, zrazu po kilka chwytą. Wtedy obraz ożywa, ludzie się poruszają, wędziskami kołyszają, co rusz śledź błyska, to tu, to tam. Czasami nawet śmiech dolatuje po wodzie, częściej jednak mat. Natomiast dni w tym okresie bywają niebieskie, od jasnego indygo do emaliowej lapis-lazuli, lub przezroczyste, jak szycło. Na drzewach pojawia się młoda zieleń, puszysta i delikatna, niby jeleni scypuł, a z ziemi, tłustej i nasiąkniętej, trawy wyłazą, robaki, czasem też ludzka kość, jeśli głębiej kopnąć. Początek czerwca to na Sołowkach pora ogrodów: czas sadzenia kartoszki, reperowania inspektów, motania na paliki drutu kolczastego i wybierania z ziemi kamieni, które zmarzlina tu co wiosnę wyciska, jak węgry. Kiedyś, w epoce późnego neolitu, Saamowie budowali

labirynty z kamieni, a dzisiaj ludzie klną na czym świat stoi, bo ich ręce od kamieni bolą. – *Bljad'*.

[2. We współczesnej ruszczyźnie słowo *bljad'* (formy oboczne: pieszczotliwa *blja*, młodzieżowy *blin*) pełni funkcję naszej „kurwy”. Natomiast w języku starosłowiańskim, skąd do ruskiego przyszła, *bljad'* miała dwa znaczenia, uzupełniające się wzajem: „złudzenie” i „nierządnicą”. *Ditia, ali nie razumiejesz* – uczył w XVII wieku protopop Awwakum – *jako wsja sija wniesznajaja bljad' niczto że sut', no tokmo prieljest' i tlja, i paguba?* Dla protopopa-raskolnika rzeczywistość była jednocześnie i dziewczką sprzedażną, i kłamstwem; bo w istocie rzeczy, twierdził, świat zewnętrzny to oczarowanie (i oszukaństwo, zarazem), marność i zguba. Czasami, patrząc na łodzie odbite w wodzie, lub na kamienne ścieżki donikąd, myślę, że może Awwakum miał rację i że mój trud opisanie sołowieckiej rzeczywistości to jeszcze jeden labirynt (w słowach), albo zwierciadło puste. Mówiąc inaczej, czasem mam wrażenie, że zwodzę czytelnika na manowce, a ciekawemu tego świata, podsuwam... *bljad'*.]

3. Na fotografii Sołówek, zrobionej ze sputnika (z wysokości 260 wiorst), widać niezwykłą gmatwaninę jezior, przesmyków, mierzei, zalewów, kanałów, cyplów, zatok i grobli, tworzących razem ogromny labirynt wodnych luster, przypominający kamienne konstrukcje starożytnych Saamów. Między jeziorami biegną tropy, różnorakie: od starych traktów monastyrskich, kiedyś zapewne wygodnych, bo przeznaczonych dla bryczek i tarantasów, dzisiaj zaś wyboistych, dziurawych, porozbijanych ciężarówkami i traktorami, do kładek zbutwiałych, przełożonych przez mszary i nikłych śladów ludzi, odcisniętych we wrzosach. Jedne wiodą w głąb wyspy, drugie w głąb czasu; niektóre plotą się brzegiem morza, wydzierganym przez fale, niczym ruskie koronki, inne tną na przełaj błota, lub czyją pamięć. Czasami droga wznosi się i opada, powtarzając rytm wzgórz morenowych, innym razem kluczy, jak wątek opowieści, omijając miejsca zdradliwe. Tropy sołowieckie można czytać bez końca, można nimi błądzić, szukać prawdy (gdzież ona?), spacerować, mędrkować, zbierać zioła, kamienie, lub witki brzozone do

bani. Można też modlić się, chodząc nimi, jak ojciec Ilarion, zeka, który przebierał wiorsty nogami, niby paciorki różańca przed śmiercią, albo zgubić się, w poplątaniu ścieżek i jezior, w zamotaniu czasu teraźniejszego, przeszłego i obecnego, w odbiciach, w echach i echolaliach. Dlatego spróbuję, choć nie rękę za dokładność, naszkicować plan (rodzaj bedekera), by ułatwić czytelnikowi orientację w tym świecie, przeze mnie pisanym.

4. Sołowiecki archipelag leży w południowej części morza Białego, na skraju zatoki Oniegi, 160 wiorst od Kręgu Polarnego. Składa się z sześciu dużych wysp, oraz dziesiątek małych. Największa z nich, Wielka Sołowiecka, ma 25 wiorst wzdłuż i 16 wszerz, czyli jest większa niż Malta. Anzer, dziesięciokrotnie mniejszy, wysuwa się najdalej na północ. Na wschód wystają dwie Muksałmy, duża i mała, a na południowy zachód Zajęczce. Wokoło sterczą korgi, bakłańce, poli-wuchy, bakłysze, pachty i czury – różne formy kamiennych występów: od gołych głazów w liszajach jagiela po niewielkie łądy w kłębach karłowatej iwy i brzeziny, jak Babia, Psia, Wronia, Popia czy Filipowa. Mówiąc wprost, Sołowiecki archipelag to kupa kamieni, przyniesiona lodowcem, przykryta niewielką warstwą ziemi, błota i piachu, i porośnięta bujnym lasem, różnego rodzaju: i suchym borem sosnowym, i tajgą podmokłą, i tundrą. Las na Wyspach jest baśniowy, nieprzypadkowo Iwan Bilibin ilustrował ruskie bajki landszaftami sołowieckich ostępów. Rosną tu sosny i świerki, brzozy, osina i olcha, jarzębina i wierzba, a także cedry, ludzką ręką posadzone, jodły, klony, topole, modrzewie, czeremcha i bez. Powietrze pachnie jodem i żywicą. Klimat panuje morski, łagodny, jest znacznie cieplej, niż na lądzie. Cma jezior i ruczajów zapewnia słodką wodę, a obfitość ryb, jagód i grzybów – pożywienie. Może dlatego w opisach Sołówek, zarówno monastycznych, jak i świeckich, tak ruskich, jak i cudzoziemskich, bardzo często występuje metafora „oazy na pustyni Północy”.

Główną wyspą archipelagu jest Wielka Sołowiecka, o powierzchni niespełna 250-u kwadratowych wiorst. Tu stoi Kreml, posiołek i nasz dom, tutaj znajduje się większość skitów monastyrskich, śladów SŁON-a i krocie innych

osobliwości, skąd wreszcie zaczyna się historia klasztoru, latopis Rusi na Północy, zatem i moja opowieść. Na wspomnianej już fotografii z kosmosu Wielka Sołowiecka wyspa przypomina ludzki czerep, zwrócony pustym oczodołem na wschód. Zawiliły profil jej brzegów, kręty jak bizantyjski ornament, liczy 200 wiorst, choć obwód wyspy wynosi zaledwie wiorst sto. Owa różnica ginie w bezliku zatok, przylądków i cypli, zalewanych wodami przypływu. Od zachodu w Wielką Sołowiecką wrzyna się zatoka Pomyślności, ze wszystkich stron ukryta od wiatrów, idealna na przystań. Tu cumują parostatki z turystami, barki towarowe, kutry. Tutaj zeka wysadzali. Na północ otwiera się zatoka Sosnowa, tam najtłuściejszy śledź chadza, dlatego monastyr miał tam swoje tonie, potem SŁON na nich łowił, a dzisiaj miejscowe muzyki. Natomiast od wschodu podchodzi do samego posiołka zatoka Długa, usiana masą wysepek, gdzie za łagru były fermy zwierząt futerkowych, karmionych lepiej, niż sołowieccy zeka, bo ludziom dawali chudą bałandę, a lisom mięso i świeżą rybę, sobolom nawet orzechy i miód. Nic dziwnego, wszak ich futra w Paryżu noszono. Na południu Wielka Sołowiecka się zwęża i kończy cyplem Pieczaka, z wieżą triangulacyjną na czubku sopki, widoczną z daleka z morza. Relief wyspy, powtarzający drogę lodowca, tworzą pasma wzgórz morenowych, ciągnących się z północnego zachodu na południowy wschód: Chlebne, Wałdajskie, Grzmiące, Wilcze. Najwyższe wzniesienie Sekirnaja Góra, ma 95,5 m. Znaczną część Wielkiej Sołowieckiej zajmują torfowiska, czyli błota niezwyklej urody. Na jednym z nich, Filimonowskim, w 1925 roku zaczęto wydobywanie torfu. Ci, którzy to przeżyli, wspominają piekło: rycie rowów w mokradłach, karczowanie martwych pni, komary, maszkary, omamy. W 1929 przeciągnięto tam linię kolei wąskotorowej, łączącą Filimonowskie błoto z portem w zatoce Pomyślności. Nasyp do dzisiaj był się ostał, to piękna droga spacerowa wśród jezior. A jezior na wyspie mnóstwo, ponad pół tysiąca. Za igumena Filipa (czasy Iwana Groźnego) wiele z nich połączono kanałami, podnosząc tym samym poziom wody w Świętym jeziorze, co pozwoliło zrobić wodociąg w monastyrze i młyn. W okresie SŁON-a wykorzystywano te kanały do spławiania drzewa, wycinanego bez żalu w pień. Dzisiaj turys-

tów kanałami wożą, na łódkach jak na gondolach, a śmiechu przy tym co niemiara, czasem też słyhać pijacki wrzask. W czerwcu sezon turystyczny się zaczyna.

Anzer to druga co do wielkości wyspa archipelagu, o podłużnym kształcie końskiej dolnej szczęki, wyciągniętej z zachodu na wschód, na 16 wiorst. Od Wielkiej Sołowieckiej oddziela go salma, czyli pięciowiorstowa cieśnina, gdzie morze kipi z taką siłą, że nawet zimą rzadko zamarza, odcinając Anzer od ludzi na wiele miesięcy. Może dlatego można tu jeszcze spotkać renifery, dziko żyjące. Anzer jest wyspą szczególną w sołowieckim archipelagu, wyspą specjalnego przeznaczenia. W jego skitach panował reżym sroższy, niż w innych, mięsa i ryb tam nie jadano, pątniczek nie wpuszczano i nawet rytuał nabożeństw był osobny: tylko panichidy odprawiano – msze za zmarłych. Za czasów SŁONA-a na Anzer zawożono „mamki”, czyli kobiety z dziećmi urodzonymi w łagrze, syfilityczki i duchownych różnych obrządków, w tym także grupę polskich księży katolickich (akta ich sprawy, tzw. „dzieło”, leżą w archiwach KGB w Archangielsku). Nikt stamtąd nie wrócił. Obecnie Anzer jest także pod szczególną ochroną: bez zezwolenia na piśmie wstęp nań surowo wzbroniony. Nawet mieszkańcy Wysp bywają tam półgębkiem, mimochodem. Natomiast turyści, podróżujący po morzu Białym, mogą jedynie z daleka na Anzer popatrzeć. I zrazu zauważą Gólgotę, najwyższe wzniesienie Sołówek (200 m. n.p.m.). To kulminacja wyspy, zarówno w sensie geograficznym, jak i mistycznym. Na szczycie świecą resztki chramu Ukrzyżowania Pańskiego: ściany białe, jakby solą wyjedzone, puste jamy okien, w których mieszka wiatr. Obok kikuty skitu, szczątki cel zarośnięte iwan-czajem, zapadnięte stropy... Niczym pozostałości po przybyszach z innego świata. Nie z tego, bynajmniej nie z tego, co rozpościera się w dole, u stóp Gólgoty. Tam rośnie las wysokopienny, wiecznie zielony, w nim okna jezior (ponad 80-ciu), w których widać niebo, gdzieś tam stada dzikich renów się pasą, dalej szumi morze. A na horyzoncie, w sienie mgiełce, majaczy góra Tabor na Muksałmie.

Muksałma jest owalna, trawiasta i zabłocona. Liczy prawie 17 kwadratowych wiorst, z czego ponad połowa przypada na soczyste łąki, służące od najdawniejszych czasów

do wypasu brackich krów. Już w pierwszym „Opisie” monastyra z 1514 roku, można znaleźć wzmianki o rogaciznie i koniach na Muksałmie. W XIX wieku Muksałmę połączono z Wielką Sołowiecką za pomocą słynnej damby, czyli kamiennej grobli o długości 300 sążni. Jednocześnie osuszono znaczną część muksałmskich błot, rozszerzając tym samym powierzchnię pastwisk. Na zachodnim brzegu wyspy bracia zbudowali wzorcową fermę krów, koniusznię i kurnik, oraz korpus mieszkalny dla pastuchów, cele monasze, zajazd dla pątników i chram Sergiusza Radonieżskiego. Za czasów SŁON-a zorganizowano tam *sielchoz*, w którym pracowały Ukrainki, przywiezione na Sołowki za ludożerstwo, zaś sama zona przypominała „niewielką, przytulną wioseczkę na głuchej prowincji”, jak o niej pisano w łagiernym periodyku *Sołowieckije ostrowa* w 1929 roku. W latach 30-tych Muksałma była modelowym ośrodkiem hodowli zwierząt i bazą rozwoju dla całej radzieckiej Północy – stąd brano młode. Obecnie pastwiska zarastają pokrzywą i ostem, domy murszeją i gniją, a kraty w oknach żre rdza. Natomiast wschodnią część wyspy zalegają rozległe błota, tarasami się wznoszące na grzbiet Tabora. To mój ulubiony zakątek Sołówek: wiosną pachnie tam bagiennymi ziołami, latem moroszka dojrzewa, niczym łany bursztynu, a na jesieni błota taborskie robią się ryżo-bordowe i goreją jak próchno. Grunt pod stopami to się zapada, to wzdyma, i masz wrażenie jakbyś kroczył po pęcherzu ziemi, wypełnionym gęstą surowicą. Dalej Tabor się urywa, gwałtownie, ku morzu. U podnóża fale, wodny pył i Mała Muksałma w warkoczach piany, a na niej niewielka osada sezonowych dobywaczy morskiej trawy.

Po przeciwnej stronie Wielkiej Sołowieckiej, dwie i pół wiorsty na zachód, leżą wyspy Zajęcze: Większa (1,3 wiorsty kw.) i Mniejsza (nieco). Ani błot tam nie ma, ani jezior, ani lasu. Tylko piargi na zboczach niewysokich sopek, zwały szarych głazów poprzerastane jagodnikiem i „tańczącą” brzozą. W tym bezładnym na pozór usypisku, jeśli uważniej się przyjrzeć, można odnaleźć ślady ludzi neolitu: czternaście labiryntów, ponad sześćset kurhanów, dwa dolmeny i szereg innych budowli z kamieni. Wyspy Zajęcze były kiedyś świątynią Saamów. Potem brać prawosławna postawiła tam

swoje znamiona: krzyże, czasownie i cele. W 1702 roku Imperator Rosji, Piotr I, własnoręcznie położył pierwszy wieniec chramu św. Andrzeja, na pamiątkę swojej wizyty na Sołówkach. Ów chram stoi do dziś. W latach 1854-55, podczas oblężenia sołowieckiego monasteru przez Anglików, najeźdźcy dwukrotnie wysiadali na Zajęcze wyspy w celu zagarnięcia brackich kóz. Za czasów SŁON-a na Zajęczkach urządzono izolator karny dla „rozwiązanych seksualnie” kobiet, a także, wedle niektórych świadectw, wykańczano tam sekciarzy głodem. „Wychowawcze znaczenie zajęczego karceru nie sposób przecenić – pisała gazeta *Nowe Sołowki* w 1925 roku – kto raz się w nim znalazł, ponownie tam nie trafia”. I trudno cośkolwiek więcej powiedzieć, bowiem relacji stamtąd nie ma, tylko pogłoski doszły do nas, domniemania. Obecnie Zajęcze wyspy są celem turystycznych wycieczek, terenem letnich obozów archeologicznych dla studentów, a dla Sołowczan miejscem dla wypitek. Po posiołku chodzą słuchy, że tam gołe dziewczki pływają przy pełni miesiąca. Ponoć Wowę nawet...

5. A teraz chciałbym zaprosić czytelników *Kultury* na wycieczkę. Drogę na Sołówkach jest wiele i wszystkich przejść niepodobna (tym bardziej wszystkie opisać), dlatego jedną choćby przejdźmy razem. Proponuję stary trakt monastyrski, obchodzący główne skity Wielkiej Sołowieckiej wyspy, zwany wśród miejscowych przewodników „wielkim kręgiem”.

Z Posiołka wychodzimy ulicą Siewierną, uważając na pijanych motocyklistów, mijamy przystań, skład paliw i wchodzimy w las. Woń mazutu po chwili znika. Z lewej strony otwiera się widok na zatokę morską, odciętą groblą z kamieni, którą zbudowano w XVI wieku, z inicjatywy igumena Filipa Kołyczewa, tworząc tym samym zamknięty zbiornik słonej wody, by bracia mieli zawsze świeżego dorsza na stole, niezależnie od pogody na morzu. Dzisiaj Filipowe sadzawki zarastają zielskiem.

Dwie wiorsty dalej odnoga na prawo: do Makarjewskiej pustelni. Tam, w głębokiej dolinie między trzema wzgórzami, ze wszystkich stron osłonięta od wiatrów, stoi „dacha archimandryta”, czyli letnia rezydencja przeorów sołowieckiego klasztoru, zbudowana na początku XIX wieku. Osobliwy

mikroklimat pozwalał tu monachom hodować dynie, arbuzy i róże. Za czasów SŁON-a na dacy żył Eichmans, naczelnik łagru. Niemiecki komunista, Karl Albrecht, goszczący u Eichmansa w 1928 roku, długo potem wspominał „drogocenne gobeliny, perskie dywany i stylowe meble”. Naczelnik bawił się pysznie: codziennie świeże baby z kobiecej zony, kokaina, alkohol. A wokoło raby, zgięte nad grządkami, jarzyny, kwiaty. Za Eichmansa pustelnię nazwano „chutorem Gorki” i tak ją zwą do dziś. Obecnie to ogród botaniczny, oddział sołowieckiego muzeum. Mieszka tu stróż, pomyłony Grisza, syn kagiebiasty z Murmańska. Kilka lat temu przeczytał *Sołżenicyna* i przyjechał na Sołowki, by na własne oczy zobaczyć, jak to przylegało do ojcowskich opowieści. A kiedy poczuł, że mu się ziemia spod nóg osuwa, uwierzył w Boga i zaczął pić. Po pijanemu, bywa, z Eichmansem gada, a niekiedy sam się Eichmansem mieni.

Idziemy dalej. Droga opada i wznosi się, powtarzając oddech lodowca, miejscami czasy minione, lub czyjeś opowieści. Po obu stronach las, jeziora między drzewami, drzą. Na piątej wiorście Korzino: świetlana woda, przystań dla łódek, altana. W krzakach ślady biwaków, puste butelki, pogniecione puszki, wypalona trawa. Kiedyś stała tu czasownia, ale ją rozebrali w czasach SŁON-a, na cegłę. W latach 30-tych zeka stąd drewno spławiali, do pędzenia smoły. Dwie wiorsty za Korzinem rozstaj: na prawo droga do Isakowa, my zaś idziemy w lewo, na Sekirną górę. Z daleka widać białą plamę chramu Wniebowstąpienia na szczycie, jakby ujętą w kadr tropy. W bębnie chramu, zbudowanego w 1860 roku, mieści się latarnia morska, za łagru obsługiwana przez monacha Flawiana. Opodal stoi duży drewniany dom z oszklonym balkonem. Mieszka tu stróż Feliks z żoną. Po posiołku szumią ploty, że Feliksowie zesłi ludziom z oczu, by mętną przeszłość skryć. Naprzeciw domu koniusznia, niżej kamienna bania, ambar. Od początku istnienia SŁON-a na górze urządzono karcer srogiego reżymu. Dłuższych kar na Sekirnej nie przeżywano. Trupy zarywano na zboczach, w jagodnikach. Jagody do dzisiaj tu rosną dorodne. Na szczycie punkt widokowy, ławki, kosze na odpadki. W dole wspaniały landszaft: tafle jezior okolone lasami, rozległe łąki, ruczaje, pasmo Wilczych wzgórz, a wokoło morze, to żarzy się w

słońcu, to ćmi we mgle. Za każdym razem, kiedy tu bywam, myślę, czy z takim widokiem przed oczyma łatwiej było umierać, czy trudniej? Schodzimy po schodach, którymi spuszczano zeka, przywiązanych do oblodzonej belki. U podnóża góry stoi krzyż. Co roku na wiosnę, w prawosławną Radonicę, kiedy jeszcze śnieg leży kopny, a ptaki tylko zaczynają krzyczeć, sołowieccy mnisi odprowadzają tu panichidę za ofiary SŁON-a, kadząc dymem świerkowej żywicy, świeżo z drzew wyciekłej. Dym jest gorzkawy, kręci w głowie.

Parę wiorst dalej Sawwatijewo, były skit. Dzisiaj niewiele zeń zostało: kamienny korpus cel bez dachu, wrak cerkwi, resztki drewnianego domu, obnażone fundamenty, gruz. Do niedawna myślano, by tu pensjonat urządzić, dom wczasowy, lub łagier dla pionierów. Ale czasy się zmieniły, starym strukturom rubli zabrakło, a „nowi Ruscy” wolą na Majorce inwestować. Zatem Sawwatijewo oddano monachom. Bracia chłam uprzątnęli i pod południową ścianą chramu, tam, gdzie słońce najbardziej praży, rozkopali spłacheć ziemi pod grządki kapusty, brukwi i rzepy. Postawili też parniki dla ogórków, inspekty na pomidory. Dogląda tego Kostek, jeszcze niedawno student prawa międzynarodowego i filologii arabskiej Uniwersytetu Moskiewskiego, a obecnie ogrodnik klasztorny. Tutaj, w ustroniu pustelni, wraca powoli do siebie po tym, jak mu głowa pękła od nadmiaru wiedzy. Kostek odwykł od ludzi i nie zaprasza do siebie, a już czas, by czaj wypić, wszak za nami 15 wiorst. Niedaleko Sawwatijewa, przy drodze na Isakowo, leży małe jeziorko Kupalne. Nad nim chata drewniana stoi, ławki, ognisko. Tu można przysiąść, odpocząć, serdelki upiec, wykąpać się. A przy jasnej pogodzie można jeszcze zobaczyć resztki zatopionego baraku na dnie jeziora: drzwi z *głazkom* i z *kormuszkaj*, cienie nar. Ów ślad SŁON-a bywa niekiedy tak wyraźny, że mimowolnie się oglądniesz, czy to nie odbicie.

Po krótkim odpoczynku ruszamy dalej. Droga wiedzie przez wysoki, gęsty las, gdzie słońce sączy się, jak wybroczyna, cienkimi smużkami. Wtem, z lewej strony, tafla Czerwonego jeziora łamie las i otwiera niebo, pod nogami. To tutaj Niesterow namalował słynne „Milczenie”: dwie łódki na pierwszym planie, w każdej monach z wędką, obaj w toń zapatrzeni, jakby powtarzali za wodą litanie obłoków, w dali

Sekirnaja góra, chram Wniebowstąpienia... Dawniej, przed Rewolucją, jezioro Czerwone nazywano Białym. Na jednej z jego wysp istnieje małe jezioro, a na nim maciupienka wysepka. Dochodzimy do Isakowa. Szeroka łąka zbiega ku jezioru, nad brzegiem wielki kamienny dom, obok drugi, osunięty w łopuchy, dalej pawilon z faniery, ni to kemping, ni stołówka zakładowa, a nieco powyżej, w kępie drzew, na wpół rozwalona drewniana obora, pozarastana malinami. Na początku XIX wieku zbudowano tu niewielki skit dla monachów, zajmujących się rybactwem i sianokosami. Za SŁON-a skit się był rozrósł w spory posesiłek, z telefonem, klubem i szkołą *likbieza* (czyli: likwidacji analfabetyzmu). Była też ferma mleczna, ośrodek przemysłu leśnego, oraz łagierne ogrody i szklarnie, o których opowiadała mi Jewdokija Jakowlewna, żona ostatniego sołowieckiego nadzorca zeka. Potem Isakowo opustoszało, bezpańskie. Część budynków rozgrabiono, część spalono, a resztę wykupił *Awtokombinat* z Archangielska i urządził w byłym skicie ośrodek wypoczynkowy. Czynownicy wszystkich rang tu bywali, od aparatczyków najniższego szczebla do pierwszych sekretarzy, generałów i ministrów. Dzisiaj Isakowo znowu jest bezpańskie, bowiem okazało się, że archangielski *Awtokombinat* nie miał prawa kupować zabytku, a sołowieckie muzeum nie ma pieniędzy, by ów zabytek utrzymać. Tak więc resztki isakowskiego skitu służą obecnie miejscowym naczelnikom do najróżniejszych *popojek a la russe*: z bania, z bladjami i z prosiaczym wizgiem.

Dalej drogi się łączą i wracamy do posesiłka tym samym szerokim traktem, którym zeń wyszliśmy. Zatem zatoczyliśmy krąg, jak czerwcowe słońce na nieboskłonie, lub jak opowieść o rozwidlających się ścieżkach. Bo Sołowki nie mają ani początku, ani zakończenia...

6. I jeszcze jedno: należy uważać! Na Sołowkach setki jezior odbijają świat, nad wodą pochylony, zaś złudzenia optyczne, częste na Północy, sprawiają, że te odzwierciedlenia zdają się czasem bardziej realne, niż rzeczywistość, natomiast granica między nimi ulega zatarciu. Słyszałem o pijanym pątniku, który wpadł do wody i utonął, bo wziął odbicie monastyra w zatoce Pomyślności za Święte Wrota w rzeczy

samej... Opowiadano mi też o Julce M., tutejszej poetce, która się pomieszała od tych zwielokrotnień i powiesiła się, by wrócić do jedności. Na korze brzozy zostawiła dwuwiersz, ółówkiem:

*By do was przyjść, odchodzę –
Tak będzie mi po drodze.*

Mariusz WILK

KSIĄŻKI POLSKIE ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Nobel dla czystej poezji

Omówienia twórczości Szymborskiej rosną w lawinowym tempie, *Teksty drugie* poświęciły jej cały numer, podobnie *NaGłos*, ale lektura tych omówień prawie zawsze pozostawia poczucie niedosytu, albo przesyty. Nie, nie mam tutaj zamiaru naigrywać się z niedoskonałości krytyki literackiej, przeciwnie, pragnę zastanowić się nad tym, dlaczego tak trudno pisać o tej twórczości.

Stanisław Barańczak zaczynając swój esej na temat „Ludzi na moście” tak pisze:

„Przydarza się to chyba każdemu. W trakcie codziennej konwersacji, czytania gazety, słuchania radia, zdajemy sobie sprawę z jakiegoś faktu; w normalnych okolicznościach nasz umysł poprzestałby na tym, czasami jednak – jakby niezależnie od udziału woli – pracuje dalej i ‘domyśla’ rzecz do końca, opatrując fakt tą czy inną niespodziewaną, choć logiczną konsekwencją, przekornym dalszym ciągiem. Można by ten proces sprowadzić do prostego modelu: umysł stwierdza ‘jest tak a tak’, po czym natychmiast dopowiada: ‘no dobrze, ale...’”. („Niezliczone odcienie koloru szarego”, „Przed i po”, Londyn 1988)

To trafne spostrzeżenie na temat punktu wyjścia poezji Szymborskiej: wyrasta ona z codziennej sytuacji tak towarzyskiej jak społecznej – słuchanie radia, czy czytanie gazety. Więcej, te sytuacje są przez poetkę przejrzyste sugerowane lub nawet przytaczane w wierszach. Na przykład, powiada Barańczak, mówimy o Krzysztofie Kamiliu Baczyńskim, czy o tym, że wiek dwudziesty właśnie się kończy. Przykłady można

mnożyć, a byłoby ich mniej więcej tyle, ile jest wierszy Szyborskiej drukowanych po 1956 roku. Co w takiej sytuacji ma zrobić krytyk? Skonstatować musi, może nawet skatalogować i usystematyzować te sytuacje wyjściowe, ale, jeśli ma choć odrobinę wstydu w ciebie, czuje ironiczny wzrok czytelnika na sobie: też mi odkrycie, przecież to każdy widzi!

Barańczak, rzecz jasna, idzie dalej. Otóż Szyborska nie tyle powtarza te codzienne sytuacje, ile wykrywa w nich coś zupełnie nieoczekiwanego. Cóż z tego, skoro i w tym wypadku dokonuje operacji powszechnie dostępnej: nie bez kozery Barańczak pisze o „umyśle”, który wprawdzie konstataje, aby natychmiast to coś zakwestionować. Wiemy dzięki temu dużo więcej o mechanizmach rządzących poezją Szyborskiej, na przykład to, że nie tylko zostają tam przywołane sytuacje potoczne, ale i że pewne ogólnie przyjęte mniemania są tam w sposób zaskakujący kwestionowane. Przy czym zaskoczenie, o którym mowa, nie przekracza granic naturalnych zachowań każdego umysłu. Czyli że, mówiąc złośliwie, nikt nie powinien być specjalnie zaskoczony. Cóż ma począć krytyk? Pominąć nie może, bo mówimy wszak o podstawach poezji Szyborskiej, ale jak to omawiać, nie popadając w irytującą czytelnika jałowość?

Oczywiście, repertuar sytuacji wyjściowych i zakwestionowań w wierszach Szyborskiej jest dużo szerszy. Pojawiają się tam często dzieła sztuki, postaci literackie, mitologiczne, wielcy ludzie, czy odwołania do literatury; jedną z naczelných wielkich metafor Szyborskiej jest, jak zauważył Edward Balcerzan, szkoła. Ale i to niewielka pociecha. Za każdym razem poetka odwołuje się do wiedzy i doświadczeń jako tako wykształconego czytelnika: Kasandra, Hiob, Maria Stuart, obrazy Rubensa, Bruegla czy sztuki Szekspira występują w jej wierszach dokładnie w tych rolach, w jakich zastygły w powszechnej świadomości. Jeśli czytelnik, mimo to, ma problemy z ich utożsamieniem, wystarczy sięgnąć po najbardziej popularną encyklopedię, leksykon, albo podręcznik szkolny. Za każdym razem mechanizm zaskoczeń polega na ujawnieniu tego, na co każdy czytelnik mógł bez kłopotu wpaść już wcześniej. Krytyk, który chciałby olśnić swego odbiorcę erudycją, nieuchronnie wpada w gadulstwo; krytyk-rewelator, który triumfalnie objawia światu to, co w wierszach ukryte,

jest w przypadku Szyborskiej bezrobotny; wreszcie krytyk rozmiłowany w pomysłowych konstrukcjach teoretyczno-literackich musi skapitulować wobec jaskrawej dysproporcji między własną wyszukaną terminologią, a ostentacyjną oczywistością materiału egzemplifikacyjnego. Nawet jeśli poetka wprowadza jakieś fakty spoza zasadniczej wiedzy każdego z czytelników, wyjaśnia je dostatecznie w samym wierszu. Krytyk-komentator może, rzecz jasna, napisać sążniste wyjaśnienie, co to takiego tarsjusz, czy strzykwa, ale interpretacji poezji Szyborskiej na tym nie zbuduje.

Pozostają wobec tego wypróbowane trakty biografizmu oraz próby wpisania tej poezji w konteksty historyczne czy polityczne. Jeśli biografizm rozumieć wąsko, to znaczy jeśli szukać w wierszach Szyborskiej śladów, choćby ukrytych, istotnych wydarzeń z jej życia, to niewiele materiału się znajdzie: kilka wierszy rozrachunkowych z okolic 1956 roku i kilka wierszy z tomu „Koniec i początek” z 1993 roku, bezpośrednio odwołujących się do śmierci jej długoletniego towarzysza życia, Kornela Filipowicza. Jeśli natomiast biografizm traktować szeroko, to pole do opisu krytyk znajdzie. Rzecz w tym, że Szyborska debiutowała w 3 numerze *Walki*, dodatku do krakowskiego *Dziennika Polskiego*, z 14 marca 1945 roku wierszem „Szukam słowa”. Jak to przekonująco pokazał Jacek Łukasiewicz („Wiersz wewnątrz gazety”, *Teksty Drugie*, nr 4, 1991), wczesne wiersze Szyborskiej to poezja pilnej uczennicy Awangardy Krakowskiej, wrażliwej czytelniczki Gajcego i Baczyńskiego, a zapewne także Miłosza, tyle że skwapliwie poszukującej pozytywnego wyjścia z labiryntów katastrofizmu i nadziei na rzeczywistych i metaforycznych gruzach świata. Tom wierszy poetki z tego okresu, choć był przygotowany, nigdy się nie ukazał, ale pozostało sporo wierszy rozsianych po czasopiśmie. Można z tych wierszy odczytać drogę Szyborskiej od akceptacji komunistycznych rządów w Polsce po ich afirmację, która z kolei zaowocowała dwoma, wydanymi już, tomami wierszy: „Dlatego żyjemy” – 1952 i „Pytania zadawane sobie” – 1954, dodajmy tomami napisanymi już w konwencji socrealistycznej. Wreszcie „Wołanie do Yeti” – 1957, a zwłaszcza „Sól” z 1962 roku, to rozrachunek ze stalinizmem, własnym w nim udziałem i przyjęcie nowego sposobu pisania, który

poetka rozwija do dnia dzisiejszego – tomy „Sto pociech” – 1967, „Wszelki wypadek” – 1972, „Wielka liczba” – 1976, „Ludzie na moście” – 1986 oraz „Koniec i początek” – 1991. Mamy zatem trzy wcielenia Szymborskiej: awangardowo-postępowe, socrealistyczne i to ostatnie, które, słusznie stanowi jej poetycką wizytówkę. W ujęciu biograficznym nacisk kładzie się na płynne przejście ideowe z pierwszego do drugiego wcielenia, zaś to trzecie traktuje się jako świadome zaprzeczenie temu, co wcześniej uznawało się za fundamentalne, głównie zaś konieczności Historii w rozumieniu stalinowskim i wszelkich jego konsekwencji. Ujęcie takie ma kilka nieusuwalnych wad. Po pierwsze przyjmuje apodyktycznie hiopotezę, jakoby Szymborska niczym innym się nie zajmowała, jak zaprzeczeniami grzechom młodości, a jest to hipoteza delikatnie mówiąc redukcyjna. Po drugie, można tę hipotezę rozwijać tylko i wyłącznie na poziomie idei, różnice bowiem ściśle poetyckie między owymi trzema wcieleniami Szymborskiej są skrajne i próby odnalezienia dla nich wspólnego poetyckiego mianownika nie dają dobrych rezultatów: są ogólnikowe i sprowadzają się do zwrócenia uwagi na predylekcje poetki do zaprzeczeń i ujęć aforystycznych. Po trzecie wreszcie próbują budować biografię poetycką Szymborskiej opartą na ciągłości, swoistej, bo dialektycznej płynności, podczas gdy, jak się wydaje, najbardziej uderzającą i formułowaną przez poetkę cechą jej tak pojętej biografii jest brak ciągłości: przełomy, wyrwy i skoki. Tym niemniej jest faktem, że juvenilia Szymborskiej to dobra poezja postawangardowa, że jej wiersze socrealistyczne to dobre wcielenia tej doktryny, i że jej pozostała poezja to jedno z najwybitniejszych zjawisk w poezji XX wieku. Najbardziej zdumiewające jest to, że są to wiersze pisane jakby przez trzech różnych poetów.

Skoro tak trudno sklecić z tych trzech poetów jednego, powróćmy do tej części dorobku poetyckiego Szymborskiej, który stanowi jej akceptowaną wizytówkę. Czy można go odczytywać politycznie? Owszem, ale to też gruba redukcja. No to może filozoficznie? I tutaj czeka krytyka rozczarowanie. Jest to niewątpliwie liryka filozofująca, ale, jak pisze Piotr Michałowski:

„[...] nie wydaje się celowy spór o wpływ tej czy innej filozofii na ‘światopogląd’ poezji Szymborskiej. Wielość pomysłów interpretacyjnych ujawnia wszechstronny kontekst, ale żaden z nich nie stanowi uniwersalnego klucza, pasującego zarazem do wszystkich wierszy czy choćby serii skupionej w jednym tomiku. Postawę poetki najogólniej scharakteryzować można jako próbę poznania świata przy założeniu jego niepoznawalności oraz akceptacji z pozostawieniem sobie prawa do ciągłej niezgody. Źródeł tej postawy można się dopatrywać zarówno w koncepcjach filozofów, jak i w ponadhistorycznych skłonnościach człowieka”. („Wisławy Szymborskiej poetyka zaprzeczeń”, *Pamiętnik Literacki* LXXXVII, 1996, z. 2.)

Znowu zatem wracamy do początku naszych rozważań: Szymborska korzysta z wiedzy, mniemań czy wyobrażeń potocznych. Co więcej, jej wiersze chętnie korzystają z tego, co Jerzy Kwiatkowski nazwał idiomem konwersacyjnym, czyli z różnych stylów potocznej rozmowy, nigdy jednak nie używając żargonów. Bohaterem lirycznym Szymborskiej jest potoczność, sposobem poezjowania – rozmowa w wąskim gronie przyjaciół, czy znajomych. Nic dziwnego, że każdy wiersz-rozmowa stanowi oddzielną, sobie tylko właściwą całość. Między jednym wierszem a drugim jest przerwa, dokładnie taka jak między jednym a drugim spotkaniem towarzyskim. Kto chciałby wnikać w tę przerwę, w prywatność nie na pokaz, w zakrytą twarz Poety – powinien sięgnąć po inną poezję. Szymborską interesuje to, co odkryte, jawne, wysławiane, swoisty teatr wystawień.

Ale to dopiero początek. Ważny początek: poetka konstruuje pewną wspólnotę z jej charakterystycznych sposobów mówienia, z jej wyobrażeń i zachowań, i z tą wspólnotą prowadzi rozmowę. Jest to wspólnota towarzyska, a nie na przykład ideowa, narodowa czy religijna; prawda, jest z nimi niesprzeczna, ale zawsze w pewnym sensie konkurencyjna. Jej bohaterami są mali ludzie zajęci małymi sprawami, zagonieni i rozgadani. Czytanie Szymborskiej to uczestniczenie w tej wspólnotcie, rozpoznawanie w niej siebie, udział w rozmowie. Nic dziwnego, że krytycy pragnąc znaleźć tradycję dla tej poezji sięgają niekiedy po klasycyzm, czy filozofujący pozytywizm. Ale to dopiero początek.

O czym prowadzona jest rozmowa? Najkrótsza odpowiedź winna brzmieć: jest to rozmowa o tematach dnia, rzecz jasna, obowiązujących w ramach tej wspólnoty, rozmowa, która nieodmiennie prowadzi do konkluzji, że życie jest nie do wytrzymania. Ma rację Czesław Miłosz, kiedy pisze:

„Jest to, powiedzmy szczerze, bardzo gorzka poezja. A ponieważ należy już do literatury w skali międzynarodowej, wolno ją zestawić z podobnymi diagnozami w innych językach. Narzuca się porównanie z rozpaczliwą wizją Samuela Becketta i Philipa Larkina”. (ibid.)

Czym jest zatem mówienie w poezji Szymborskiej? Jest niedoskonałym, opacnym, kalekim, wiecznym sposobem obłąkowania świata. A ponieważ jest to mówienie potoczne i wielogłosowe, poezja ta jest chórem przytoczeń słownych, malarskich, literackich, kulturowych „sposobów” na świat. Szymborska ma świadomość, że jej głos jest także jednym z głosów w tym chórze, ale ten chór, ta wspólnota jest szczególna: otóż, jak to obowiązuje w gronie znajomych, każdy z wypowiadających się stanowi niepowtarzalną wartość. To prawda, jest to wartość kwestionowana, ale nie negowana. Szymborska ironizuje, nigdy nie szydzi. Krucha, niepozorna, niedoskonała istota wypowiada się na swój kruchy i niedoskonały sposób. Prawda, niekiedy rości sobie pretensje do doskonałości i do totalnego oglądu świata. Jak bronić się przed tym? Cóż może począć taka istotka wobec ogromu nieszczęść, katastrof, cierpień; wobec przerastającego ją chaosu świata i dławiącej ją rozpacz; wobec pokus Wielkich Opowieści, ostatecznych rozwiązań, wszechogarniających systemów? Jak pojedynczość może przeciwstawić się temu wszystkiemu? Oto fundamentalne pytanie Szymborskiej.

Pierwsza odpowiedź na to pytanie właściwie już padła. Bycie pojedynczością stanowi, samo w sobie, ochronę przed pokusami świata. Udział w opisanej powyżej wspólnotie jednostek – to też jakieś wyjście. Najważniejszy jednak wydaje się opór. Człowiek Szymborskiej mówi „nie”. Ba, ale jakie to „nie”? Przekorne, chimeryczne, żartobliwe, ironiczne, nieuzasadnione, pełne skrupułów, wątpliwości – przymiotniki można mnożyć – słowem takie tylko „nie”, na które istotę

niedoskonałą stać. Poetka skutecznie unika pułapki zderzenia jednego totalitaryzmu z drugim, jednej Wielkiej Opowieści z drugą, jednego systemu z drugim, niby to lepszym. „Nie” Szymborskiej jest jawnie niesymetryczne z tym co neguje. Jest słaba broń słabych, którzy mają świadomość swej kondycji. I rzecz ostatnia: „nie” u Szymborskiej wypowiadają członkowie wspólnoty wobec siebie, jest to w jakimś sensie „nie” społeczne, mikrosocjalne. Teatr mówienia ma zatem u Szymborskiej funkcje terapeutyczne, niesie otuchę.

Ale negacja poetki nie sprowadza się do tego tylko. Otóż „nie” nie jest jej ostatnim słowem, raczej już pierwszym. Oto bowiem negując to co zastane, buduje poetka nieskończoną ilość światów możliwych, dających się pomyśleć, hipotetycznych. Są to krainy baśniowe, wyjęte z wyobraźni dziecięcej, ze snów, z niezauważalnych na pozór zwrotów mowy potocznej, z najrozmaitszych stylów, sposobów wyrażania świata. Jeśli sytuacją wyjściową tej poezji jest stan mówionych rzeczy, to zasadniczą operacją poetycką jest takie tych rzeczy użycie, by ujawniły swe potencjalne dno, by otworzyły się na nie kończąca się, dynamiczną serię światów-do-pomyślenia. W najbliższym czasie ukaże się książka Stanisława Balbusa traktująca o tych głównie sprawach, po-przestanie więc na tych spostrzeżeniach.

Mam cały czas wrażenie, że udało mi się opisać w najlepszym wypadku to, co oczywiste, na pierwszy rzut oka wiadome, nie najistotniejsze w tej poezji. Że wciąż znajduję się na początku rozważań. Dlaczego? Bo bardzo trudno pisać o Szymborskiej. To jest trochę tak, jak opis sztuczek iluzjonisty. Umiemy wyliczyć rekwizyty, umiemy opowiedzieć, co robi, cieszymy się jak dzieci, że raz jeszcze udało się jawnie zakwestionować oczywistość świata, ale samej sztuczki opisać nie umiemy. Z poezją jest dużo gorzej. Na upartego jakiś ponury cyrkolog mógłby bowiem punkt po punkcie zadenuncjować iluzjonistę tak, że i nam udałoby się powtórzyć jego „cuda”. Z poezją tak się nie da. Owszem, wszystko, co Szymborska robiła, jakoś się „zadenuncjować” polonistycznie daje, ale powtórzyć tego nikt nie może.

Jeśli bowiem Szymborska skutecznie przeciwstawia się rozpacz i wszystkim okropnościom wszystkich stuleci z naszym na czele, to głównie szczególną poetyckością swej

poezji. Oto na naszych oczach, na oczach potocznej wspólnoty, przy pomocy potocznej mowy, przy użyciu potocznych wyobrażeń, potocznej wiedzy i potocznego myślenia, dzieje się jawnie poezja, która samym swym istnieniem, pomysłowością, odkrywczością, błyskotliwością cieszy. Niesie pociechę. Że można. Że pojedynczość może być genialna. Tegoroczną nagrodę Nobla otrzymała czysta poezja.

Leopold NEUGER

Wisława SZYMBORSKA

RACHUNEK ELEGIJNY

Ilu tych, których znałam
(jeśli naprawdę ich znałam)
mężczyzn, kobiet
(jeśli ten podział pozostaje w mocy)
przestąpiło ten próg
(jeżeli to próg)
przebiegło przez ten most
(jeśli nazwać to mostem) –

Ilu po życiu krótszym albo dłuższym
(jeśli to dla nich wciąż jakaś różnica)
dobrym, bo się zaczęło,
złym, bo się skończyło
(jeśli by nie woleli powiedzieć na odwrót)
znalazło się na drugim brzegu
(jeśli znalazło się
a drugi brzeg istnieje) –

Nie dana mi jest pewność
ich dalszego losu
(jeśli to nawet jeden wspólny los
i jeszcze los) –

Wszystko
(jeżeli słowem tym nie ograniczam)
mają za sobą
(jeżeli nie przed sobą) –

Ilu ich wyskoczyło z pędzącego czasu
i w oddaleniu coraz rzewniej znika
(jeżeli warto wierzyć perspektywie) –

Ilu
(jeżeli pytanie ma sens,
jeżeli można dojść do sumy ostatecznej,
zanim liczący nie doliczy siebie)
zapadło w ten najgłębszy sen
(jeśli nie ma głębszego) –

Do widzenia.
Do jutra.
Do następnego spotkania.
Już tego nie chcą
(jeżeli nie chcą) powtórzyć.
Zdani na nieskończone
(jeśli nie inne) milczenie.
Zajęci tylko tym
(jeżeli tylko tym)
do czego ich przymusza nieobecność.

NIC DAROWANE

Nic darowane, wszystko pożyczone.
Tonę w długach po uszy.
Będę zmuszona sobą
zapłacić za siebie,
za życie oddać życie.

Tak to już urządzone,
że serce do zwrotu
i wątroba do zwrotu
i każdy palec z osobna.

Za późno na zerwanie warunków umowy.
Długi będą ściągnięte ze mnie
wraz ze skórą.

Chodzę po świecie
w tłumie innych dłużników.
Na jednych ciąży przymus
spłaty skrzydeł.
Drudzy chcąc nie chcąc
rozliczą się z liści.

Po stronie Winien
wszelka tkanka w nas.
Żadnej rzęski, szypułki
do zachowania na zawsze.

Spis jest dokładny
i na to wygląda,
że mamy zostać z niczym.

Nie mogę sobie przypomnieć
gdzie, kiedy i po co
pozwoliłam otworzyć sobie
ten rachunek.

Protest przeciwko niemu
nazywamy duszą.
I to jest to jedyne,
czego nie ma w spisie.

Wisława SZYMBORSKA

(z tomu „Koniec i początek” 1993)

Archiwum polityczne

Francja–Niemcy: anatomia partnerstwa

„Czy powinniśmy bać się Niemców?” To pytanie było podstawą dyskusji na temat stosunków francusko-niemieckich w paryskim miesięczniku *Esprit* w 1967 roku. Trzydzieści lat później w poświęconym stosunkom Marianny z Germanią zeszycie *Esprit* nikt już nie stawia pytania o szanse powrotu starych demonów nad Ren¹. Mimo, że wśród wielu europejskich dziennikarzy panuje obawa przed polityką nowej potęgi w środku Europy mało kto z poważnych analityków kwestionuje stabilność niemieckiej demokracji. Nie dziwi zatem fakt, iż nikt z autorów wydanego w maju bieżącego roku zeszycu *Esprit* nie zaprzecza podstawowej tezie korespondenta dziennika *Le Monde* w Bonn, Lucasa Delattre, że mimo kryzysu ekonomicznego, rosnącego bezrobocia i rozczarowanych zjednoczeniem Niemców we wschodnich landach, niemieckiemu systemowi politycznemu nie grozi destabilizacja. Demokrację niemiecką określa Delattre jako wzorową, markę jako stabilną, wyniki gospodarki jako nadal zadowalające a system socjalny, mimo problemów, sprawnie funkcjonujący. Francuskim krytykom Niemiec Delattre przypomina, iż stosunki nowych landów z rządem federalnym w Bonn są nieporównywalnie lepsze niż Korsyki z Paryżem. O tym, jak zmienił się obraz Niemiec wśród francuskich elit, świadczy książka byłego socjalistycznego ministra obrony

1. „L’Allemagne de nos incertitudes: L’Europe sera t-elle allemande?”, *Esprit*, no 221, mai 1996.

narodowej „Francja–Niemcy: Mówmy otwarcie”, która wiosną ukazała się w Paryżu². Znanego ze swoich populistycznych wypowiedzi posła do Izby Deputowanych i burmistrza Belfortu nie zalicza się do „wielkich przyjaciół Niemiec”. Tak więc niespodzianką było, iż Chevènement w swojej książce na postawione przez niego pytanie, czy Francuzi powinni się bać zjednoczonych Niemiec, zdecydowanie odpowiada negatywnie. Według Chevènement zjednoczone Niemcy nie są krajem, w którym – jak mawiał niemiecki pisarz Erich Kästner – „kwitnąć będą armaty”. Chevènement nie ufa komunikatom rządowym głoszącym harmonię pomiędzy Francją a Niemcami. Twierdzi, że obydwie państwa w sprawie dalszego procesu integracji europejskiej dzielą poważne różnice zdań, ponieważ Francja nie zgodzi się na daleko idącą rezygnację ze swojej suwerenności na rzecz propagowanych przez „federalistów niemieckich” Zjednoczonych Państw Europy.

Redakcja *Esprit* pyta także o różnice w polityce Francji i Niemiec wobec dalszego losu Unii Europejskiej. Oprócz tego, redaktorów francuskiego miesięcznika interesuje pytanie, czy rzeczywiście słuszny jest zarzut, jakoby Niemcy drogą Unii Walutowej narzucają Unii Europejskiej „swoje model gospodarki i państwa”, czy rzeczywiście istnieje taki specyficzny „niemiecki model państwa i systemu gospodarczego”. Nie lekceważąc znaczenia rzeczywistych wpływów Republiki Federalnej w Europie, wydaje mi się, że pytanie o „model niemiecki” jest pytaniem specyficznym francuskim, gdyż większość elit Piątej Republiki wierzy w doskonałość ich systemu politycznego, opartego na uniwersalnych wartościach rewolucji francuskiej i mogącego być modelem dla innych. Patetyczne *credo* de Gaulle’a wygłoszone trzydzieści lat temu nie straciło (dla francuskich elit politycznych) swojego znaczenia: „Ponieważ Francja potrafi, ponieważ wszyscy ją o to proszą, ponieważ jest to Francja, dlatego musi prowadzić na świecie politykę, która jest polityką światową”.

Mimo nadal istniejących ambicji mocarstwowych pewność siebie Francji jako *grande nation* jest zachwiana.

2. Jean-Pierre Chevènement, „France-Allemagne: Parlons franc”, Paris: Editions Plon 1996.

Podobnie zresztą jak w innych krajach zachodnioeuropejskich rosnące zadłużenie państwa zmusza rząd do radykalnej polityki oszczędzania. Przeciętnych obywateli mało interesują sukcesy francuskiej dyplomacji. Bardziej boją się utraty pracy. Mimo patetycznej retoryki rząd francuski coraz bardziej zdaje sobie sprawę z tego, że Francja nie będąc w stanie prowadzić dotychczasowej polityki mocarstwowej na własny rachunek, chce powrotu do struktur wojskowych NATO oraz wzmocnienia współpracy między Bundeswehrą a wojskiem francuskim.

Francja stawia nie tylko na współpracę wojsk. W referendum Francuzi zaakceptowali rewizję Traktatu Wspólnoty Europejskiej w Maastricht, której głównym elementem jest wprowadzenie wspólnej waluty europejskiej, co oznacza śmierć franka. Głosząca w referendum za Maastricht większość Francuzów z trudem może sobie wyobrazić, jak bolesne stanie się wypełnienie przyjętych przez ich rząd kryteriów Unii Walutowej drogą radykalnych cięć w budżecie państwa. Trudności przekroczenia ustalonych razem z sąsiadami progów zmuszają Francuzów do refleksji nad wydajnością swojego systemu gospodarczego i politycznego. Nie tylko zresztą we Francji panuje przekonanie, że wysokie progi Unii Walutowej wprowadzono na skutek presji Niemców, którym bardziej zależy na stabilności Euro niż na integracji państw europejskich. Prowadzi to często do zarzutu, jakoby Niemcy w Maastricht narzucili innym państwom swój „model gospodarczy”. Obraz konkurujących ze sobą w procesie integracji europejskiej „modeli gospodarczych” Niemiec i Francji ogranicza, według francuskiego profesora politologii Anne-Marie Le Gloannec, perspektywę oceny niemieckiego sąsiada i jest niczym innym jak jednym z motywów dyskusji ideologicznych.

Także nad Renem i Szprewą plan uczestniczenia w Unii Walutowej zmusza państwo do poważnych reform. Mimo przyjętego przez Bundestag pakietu oszczędnościowego, Niemcy prawdopodobnie będą miały poważne problemy wskutek przekroczenia zaakceptowanych przez rząd Kohla w Maastricht progów Unii Walutowej. Bieżący rok Niemcy zakończą deficytem budżetu państwa znacznie przekraczającym 3% produktu krajowego brutto i zadłużeniem

całkowitym wyższym od 60% produktu krajowego brutto (PKB)³. Okazuje się zatem, że fascynujący sąsiadów niemiecki „model gospodarki społecznej” wymaga reform a państwo, podobnie jak w innych krajach europejskich, zapewniło swoim obywatelom dobrobyt jedynie na kredyt.

Mimo zachwianego samopoczucia rządu w Paryżu i Bonn łączy nadal świadomość, iż ich kraje są jądrem Unii Europejskiej i będą decydować o dalszym losie wspólnoty. Na przekór problemom gospodarczym na arenie europejskiej można Niemcy nazwać mocarstwem. „Nie ma mocarstw bez wizji”, twierdzi Lucas Delattre i zastanawia się, czy istnieje niemiecki sposób patrzenia na świat, który zasługiwałby na określenie „modelu cywilizacyjnego”. Odpowiedź Lucasa Delattre’a na to pytanie jest zdecydowanie negatywna: ambicjom politycznym zjednoczonych Niemiec nie towarzyszy żadna wizja niemieckiego „dzieła cywilizacyjnego”. Dotyczy to także polityki Niemiec na wschód od Odry. Nawet gdyby Niemcy ujawnili takie ambicje, to trafiłyby one na dużą niechęć ze strony państw Europy Środkowej i Wschodniej. To, że Polska i Czechy traktują Niemców jako swoich adwokatów w Brukseli nie świadczy – jak twierdzi Delattre – o całkowitej gotowości tych krajów do podporządkowania się niemieckiej polityce czy też gospodarce. Według Lucasa Delattre’a dzisiejsze znaczenie Niemiec nie jest porównywalne z pozycją Hiszpanii sprzed czterystu lat, czy Francji w siedemnastym i Anglii w dziewiętnastym wieku, „kiedy kraje te były nosicielami hasła postępu, a nawet wyzwolenia”. Pytani o wizję dla swojej polityki zagranicznej Niemcy odpowiadają – jak słusznie zaobserwował Delattre – listą zagrożeń, z którymi są konfrontowani: wybuch demograficzny na świecie, fundamentalizmy religijne, migracje, przemyt narkotyków, ogólne konsekwencje biedy na świecie. Polityka niemiecka stara się o pragmatyczne podejście do najważniejszych problemów świata, nie jest zdeterminowana wizją zbawienia innych narodów, nie dąży do zapewnienia hegemonii Niemiec w poszczególnych regionach świata. „Nie ma rzeczywiście innej ‘ambicji’ niemieckiej jak ta, która

3. Maciej Rybicki, „Niemieckie długie rosną. Zagrożone kryteria z Maastrichtu”, *Rzeczpospolita*, 3.10.1996.

składa się z zapewnienia pokoju, stabilności i ochrony środowiska w Europie”. Ambicją niemieckiej polityki zagranicznej jest zapewnienie porządku pokojowego Europy poprzez instytucjonalizację polityki międzynarodowej. Doświadczenie ostatnich dwóch wojen światowych nie straciło swojego znaczenia dla polityki zagranicznej zjednoczonych Niemiec (Republiki Berlińskiej). Dążenie do pogłębienia integracji europejskiej pojmowane jest nad Renem i Szprewą jako najważniejsza gwarancja dla bezpieczeństwa kraju. O tym jak bardzo polityka samoograniczenia i integracji w struktury europejskie (*Einbindungspolitik*) nadal kształtuje politykę zagraniczną Niemiec, świadczy chociażby podstawowy dokument frakcji CDU/CSU na temat przyszłości Europy, pióra Wolfganga Schäuble’a i Karla Lamersa; „Wskutek swojej geograficznej pozycji, swojej wielkości i historii, Niemcy są szczególnie tym zainteresowani, aby przeciwstawić się siłom odśrodkowym w Europie, powodującym powrót kraju na starą pozycję w środku Europy. To położenie pomiędzy wschodem a zachodem w przeszłości utrudniło Niemcom jasne określenie swojego wewnętrznego ładu oraz zapewnienie długotrwałej i stabilnej równowagi w polityce zagranicznej. Próby przewyciężenia tego położenia w centrum wszystkich europejskich konfliktów poprzez utworzenie hegemonii – poniosły klęskę. (...) Katastrofa 1945 roku (...) uświadomiła Niemcom, że bezpieczeństwo może być zapewnione wyłącznie poprzez podstawową zmianę europejskiego systemu koegzystencji państw, w którym hegemonia stanie się nie tylko niemożliwa ale i niepożądana”⁴.

Na konieczność kontynuacji polityki samoograniczenia wskazują także zaproszeni do dyskusji o „nowej roli Niemiec na świecie” na łamach *Esprit* niemieccy politycy i publicyści. Redaktor hamburskiego tygodnika *Die Zeit*, Joachim Fritz Vannahme twierdzi, że tak zwana „nowa rola Niemiec na świecie” jest tą samą co przed zjednoczeniem, ponieważ tak jak przed 1989 rokiem centralnym zadaniem polityki Niemiec pozostaje integracja kraju w pogłębione struktury

4. „Dokument der CDU/CSU-Fraktion des Deutschen Bundestages über die Zukunft der Europäischen Einigung”, *Biulletin Quotidien Europe*, no 1895/96, 7.09.1994.

europiejskie. Zmieniły się jednak – jak twierdzi Vannahme – oczekiwania innych państw w stosunku do zjednoczonych Niemiec. W obliczu wojen w byłej Jugosławii czy Somalii, suwerenne Niemcy nie mogą kontynuować polityki „samotnego kawalera”, powinny przejąć część ciężaru z bark swoich sojuszników, biorąc udział w zbrojnych misjach UNO i NATO. Doradca kanclerza Kohla, Michael Mertes, podkreśla, iż Niemcy przy definicji swojej przyszłej roli w polityce światowej nadal nie będą się wzorować na ambicjach Francji czy Wielkiej Brytanii. Niemcy nie chcą znaleźć się w roli „solisty”, chcieliby odegrać „ważną rolę w ekipie europejskiej”. Polityka samoograniczenia jest głęboko zakorzeniona nie tylko w świadomości elit kraju. Większość społeczeństwa niemieckiego popiera powściągliwość w polityce zagranicznej kraju i przeciwstawia się przejęciu przez Republikę Berlińską większych odpowiedzialności na arenie międzynarodowej. Jak twierdzi w *Esprit* Michael Nerlich, niemiecki romanista z Berlina, jeśli Niemców w ogóle interesuje polityka zagraniczna, to przede wszystkim los ich marki oraz przyszłość wschodnich sąsiadów. To, że w Niemczech mało kto zainteresowany jest przywódczą rolą kraju na arenie międzynarodowej, spowodowane jest problemami zjednoczenia. Szybkie zbliżenie poziomu materialnego życia w landach wschodnich do standardu zachodniego opłacane przez kredyty, nie tylko zachwiało równowagę budżetu federalnego, ale i ograniczyło finansowe możliwości do intensywnego zaangażowania za granicą. Jak słusznie zaobserwował poeta i eseista Hans-Magnus Enzensberger, wśród Niemców panuje świadomość, że są krajem raczej słabym poprzez koszty zjednoczenia niż świadomość, że są mocarstwem. Przejęciem przez Republikę Federalną Niemiec większych odpowiedzialności na arenie międzynarodowej zainteresowane są bardziej Stany Zjednoczone czy Francja niż sami Niemcy. Jako aktualny przykład może służyć prośba rządu francuskiego o niemiecką pomoc przy interwencji w Afryce Środkowej czy poparcie francuskiej polityki na Bliskim Wschodzie.

W ostatnim czasie w wielu przypadkach rząd Kohla ujawnia dużą ostrożność i powściągliwość w sprawach międzynarodowych. Powodem tej – jak to nazwał Lucas Delattre – polityki „mocarstwa dyskretnego” są nie tylko problemy

finansowe rządu federalnego ale także „traumatyczne” doświadczenia inicjatyw ministra Genschera w byłej Jugosławii, kiedy to w roku 1991 nie tylko w zachodnioeuropejskiej prasie zarzucano niemieckiej polityce za wczesne uznanie niepodległości Słowenii i Chorwacji, a przez to przyczynienie się do nasilenia konfliktów na Bałkanach. Część prasy zachodnioeuropejskiej zarzuciła Niemcom wówczas, iż ich polityka idzie śladami jednostronnej sympatii dla chorwackich nacjonalistów, jak za czasów Hitlera. Polityka „dyskretnego mocarstwa” jest rezygnacją z kosztownych przygód. Zmusza Niemców do skoncentrowania się na kilku najważniejszych celach swojej polityki zagranicznej. Wymienię tutaj tylko dwa następujące, które wydają mi się najważniejsze dla rządu Kohla: zapewnienie stałego miejsca dla Republiki Federalnej w Radzie Bezpieczeństwa ONZ oraz reforma struktur Unii Europejskiej w celu pogłębienia i integracji europejskiej oraz poszerzenia Unii o kraje Europy Środkowej.

Mimo poparcia rządu Chiraca dla strategicznych celów polityki Niemiec, autorzy *Esprit* wątpią w całkowitą zbieżność polityki obydwu krajów w sprawie dalszego pogłębienia Unii Europejskiej. Kluczowym pytaniem jest, jak obydwie narody wyobrażają sobie przyszłość Europy, czy są w podobnym stopniu gotowi do ograniczenia suwerenności państwa narodowego na korzyść instytucji ponadpaństwowych. Na wiele trudności napotykają francuscy autorzy *Esprit* przy określeniu polityki Francji wobec Unii Europejskiej. Politolog Pierre Hassner twierdzi nawet, że Francja nie ma żadnego pomysłu na dalszy proces integracji w Europie. „Wiadomo, że Niemcy mają wizję federalną, że Anglicy mają inną i że Francuzi pozostają między dwiema: mówi się, że chcą tak jak Niemcy silnej Europy, ale ze słabymi instytucjami podobnie jak Anglicy”. W dyskusji na temat Europy dominuje na łamach *Esprit*, tak jak w wielu publikacjach poza granicami Niemiec, przekonanie, że Niemcy jednolicie popierają stworzenie federalnego państwa europejskiego, w dużej mierze rezygnując z suwerenności państwa narodowego. Rzeczywiście, zdecydowana większość elit politycznych i gospodarczych Republiki Federalnej gotowa jest do tego kroku. Wiele jest dowodów świadczących

o proeuropejskości Niemców, jak na przykład świadomość nieskuteczności działań narodowych w wielu dziedzinach politycznych, między innymi na polu polityki bezpieczeństwa i polityki gospodarczej. Wśród przedstawicieli przemysłu panuje przekonanie, że integracja europejska zapewnia lepsze warunki dla handlu i inwestycji w Europie. Zwolennicy integracji mają nadzieję, iż wspólna waluta europejska zmusi członków Unii do pogłębienia współpracy: tak jak zniesienie w dziewiętnastym wieku barier celnych stało się ważnym krokiem na drodze do zjednoczenia państw niemieckich, tak i tym razem Unia Walutowa przyspieszy budowę federalnego państwa europejskiego. Myślę, że warto zastanowić się nad tym, czy projekt jednoczenia Europy nie narodził się w Niemczech na gruzach zniszczonej przez nacjonalizm niemiecki tożsamości narodowej. Może ta różnica w stosunku do własnej historii i narodu pozostanie najważniejszym źródłem rozbieżności polityki europejskiej Niemiec i Francji.

Słusznie jednak kwestionuje Pierre Hassner powszechne zdanie, jakoby wychowani w kulturze federalizmu Niemcy byli bezkrytycznymi zwolennikami integracji europejskiej. To, że są to stereotypy udowadniają najnowsze sondaże, wskazujące na duży kontrast pomiędzy poglądami Helmuta Kohla i większości elit politycznych a rzeczywistymi nastrojami społeczeństwa. Ponad dwie trzecie Niemców odrzuca wspólną walutę państw Unii Europejskiej, 52% Niemców uważa, że wspólna waluta nie przyniesie im korzyści⁵. Eurosceptycyzm nie jest więc specyficzną chorobą Anglików czy Norwegów. W Niemczech, mimo tradycji federalistycznych, panuje podobna niechęć do dalszego ograniczania suwerenności państwa narodowego na rzecz Brukseli. W przeciwieństwie do Francji czy Norwegii dezaprobata dla projektu wspólnej waluty w Niemczech nie może ujawnić się w referendum. Niepopularna rewizja Traktatu Wspólnoty Europejskiej z Maastricht mogła przejść przez Bundestag i Bundesrat, ponieważ większość elit politycznych popiera proces integracji i na razie nie zastanawia się jakie są w tej sprawie poglądy wśród wyborców anty-

5. „Ja zum Lauschangriff, Nein zum Euro”, *Süddeutsche Zeitung*, 22/23.06.1996.

brukselskich. Warto jednak rozważyć czy elitom politycznym uda się zdobyć zaufanie większości społeczeństwa dla dalszych kroków integracji europejskiej oraz czy wielka koalicja rządu Kohla z Zielonymi i Socjaldemokratami na rzecz wspólnej waluty europejskiej przetrwa, oraz czy rzeczywiście żadna ze znaczących partii nie wykorzysta antyeuropejskich nastrojów.

Na razie rządy Francji i Niemiec, oraz większość elit politycznych, łącząc strach przed stagnacją procesu integracji, przed skutkami rozluźnienia współpracy pomiędzy narodami europejskimi w ramach struktur Unii, dlatego więc dumny „wielki naród” francuski zgodził się nawet na rezygnację z franka a Niemcy na śmierć marki.

Basil KERSKI

Neutralny – lecz nie obojętny*

Historyczne zasługi Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego trudno przecenić. To on ukształtował kulturowe, religijne i światopoglądowe oblicze narodu. Jak powiedział kiedyś Mikołaj Bierdiajew, nawet komunizm w Rosji miał specyficzny odcień rosyjskiego religijnego widzenia świata.

Przełomem w najnowszych dziejach Cerkwi stał się rok 1988 – obchody tysiąclecia chrztu Rusi. To wtedy rozpoczęło się odrodzenie religijne, a Kościół podjął trud odbudowy świątyń, wspólnot parafialnych oraz klasztorów. Otwarto kilkadziesiąt szkółek niedzielnych. Rozkwitła działalność wydawnicza, powrócono do pracy charytatywnej itp. Kościół, który szybko zyskał spore poparcie społeczne, stał się nadzieją w próżni ideologicznej, jaka pozostała po upadku komunizmu w 1991 r. Wyniki badań socjologicznych dowodzą, że

* *Eurazja* nr 2/96.

Cerkiew cieszy się dziś największym spośród wszystkich instytucji społecznych zaufaniem obywateli Federacji Rosyjskiej. Drugie miejsce zajmuje wojsko, za nim rozmaite inne instytucje i dopiero na szarym końcu listy – rząd oraz parlament, które teoretycznie rzecz biorąc, w normalnych społeczeństwach powinny budzić największe zaufanie.

Rosjanie wiążą z Kościołem nadzieje na przyszłość, chcą za jego pośrednictwem odnaleźć zagubioną tożsamość indywidualną i zbiorową. A politycy dostrzegli te tendencje i starają się je wykorzystać do własnych celów, co najwyraźniej daje o sobie znać w czasie rozmaitych kampanii wyborczych. Właściwie wszystkie rosyjskie siły polityczne (jeden wyjątek stanowią ugrupowania skrajne – zarówno liberalne, jak totalitarno-komunistyczne) zabiegają wówczas o względy Cerkwi i najwyraźniej marzą o uzyskaniu jej wyłącznego poparcia. Mnóstwo organizacji próbuje wykorzystywać religijną symbolikę i język religii. Politycy chętnie sięgają po argumenty natury teologicznej. Czy w tej sytuacji Kościół prawosławny mógł zwlekać z odpowiedzią na pytanie o własne miejsce w tym wzburzonym morzu politycznych namiętności?

Do niedawna Cerkiew nie miała żadnych możliwości uczestnictwa w życiu publicznym. Nie do pomyslenia był np. udział duchownych czy po prostu osób wierzących w programach telewizyjnych albo w publicznych debatach. Tym bardziej trudno było sobie wyobrazić, by mogli się znaleźć w parlamencie albo piastować wysokie stanowiska państwowe. Radykalna zmiana nastąpiła w roku 1991, a w Radzie Najwyższej RFSSR ostatniej kadencji zasiadało kilku kapłanów. Kościół prawosławny, który odkrył dla siebie tę nową rzeczywistość – możliwość udziału w życiu społecznym i politycznym – równocześnie podjął trud poszukiwania uzasadnień filozoficznych i instytucjonalnych, określających jego miejsce w społeczeństwie. Odpowiedź znaleziono stosunkowo szybko, bo w roku 1993. Kościół postanowił zrezygnować z bezpośredniego uczestnictwa w życiu politycznym, wybierając model niezaangażowania, dobrze znany w ogromnej większości państw katolickich.

Decyzja ta zapadła w okresie bardzo trudnym, gdy w rosyjskim społeczeństwie nastąpił dramatyczny rozłam.

Rosjan podzielił konflikt między prezydentem Jelcynem a Radą Najwyższą, za którym w istocie kryły się dwie opcje światopoglądowe, będące swego rodzaju repliką dawnego sporu między okcydentalistami a słowianofilami. Po jednej stronie znaleźli się zwolennicy budowania więzi z Europą i przyłączenia się do zachodnioeuropejskich struktur politycznych oraz gospodarczych, po drugiej – rzecznicy nowych, specyficznie rosyjskich, odmiennych od zachodnich wartości, a także własnej drogi w polityce wewnętrznej i zagranicznej. Później spór ten jakby stracił ostrze; w każdym razie po roku 1993 żadna ze stron nie sięgnęła już więcej do przemocy. Sądzę, że właśnie wtedy, jesienią 1993 r., hierarchia Kościoła prawosławnego zrozumiała, iż godząc się na kandydowanie duchownych do Dumy, ryzykuje pogłębienie podziałów w Cerkwi, a nawet może spowodować wybuch konfliktów.

Nie jest tajemnicą, że w Rosyjskim Kościele Prawosławnym – wielomilionowym, wielonarodowym, wielojęzycznym – współistnieją (a czasem ścierają się) rozmaite orientacje polityczne. Gdyby duchowni skorzystali z biernego prawa wyborczego, to w roku 1993 w parlamencie znalazłoby się wielu radykalnie nastawionych księży: zdecydowanych zwolenników opcji prozachodniej oraz równie nieprzejednanych „słowianofilów”. Nie ma podstaw by sądzić, że duszpasterze-parlamentarzyści uniknęliby konfliktów. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że różnice zdań znalazłyby ujście w gorszących awanturach.

Tak czy inaczej, w roku 1993, podejmując decyzję o zrzeczeniu się przez duchownych prawosławnych biernego prawa wyborczego, władze kościelne narażyły się na krytykę. Wielu kapłanów marzyło o działalności na polu publicznym. Niemala część laikatatu była zdania, że Kościół, wyrzekając się przywództwa politycznego, zdradził swój lud. Opinie wiernych były sprzeczne. Kiedy w październiku 1993 r. w klasztorze św. Daniela, oficjalnej rezydencji Świętego Synodu i Patriarchy Moskiewskiego, toczyły się rokowania między przedstawicielami ówczesnego parlamentu a reprezentacją strony prezydenckiej, jedni uważali, że Cerkiew zdradziła wiernych, gdyż powinna była stanąć na czele mas i obalić Jelcyna, inni natomiast – że zdradziła, bo nie wystąpiła przeciw parlamentowi. Wszystko to potwierdza opinię, że

Kościół prawosławny, wyrzekając się udziału w sprawowaniu władzy, postąpił słusznie. Z jednej strony, pozwoliło to uniknąć podziałów politycznych w samej Cerkwi, z drugiej – zapobiec groźbie klerykalizacji władzy. Ostatnie stwierdzenie z pozoru tylko jest niedorzeczne. Niebezpieczeństwo takie było w pełni realne. W grudniu 1993 r. właściwie każdy duchowny, który zdecydowałby się kandydować, gładko przeszedłby w wyborach do parlamentu. Po siedemdziesięciu latach ateizmu całą nadzieję na rozwiązanie wszelkich kwestii, które zostawił po sobie realny socjalizm, łączono z Kościołem. Miarą społecznych oczekiwań były pytania, z jakimi dziennikarze nierzadko zwracali się do biskupów i księży – o rolnictwo, o wojsko... To zabawne, ale ludzie naprawdę wierzyli, że Kościół na nie odpowie – i rozwiąże wszystkie problemy.

W roku 1993 Kościół prawosławny wybrał zatem postawę nieindifferentnej neutralności wobec wszystkich sporów politycznych (również wobec wciąż aktualnego sporu między okcydentalistami a słowianofilami). Ostatecznie stanowisko takie sformułował sobór biskupów zwołany pod koniec 1994 r. Hierarchowie zadeklarowali wówczas, iż Kościół nie popiera żadnej partii politycznej ani żadnego przywódcy, nie wykluczając aktualnie sprawującego władzę. Podtrzymali zakaz kandydowania duchownych w wyborach i objęli nim wszystkich księży pozostających w jurysdykcji Patriarchatu Moskiewskiego, niezależnie od kraju, w którym odbywałyby się wybory. Biskupi określili również zasady współpracy Kościoła z władzami państwowymi i wskazali dziedziny współdziałania dla dobra wspólnego (działalność charytatywna, ochrona zabytków, stałe przypomnianie o zasadach etyki społecznej itd.).

Przed wyborami prezydenckimi Kościół prawosławny zachował neutralność, która nie oznacza obojętności na sprawy państwa. Nie udzielił poparcia żadnemu z kandydatów, co wykorzystwały rozpolitykowane grupy (a tych nie brak w Cerkwi), które nadużywając sformułowania „Kościół nie udziela poparcia żadnemu z kandydatów”, rozpoczęły agitację „przeciw”; najczęściej przeciw Jelcynowi i Ziuganowowi (nie umiałbym powiedzieć kto w tej sytuacji pozostał kandydatem pozytywnym – być może generał Lebied’).

Święty Synod surowo zabronił kapłanom prowadzenia agitacji wyborczej (dotyczyło to również kościelnych środków przekazu). Aktywność grup prowadzących kampanię negatywną była też jedną z przyczyn, dla których patriarcha Aleksij II zdecydował się na opublikowanie w dzienniku *Rossijskije Wiesti* artykułu omawiającego właściwe, zdaniem Cerkwi, kryteria oceny kandydatów na prezydenta FR. Do najpilniejszych zadań przyszłego prezydenta Kościół zaliczył: rozwiązanie problemu przestępczości, przerwanie wojny w Czeczenii, złagodzenie społecznych skutków transformacji gospodarczej – zapewnienie opieki najsłabszym (dzieciom – zwłaszcza sierotom, inwalidom itd.), powstrzymanie degradacji edukacyjnej, zdrowotnej, naukowej, technologicznej, troskę o międzynarodowy prestiż państwa i inne. Wiele z tych postulatów znalazło takie lub inne odbicie w programach wyborczych. Z punktu widzenia Cerkwi są one o tyle uniwersalne, że polityk, który nie dostrzega tych kwestii, nie ma moralnego prawa pretendować do najważniejszego urzędu w państwie. Aleksij II sformułował jeszcze jeden warunek: troska o zapewnienie Kościołowi prawosławnemu należnego mu miejsca w życiu kraju; Kościół chciałby gwarancji, że już nigdy nie zostanie przemocą oderwany od swoich wiernych.

Cerkiew zachowuje neutralność, lecz nie jest jej wszystko jedno. Nie wezwwała ludzi do głosowania na tego czy innego polityka. Nie twierdziła również, że ten lub inny kandydat jest nie do przyjęcia. Starła się wyrażać swe oczekiwania wprost i chciałbym wierzyć, iż pomagało to ludziom podejmować decyzje wyborcze. Kościół próbował również uświadomić kandydatom, jakie problemy zaprzatają wierzących i na jakie pytania chcieliby oni otrzymać odpowiedź, zanim pójdą do urn wyborczych.

Władze kościelne utrzymują stałe kontakty ze wszystkimi niemal siłami politycznymi (metropolita Kirył spotykał się i z Grigorijem Jawlinskim, i z Jegorem Gajdarem, i z Giennadijem Ziuganowem, i z wieloma innymi politykami). Cerkiew buduje, a w każdym razie chciałaby budować swoje relacje ze światem polityki na zasadach otwartego dialogu, otwartego dla wszystkich, niezależnie od orientacji i samoidentyfikacji. Taki właśnie cel przyświecał spotkaniu w klasz-

torze św. Daniela w grudniu 1995 r. Pod patronatem Cerkwi i przewodnictwem patriarchy Aleksija II odbył się tam Sobór Narodu Rosyjskiego. Temat spotkania: „Rosja i Rosjanie u progu XXI wieku”. W murach klasztornych spotkali się przywódcy prawie wszystkich liczących się sił politycznych: Czernomyrdin, Rybkin, Szumiejko, Łużkow, Gajdar, Ziu-ganow, Fiodorow, Żyrinowski. Zabrakło jedynie Ruckiego i Jawlinskiego. Atmosfera świątyni skłania do pokoju, wycisza emocje, łagodzi ostrość wypowiedzi, nie sprzyja wzajemnym oskarżeniom i gwałtownym sporom. Większość uczestników spotkania starała się wykazać dobrą wolę i chęć dialogu. Budowanie jedności, moderujący wpływ na siły polityczne – to właściwe pole działalności Kościoła w świecie zdominowanym przez politykę. Kościół powinien być (i pragnie się nim stać) miejscem dialogu. Organizuje spotkania osób, które w innych warunkach, w toku politycznych batalii, gotowe byłyby się nawzajem zetrzeć na proch. Postępując tak, nie stara się przewodzić, lecz służyć ludziom i krajowi, wypełniając w ten sposób zadanie powierzone mu przez Boga.

Siły i środki, jakimi dysponuje Cerkiew, nie są imponujące. Zespół zajmujący się w Patriarchacie problemami politycznymi składa się z pięciu osób, których doświadczenia w tego typu pracy określiłbym jako skromne. Można jednak przypuszczać, że stopniowo wzrastać będzie świadomość roli Kościoła jako depozytariusza społecznego zaufania (które by bez wątpienia utracił, gdyby nie wyrzekł się udziału w walce o władzę i dobra doczesne).

Wsiewołod CZAPLIN

**Opracowała i tłumaczyła
z rosyjskiego Jolanta Chojak**

Wsiewołod Czaplin, kapłan prawosławny, szef sekcji ds. kontaktów z partiami politycznymi i organizacjami społecznymi Departamentu ds. Stosunków z Zagranicą Patriarchatu Moskiewskiego.

Kraj

Panowie na „K”

1.

W miarę jak w kołach politycznych stolicy umacnia się przekonanie, że przyszłoroczne wybory zaowocują parlamentem bardziej zrównoważonym lub nawet odwrotnie spolaryzowanym, postać prezydenta zajmuje coraz więcej miejsca w rozważaniach. Wobec zrównoważonego parlamentu rola prezydenta będzie w sposób oczywisty decydująca, a w razie radykalnego przesunięcia szal, prezydenckie *veto*, mocne *veto*, tzn. do obalenia dopiero przewagą dwóch trzecich głosów w Sejmie, okaże się ostatnią bronią opozycji (postkomunistycznej, ma się rozumieć – ale niekoniecznie tylko takiej!). Wszyscy obserwatorzy ze zrozumieniem kiwali głowami dowiedziawszy się, że posłom SLD w Komisji Konstytucyjnej przestał się podobać zapis osłabiający prezydenckie *veto* w przyszłej ustawie zasadniczej (zamiast 2/3 tylko bezwzględna większość głosujących wystarczałaby do obalenia go). To zresztą sygnał, jeden z wielu, że posłowie z SLD przestaną w Zgromadzeniu Narodowym popierać osłabienie prezydenckich prerogatyw. Zresztą uchwalenie konstytucji w wersji obecnie mozolnie przygotowywanej jest coraz wyraźniej nieprawdopodobne. Już w Zgromadzeniu może się okazać, że poza SLD nikt nie zechce akceptować tekstu, który z góry jest bezwzględnie atakowany przez całą opozycję pozasejmową, jako opracowany pod batutą „komuchów”. Gdyby jakimś cudem Zgromadzenie Narodowe zdobyło się na akt odwagi i rozsądku i oceniło projekt wedle jego zawartości a nie pochodzenia – a przy takim podejściu zapowiada się on jako tekst być może nie zachwycający, ale do przyjęcia – wówczas

w referendum konstytucyjnym cała prawica pod przewodnictwem hierarchii katolickiej zrobi wszystko, by projekt został odrzucony. Ale w interesującej nas kwestii brak nowej konstytucji będzie i tak na ręce prezydentowi: pozostaną przy nim wszystkie uprawnienia z ustawy konstytucyjnej z października 1992 („małej konstytucji”). Chyba, że Marianowi Krzaklewskiemu uda się zgromadzić ponad 2/3 głosów, aby „rozwiązać w kategoriach konstytucyjnych problem z prezydentem wywodzącym się z PZPR” (z wywiadu dla *Życia*).

Wzmoczone zainteresowanie rolą i postacią prezydenta wynika nie tylko z rozważań o jego przyszłej pozycji arbitra lub ostatniego zabezpieczenia. Najnowsze sondaże dowodzą nadal bardzo dobrych notowań Aleksandra Kwaśniewskiego w opinii. Według np. październikowego badania CBOS 65% respondentów nadal uważa, podobnie jak wiosną br., że dobrze spełnia on swoje obowiązki. Jest to wynik, godny uwagi, zwłaszcza w kontekście opinii, jaką „cieszył” się Wałęsa. Krytycznych ocen zebrał Kwaśniewski więcej niż wiosną – 21% wobec 12% – ale jest to i tak niewiele, zważywszy jak wielu krytyków ma macierzysta formacja prezydencka, SLD. W bezpośrednich porównaniach z poprzednikiem Kwaśniewski wygrywa bezapelacyjnie: w listopadzie 1995, zaraz po wyborach, 50% uważało, że będzie on lepszym prezydentem niż Wałęsa, 15% – że gorszym, a 35% nie miało zdania. Teraz 65% uważa go za lepszego, 16% za gorszego, a 19% nie ma zdania. Co może jeszcze ciekawsze, Kwaśniewskiego wolą na stanowisku głowy państwa zwolennicy wszystkich liczących się formacji poza Akcją Wyborczą „Solidarności.”

KTO OKAZAŁ SIĘ LEPSZYM PREZYDENTEM?

(w %)

Zwolennicy	Kwaśniewski	Wałęsa
SLD	96	1
PSL	77	9
UP	77	9
ROP(!)	54	17
UW(!)	49	22
AW „S”	25	52

Kiedy minął amok wywołany tzw. sprawą Oleksego, publicyści opozycji powracają nieustannie do pytania, dlaczego ten Kwaśniewski tak się podoba Polakom: kampania wyborcza skończyła się już przed bez mała rokiem, Jacques Seguela wyjechał*, Kwaśniewski znów się rozrył i zszarzał, a mimo to...

Ostatnio w dwóch warszawskich dziennikach zajmowano się tą kwestią. W *Gazecie Wyborczej* dwaj publicyści uznali, „że trzeba spojrzeć w oczy smutnej prawdzie: Kwaśniewski wygrywa, ponieważ jest kulturowo bliski wyborcom”.

Wojciech Staszewski uważa, że Kwaśniewski korzysta z faktu, iż „elitarna kultura wysoka przegrała konkurencję z kulturą masową”. Symboliczne dla tego „doczepienia się” do kultury masowej przeciętnego wyborcy było spotkanie prezydenta z idolem tej kultury, Michaeliem Jacksonem.

Drugi z autorów *Gazety*, Piotr Bratkowski, jest bardziej finezyjny. Odrzuca on jako najzupełniej już w Polsce nieaktualny dychotomiczny podział na kulturę masową i elitarną. Wskutek wielu dziesięcioleci osmozy powstało ciągłe spektrum kultury. Natomiast – dowodzi Piotr Bratkowski cytując Margaret Mead z „Kultury i tożsamości” – wraz z rewolucją technologiczną i informatyczną zanikają kultury postfiguratywne, tzn. takie, w których „do właściwego funkcjonowania w świecie niezbędne jest doświadczenie przekazywane młodszy przez obdarzanych autorytetem starszych. Zastępują je kultury kofiguratywne, w których młodzi uczą się świata od swych rówieśników czy wręcz prefiguracyjne, w których młodzi szybciej i skuteczniej niż starsi przystosowują się do szybko zmieniającej się rzeczywistości i przyswajają sobie rządzące nią reguły”.

Wprawdzie opis Mead odnosił się do Ameryki lat sześćdziesiątych, ale Bratkowski sądzi, że w okresie transformacji ustrojowej pasuje jak ulał do Polski. Kwaśniewski rzeczywiście wykorzystuje ten przełom kulturowy, ale nie w tym rzecz, że spotyka się z Jacksonem. Kwaśniewski sam jest polskim Michaeliem Jacksonem – po czym Bratkowski roz-wija całkiem zgrabnie to porównanie, opierając się zwłaszcza

* doradca w kampanii, francuski mistrz reklamy.

na zdolności obu postaci do metamorfozy i wielości twarzy. „W efekcie – nieco upraszczając – Jackson zadowala tych, którzy cieszą się, że wielki gwiazdor jest Murzynem. I tych, którym podoba się, iż dowiódł, że można przestać być Murzynem. A Kwaśniewski podoba się i tym, którym demonstruje, że można pozbyć się PRL-owskiego wcielenia, i tym, którym przypomina, że – jak oni – takie wcielenie miał”.

Bardzo to efektowne, ale, jak widać, z obu tekstów płynie wniosek, że sukces Kwaśniewskiego u wyborców nie był jednorazowym przydarzeniem. Czy dlatego, że wzył się w kulturę masową i antyelitarną czy też dlatego, że uwolnił się z więzów kultury postfiguratywnej – jest Kwaśniewski w obu wersjach prawdziwą ekspresją współczesnej kultury Polaków, prawdziwym Polakiem przeciętnym. Żaden z obu autorów nie posuwa się wprowadzić aż do takiego twierdzenia, ale jest ono przecież wnioskiem oczywistym.

I bardzo nieprzyjemnym, przynajmniej dla opozycji prawdziwie polskiej (i postfiguratywnej). Gdyby w Polsce toczyły się jeszcze polemiki, do czego trzeba jednak, by czytano teksty z przeciwną, publicyści *Gazety* powinni byli za tego Kwaśniewskiego jako polskiego Jacksona – lub jako Polaka z Jacksonem – dobrze oberwać.

W obu przytoczonych tekstach przyjmuje się pewne założenia o aktualnym kształcie kultury Polaków. Jest podzielenia na elitarną i masową, przeciwstawne i nie do pojednania – lub, przeciwnie, jest na tej skali ciągła i spójna, lecz za to rozbita na innej osi na postfiguratywną oraz ko- i prefiguratywną. A robi się też inne założenie, ukryte, że mianowicie wybory prezydenta są akcesem do idola. To jest oczywiście lekcja Ameryki po polsku. Jak wiele lekcji pobieranych dzisiaj przez Polaków, lekcja powierzchowna. Bowiem obiór idola jest całkowicie bezinteresowny, należy do gier i zabaw w strefie wolności (do czasu wolnego, w bardziej przyziemnym języku), natomiast wybór prezydenta dzieje się w polityce. Od interesów wobec tego się nie ucieknie, choćby najpiękniej przebranych za wartości.

Bronisław Wildstein w *Życiu* unika smutnej konkluzji kolegów z *Gazety*. Kwaśniewski został prezydentem, ponieważ nie odbyła się dekomunizacja i wobec tego w kraju

rozkrzewił się nihilizm wartości i kult nieodpowiedzialności, tym chętniej więc przyjmowano hasło Kwaśniewskiego „wybermy przyszłość” czyli „zapomnijmy o przeszłości”. Streszczam w ten sposób długi tekst: autor prosił mnie o polemikę, zaproszenie przyjąłem, nie chcę więc zbytnio uprzedzać faktów pisząc do *Kultury*... W każdym razie Wildsteinowi przydarzyło się to samo, co się przydarza wszystkim liberałom i związkowcom, zbytnio pokumanym z aktualną opozycją z prawa, katolicką i narodową. Przyjmują mianowicie za swoje stanowisko sformułowane najzwyczajniej przez Jarosława Kaczyńskiego: „Najważniejszym dziś w Polsce sporem nie jest spór o interesy ale o wartości” (w wywiadzie dla *Gazety Wyborczej*, 14 listopada 1996). Tylko zajmując takie stanowisko można konstruować koalicję liberalnego Ruchu STU i koalicję konserwatywną ze związkowcami z Solidarności i zgłaszającymi jeszcze więcej roszczeń chłopami z PSL-PL Gabriela Janowskiego. Koalicje takie mogą być doraźnie skuteczne, ale jest za to cena. Interesy zepchnięte do „podziemia” sprawiają, że wartości okazują się powierzchownym przebraniem, życie polityczne zaś rywalizacją pustki.

Bojownikom walczącym z nihilizmem grozi popadnięcie w cynizm. Aby uciec od tej groźby licytują się hasłami, coraz bardziej głośno i patetycznie, wzbudzając fanatyzm we własnych szeregach. A po pewnym czasie przywódcy mogą już nie być w stanie opanować tego procesu. Aby bowiem utrzymać w kupie swą heterogeniczną koalicję nie tylko nie mają programu, ale go mieć nie mogą, skupiają się na jednym zawołaniu, swoistym hasle rozpoznawczym. Marian Krzaklewski tak właśnie w ostatnim czasie walczył o „życie poczęte”.

2.

Wszystkie inne elementy programu AW „S” są w proszku, natomiast istnieje, jak wiadomo, program związku. Marian Krzaklewski mówiąc o programie AW „S” twierdzi: „Nową jakością w podejściu do wyborów jest to, że chcemy pójść nie tylko z ogólnym programem, ale z konkretnymi projektami aktów prawnych i rozwiązań (...) Konstytucja, projekty ubezpieczeń społecznych, programy uwłaszczenia i prywatyzacji. Projekty lustracyjne. Kontrakt dla edukacji, dla rolnictwa, dla

młodych. Projekt reformy górnictwa, sektora paliwowo-energetycznego itd. (z wywiadu dla *Życia*, 9-11 XI 96).

Okazuje się dalej, że każda z formacji w AW„S” otrzymała zadanie opracowania jakiegoś tematu. Ma to być jej posag. Chłopi przynoszą programy dla rolnictwa, stowarzyszenie rodzin katolickich programy oświatowe, Instytut Lecha Wałęsy też „przeprowadził kilka konkretnych projektów badawczych”... „My to połączymy (...) Spory nie rozsada AW„S”, co najwyżej pokazują naszą barwność... Wszyscy opowiadamy się za zasadami katolickiej nauki społecznej (...) To nie jest program liberalny a rynkowo-solidarnościowy”. I tak dalej. Marian Krzaklewski jest pewien swego, ponieważ wie, że niezależnie od sporów wewnętrznych AW„S” nie rozleci się przed wyborami: trzydzieści siedem partii i grup, które wchodzi w jej skład (prostuję przy okazji niedocenę z poprzedniej *Kultury*) poczuły już zapach parlamentu i nie ma ceny, której by nie zapłaciły za tę jedyną szansę sukcesu.

„Za jedność i zwycięstwo warto zapłacić wysoką cenę” – powiada we wspomnianym wywiadzie Jarosław Kaczyński, który na zawieraniu i zrywaniu sojuszy zęby zjadł. Dziś widzi w AW„S” „potrzebę bardzo silnej władzy jednostki”, a tą „centralną postacią” jest oczywiście Marian Krzaklewski. (Jak dotąd, decyzje Rada Krajowa AW„S” podejmuje większością 3/4 przy obecności 2/3. Głosuje się udziałami, jak na zebraniu akcjonariuszy. NSZZ „S” ma 50% udziałów).

Sądzę, że ze swoimi politykami Krzaklewski istotnie sobie poradzi. Trudniej mu pójdzie z samymi związkowcami. Przywódcy regionów i branż NSZZ „S”, „baronowie” związku, nie są w bezalternatywnej sytuacji politycznej zbieraliny z AW„S”. Wiedzą, że związek może na wielkiej przygodzie z AW„S” sporo zyskać, i jeszcze więcej stracić: bezwarunkowe popieranie pierwszych solidarnościowych gabinetów doprowadziło przecież do głębokiej degrengolady NSZZ„S”. Ekipa, która wydobyła związek z kryzysu, będzie skłonna do ostrożności. Niemniej w tej chwili Krzaklewski jest wręcz „na topie”.

Pierwsze zagrożenia przyjdą z zewnątrz, „od kandydatów na sojuszników. W ROP Olszewskiego rozmyśla się teraz, czy aby taktyka samotnego szeryfa na prerii nie skończy się

klęską: nie tylko notowania ROP oscylują wprawdzie wokół powoli schodzącej krzywej, lecz AW„S” stale wyprzedza konkurentów w inicjatywach, co łatwo wytłumaczyć. AW„S” ma przecież do dyspozycji potężny mechanizm związkowy. (Choć np. akcja służby zdrowia nie była pomysłem „S”, ale Izb Lekarskich, zwłaszcza warszawskiej i krakowskiej, które pociągnęły za sobą niższy personel medyczny; akcja jest zresztą niepopularna i władze obserwują ją z niejaką satysfakcją). Drugim źródłem szczególnej dynamiki AW„S” jest poparcie ze strony głównych sił hierarchii kościelnej. Jak się zdaje, papież interweniuje wprost, aby odnowić sojusz Kościoła i Solidarności i oprzeć go na szerszej podstawie niż walka z aborcją i wspólne manifestacje. Papieskie przemówienie do pielgrzymki „S” na 50-lecie pracy kapłańskiej Jana Pawła II było tym razem poświęcone nie obronie życia poczętego (jedno zdanie) ale obronie świata pracy, godności...

Drugim konkurentem Krzaklewskiego może się oczywiście stać Lech Wałęsa. Nieustannie ktoś do tego wraca. W *Życiu* na przykład ukazała się informacja, jakoby Jan Łopuszański, niedoszły kandydat na prezesa ZChN w porozumieniu z o. Rydzykiem z osławionego Radia Maryja chcieli stworzyć nową konkurencję dla AW„S” – masową ludową partię chadecką o wyraźnym, zdeklarowanym profilu wyznaniowym, bo dla obu tych fundamentalistów AW„S” jest tworem skundlnym. Co więcej, komentator *Życia* sugeruje, że prawdziwym inicjatorem tego dywersyjnego pomysłu jest Lech Wałęsa, gdyż okazało się, że Krzaklewski „nie chce bezkrytycznie wykonywać jego poleceń”. Dodam już od siebie, że najważniejszym z tych poleceń było paradoksalne żądanie, by Krzaklewski nie odcinał drogi do porozumienia z Unią Wolności! Tymczasem pewny siebie „Manius” oświadczył, że AW„S” od UW dzieli „zasadnicze różnice ideowe” i że możliwe są co najwyżej „kontakty w ramach paktu o nieagresji, oczywiście gdy nie ma faktycznej agresji, a taka w tej chwili jest ze strony UW”. Krzaklewski nie ukrywa, że liczy na rozłam w Unii, którą nazywa „sparciałą gumą”. Dwie *bêtes noires* Krzaklewskiego w Unii, to Kuroń i Balcerowicz.

Sugestia komentatora *Życia* Piotra Skwiecińskiego, jakoby za inicjatywą Łopuszańskiego (który dementuje) i Rydzyka

stał Wałęsa, opiera się na domniemaniach: Łopuszański był w prowałęsowskiej frakcji ZChN a Rydzyk bardzo pomagał b. prezydentowi w kampanii wyborczej. To jednak nie znaczy, że obaj potrzebują Wałęsy, żeby wpaść na taki pomysł. Rydzyk urósł już do roli autentycznego fundamentalisty, który działania hierarchii uważa za zbyt nieśmiałe i skażone współpracą z rządami nieczystych. Wielkie manifestacje obrońców życia poczętego z okazji debat, sejmowej i senackiej, nad liberalizacją ustawy antyaborcyjnej, uważane powszechnie za pokaz siły mobilizacyjnej Kościoła, były o tyle nowością, że organizował je głównie laikat a Radio Maryja odegrało taką m.in. rolę organizatorską, o jakiej marzył dla swej „Iskry” Włodzimierz Iljicz Lenin. To właśnie doświadczenie mogło być podsunąć naszym fundamentalistom myśl, iż czas już na partię prawdziwie ludową i prawdziwie katolicką, bez zanieczyszczeń, których jest tak wiele w AW„S”. Jest natomiast logiczne, że jeśli Wałęsa myśli już rzeczywiście o przewodzeniu, to Krzaklewskiego mógłby sobie podporządkować najlepiej występując w roli Super Federatora, ponad AW„S” sfederowaną przez Krzaklewskiego. Ale Super Federator musi mieć co super federować. Unia Wolności to za mało a ROP, który Wałęsa nazywa partią niezadowolonych**, jest na eks-prezydenta ostro uczulony. Natomiast partia Rydzyka byłaby mu życzliwa. Tylko do Balcerowicza musiałby wtedy Wałęsa chodzić bardzo ciemną nocą...

Postawiłem znak zapytania przy supozycji, że Wałęsa już znowu chce przewodzić. Czyż można w ogóle w to wątpić? Otóż nie sędzę, by Lech Wałęsa oddalił już od siebie pokusy, by rządzić, ale po prostu do roku 2000 nie ma dla niego stanowiska. W r. 2000 przyjdzie może dzień rewanzu. Do

** Lech Wałęsa udzielił wywiadu Janinie Paradowskiej z *Polityki* (9 XI), w którym potwierdziło się, że porażka jest matką mądrości, jeśli nie trafi na durnia. W tym rzeczywiście doskonałym tekście – dziennikarka zaklina się, że redagując nie miała właściwie nic do roboty – jest taka oto charakterystyka ROP:

„Każda rewolucja, wielkie zmiany, produkują ludzi niezadowolonych. Dobrze, gdy ci niezadowoleni, czasem zbyt nerwowi, czasem nawet chorzy, są zorganizowani. Jeżeli brakuje im organizacji, mogą podpalać, strzelać. Chwała więc Olszewskiemu, że niezadowolonych zorganizował...”.

tego czasu trzeba przygotować swą kandydaturę i... tych, którzy ją zgłoszą. Nie przewodzić zatem, lecz zaciągać sieci, łowić, radzić... I uczyć się... Wygląda na to, że Lech Wałęsa postawił już pierwszy krok na długiej drodze powrotu.

3.

Dlaczego Polacy cenią swego prezydenta i jak to długo potrwa?

Otóż Kwaśniewski, wbrew swoim krytykom – dekomunizatorom, zyskał głosy nie mimo, iż przyszedł z PRL, lecz właśnie dlatego. Głosowało na niego wielu takich, którzy wprawdzie nie tęsknią do PRL, ale którzy są zdania, że były w tym czasie rzeczy warte zachowania, rzeczy i słowa. Ludzie ci chcieli uwierzyć, że Aleksander Kwaśniewski, młody, nowoczesny, „wybierający przyszłość, ale przechodzący z przeszłości” pomoże owym rzeczom i słowom przetrwać i uchronić się w nowych warunkach. Aby nie wyliczać zbyt długo o jakie to rzeczy i słowa chodzi: ludzie ci uwierzyli, że Aleksander Kwaśniewski jest (chce być) autentycznym socjaldemokratą. I, oczywiście, mieli zapewne trochę złudzeń na temat socjaldemokratów w ogóle jako demokratów, mimo wszystko, socjalnych. Bo Polska przechodzi tymi laty intensywne szkolenie, że zwykli demokraci nie przeznaczają demokracji dla biedoty.

Prezydent Kwaśniewski ciągle jeszcze prowadzi grę ze swym socjaldemokratycznym cieniem, który tymczasem został przyjęty do Międzynarodówki Socjalistycznej. Ale sam prezydent wystąpił z partii, bo teraz jest prezydentem wszystkich Polaków. I nigdy już póki życia do żadnej partii nie wstąpi. Takie ślubowanie. W ustawie zasadniczej RP nie jest bynajmniej zapisane, że prezydent ma być bezpartyjny.

Decyzja Kwaśniewskiego była oczywiście gestem: zapożyczała podział ról pomiędzy prezydentem a partią jego pochodzenia, w żadnym razie nie zerwanie czy choćby konflikt. Cokolwiek jednak Aleksander Kwaśniewski chciał pokazać swoim gestem, wyszło na to, że najwidoczniej nie może być prezydentem wszystkich Polaków członkiem SdRP. W SdRP zazgrzytano zębami a „wszyscy Polacy” i tak nie uwierzyli: Kwaśniewski nie jest już socjaldemokratą ale postkomunistą

pozostał. To trochę śmieszna i trochę symboliczna sytuacja. Kwaśniewski, który uchodzi i chce uchodzić za zręcznego polityka, robi jako prezydent głupstwo za głupstwem. Zachowuje się tak, jakby chciał, żeby ludzie myśleli, że prezydent Kwaśniewski nie był w ogóle lub przynajmniej mniej był w PZPR niż Kwaśniewski zwykły. – „Kiedy mnie poślubisz, wróci mi dziewictwo” – śpiewała kiedyś swawolna dziewczka burgundzka w ludowej przyśpiewce. Kiedyście mnie wybrali, toście mnie odkomuszili... Jeśli tak się rzeczy mają, to ci wyborcy, o których nadziejach pisałem przedtem, będą się ich musieli wyrzec: Aleksander Kwaśniewski ani nie przeniesie z przeszłości niczego, co warte było przeniesienia, ani nie uszlachetni. Prezydent wszystkich Polaków jest zarazem człowiekiem bez właściwości. W swoim czasie Lechowi Wałęsie prezydentura przewróciła w głowie. Kwaśniewskiemu starła się twarz. Ale zważyć zechcicie, czytelnicy, że to wszystko z gorliwości.

Marian Krzaklewski nie ma za sobą nic do zacierania a przed sobą żadnych wątpliwości, tylko problemy techniczne. Nawet sprawę podziału mandatów w kłótniowej AW„S” – „wrzucał na komputer”. O wartościach ten obrońca wartości nie musi dywagować, społeczna nauka Kościoła mówi wszystko i dla Krzaklewskiego nie ma w tym stwierdzeniu ani krztyny ironii. Czy zdoła zachować tę klarowność sądów, kiedy, jak wróżą poniektórzy, zasiądzie na fotelu premiera? Czy wtedy nadal nie będzie miał nic do zacierania, czy też może związkowa przeszłość zacznie go podobnie uwierać jak partyjna Kwaśniewskiego? Choć to przecie tak, jakby raj przyrównać do piekła, biel do czerni...

Kiedy prezydent Kwaśniewski będzie przyjmował premiera Krzaklewskiego, niejednen z wyznawców każdego z panów K. westchnie może:

– To po co żeśmy jedli te żaby?

Warszawa, 15 listopada 1996

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Po raz pierwszy byłem w Wilnie w listopadzie roku 1989. Ten kraj był jeszcze wtedy częścią imperium, które zaczęło pękać, a wielka szczelina już biegła przez Litwę. Polska przeszłość Wilna, gęsta na każdym kroku, mieszała się z gęstością szczególnego czasu Wielkiej Zmiany. A zapach dawnych wieków był pokryty smugami woni komunizmu. Przeszłość kołysała się płomykami kaganków Dnia Zadusznego. Poruszałem się z trudem przez to powietrze pełne duchów, a na cmentarzu Rossa zabrakło mi tchu.

Kluczyłem wtedy ulicami Wilna, odnajdując mroczne mury gdzie więziono Mickiewicza i gdzie ujrzał trzecią część „Dziadów”. Każdy kamień starego Wilna był nasączony historią, literaturą, a też krwią.

Wytautas Landsbergis, profesor muzykolog, był wtedy przywódcą niepodległościowego ruchu Sajudis. Wolność stała za progiem, ale ten próg był niepewny i wysoki. Rozmawialiśmy w jego mieszkaniu gdzie stał otwarty fortepian z wachlarzem nut. Teraz ten fortepian jest też otwarty, ale jego nuty układają się już w inny utwór. Wisi na ścianie olejny obraz, wtedy go nie było, to warszawski Pałac w Łazienkach. A w domu załagał się obszerny osobnik w czarnym garniturze, to człowiek z ochrony.

Przed laty, pamiętam, że Landsbergis był poruszony moim nazwiskiem, bo czytał wszystkie książki mojego ojca, zadzwonił z tą wiadomością do swojego zastępcy Czapajtisa. Wtedy ujrzałem jak dużym oknem na świat była dla nich Polska. Miękka polszczyzna Landsbergisa wzruszała mnie, wszyscy znani przywódcy opozycji tak mówili po polsku. Landsbergis jak zawsze zamyślony i roztargniony odprowadził mnie w kapciach do trolejbusu.

Widziałem go wkrótce potem w Warszawie, był z Czapajtisem. W mieszkaniu mojego przyjaciela K. wspólnie oglądaliśmy w telewizji niezwykłą transmisję, była to relacja na żywo z rumuńskiej rewolucji. Pierwsza telewizyjna rewolucja.

Patrzyliśmy na ten okrutny spektakl z szeroko otwartymi oczami a też z mieszanymi uczuciami, gdy dyktator był ciągnięty na stracenie w spoconym futrze, jak stary szczur. My byliśmy już w strefie bezpiecznej, oni przed zdarzeniami, które miały zostawić zabitych na ulicach Wilna.

Wiozłem ich potem moim małym fiatem do hotelu sejmowego, był jeszcze jakiś pasażer, więc mój samochód pękał w szwach, a po latach już nie wiem czyja noga kołysała się niepokojąco blisko mego ucha. Wkrótce potem Landsbergis będzie dysponował obszerniejszym samochodem i gabineciem prezydenta Litwy. To gdzieś w tym czasie wyjdą na jaw dokumenty, że Czapajtis był agentem tajnych służb. I wypłyną na wierzch jak ropa z pękniętego tankowca wielkie plamy sowieckiej spuścizny. Klęska, którą poniesie w roku 1992 Landsbergis i Sajudis na rzecz, o zgrozo, postkomunistów, będzie nie tylko zasługą zsowietyzowania wielu obywateli tego kraju, ale też błędów i niekompetencji ludzi Sajudisu. A przecież odzyskanie przez Litwę niepodległości było jeszcze większym cudem niż to, co nam się przydarzyło.

Wtedy Wilno wzruszało wilgotną i zaniedbaną urodą. Minęło 6 lat, a wileński październik ma czerwień i złoto jesieni. Sporo zmieniło się przez ten czas, to już inny kraj. Wtedy sklepy uderzały swoim ubóstwem, u nas było niewiele lepiej. Polacy wykupujący smaczne litewskie żółte sery, byli traktowani jak niebezpieczny gatunek. Dzisiaj nie ważne kto co kupuje, a litewskie sklepy w bogactwie asortymentu odbiegają od naszych, ale już nie rażąco. Przy zaskakująco dobrych szosach, na których ruch jest stosunkowo mały, stoją zachodnie stacje benzynowe. Tu jak u nas, Zachodnia Europa najpierw dotarła poprzez szyk stacji benzynowych. W Wilnie wiele starych budynków odnowiono, wiele odnawia się. Nie widać natomiast jak w Warszawie masowego wznoszenia obiektów publicznych. Dla urody miasta to może dobrze; chociaż w latach 60. i 70. obudowano Wilno dzielnicami z wielkiej płyty, ale ów betonowy opatrunek mają też wszystkie polskie miasta. Ta obrzydliwa skorupa jeszcze długo będzie zabierać nam oddech. Jest w starym centrum Wilna kilka domów w ruinie, ale na ogoł widać, że mają one przyszłego właściciela i wkrótce wrócą do życia. To miasto już teraz tak piękne, jest zapowiedzią czym będzie za lat kilka. Oglądając

przedwojenne zdjęcia Wilna, nasuwa się myśl, że pewne zaniedbanie było tu zawsze, a więc nawet stan dzisiejszy jest pewnie lepszy od tego co było przed wojną. Odnawianie zbyt staranne i kolorowe, a celują w tym Niemcy, daje efekt soczystego tortu, zanika naturalna patyna i zapach przeszłości. Zdarza się to też w Wilnie. Powszechne jest w starych kamienicach odsłanianie fasady nałożonej na domy, w wieku XVIII, kiedy architekt Wawrzyniec Gucewicz przerabiał z żelazną konsekwencją Wilno w stylu klasycystycznym. Litwini dogrzebują się teraz pod tym klasycyzmem gotyckiej cegły i ornamentu. Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że tak odzyskany gotyk ma zaświadczać o rdzennie litewskim korzeniu tego niepokojąco polskiego miasta.

Przy obrazie Matki Boskiej Ostrobramskiej ludzie modlą się tak żarliwie, tyle jest wiary w powietrzu, że nagle czuję lęk, że obraz wskaże na mnie palcem i powie – „a ten we mnie nie wierzy”.

Tłumy żebraków oblepiają kaplicę, a jest w nich jakaś żebracza gorliwość i natarczywość bardziej już azjatycka i ruska niż europejska. Polscy żebracy mają w sobie wstrętnieźliwość, której zapleczem jest brak pokory i rozbudowane poczucie godności.

Wilno to miasto kościołów niezwykle licznych, bogatych i pięknych. Króluje pyszny barok. Niemal wszystkie świątynie mówią o przeszłości po polsku. A kościoły martwe dzisiaj, już zwykle w wieku XIX były przez władze carskie zamieniane na lazarety lub więzienia, jak kościół Wizytek w pobliżu cmentarza Rossa, który do dzisiaj pełni funkcję penitencjarną, osobiwą jak na świątynię. Niektóre kościoły zamienione przez sowietów na muzea ateizmu, powróciły do życia, są więc świadectwem, że religia nie jest na tym terenie przeszłością.

Język polski, który najpewniej usłyszysz się w wileńskich kościołach, jest pod podszewką wszędzie, a ci co nie mówią swobodnie po polsku, zwykle język polski rozumieją. To miasto od wieków leży na skrzyżowaniu języka litewskiego, polskiego i rosyjskiego, a białoruski i ukraiński też są pod podszewką. Kiedyś jeszcze wartko w poprzek płynęła rzeka żydowska.

Kowno zaskakuje mnie, jest inne niż Wilno, a stara część

miasta bardzo piękna, z pysznym rynkiem. Patrząc w okno, z którego Mickiewicz zerkał w okno aptekarskiej, pani Kowalskiej. W domu gdzie mieszkała jest sklep ze starociami, gdzie kuszą mnie przedwojenne rakiety tenisowe. Rakietę tenisową ma w sobie czar zgrabnej kobiety, z tą okrutną różnicą, że upływ czasu tylko dodaje jej wdzięku.

Kowno kojarzy mi się z okrzykami „na Kowno” na polskich ulicach, których oczywiście na własne uszy nie słyszałem. Przypominam sobie, że dozorca domu mojego dzieciństwa, który był przed wojną w ułanach, opowiadał: „Potem na wojnę z Litwą się szło. Konie były gotowe, siodła przytroczone, ostre pogotowie. Wojska kupę z Warszawy przyjechało, ale jakoś się z tą Litwą pojednali i nie było wojny”. Zmuszono jednak Litwę do nawiązania stosunków dyplomatycznych, czyli do uznania Wilna jako polskiego miasta. Piłsudski przecież na Rossie, obok serca matki kazał pochować swoje serce. Nie wyobrażał sobie Polski bez Wilna. Pozorowany bunt generała Żeligowskiego dostarczył Wilno Polsce w roku 1920. Po kilkudniowych spacerach po tym mieście jestem w stanie zrozumieć Piłsudskiego, że nie mógł się powstrzymać. Ale ten akt zajęcia stolicy Litwy przez polskie wojsko, tkwi jak drzazga w kilku pokoleniach Litwinów. Kowno stało się więc z konieczności stolicą przedwojennej Litwy. Polacy stanowili jednak spory procent mieszkańców tego miasta, wielu z nich żyło na tak zwanej Litwie Kowieńskiej.

Jeżdżąc dzisiaj po wsiach kowieńszczyzny można śmiało pytać po polsku, mając pewność, że po polsku uzyska się odpowiedź. Każde zaniedbane zagęstnienie drzew z gatunku ozdobnych, zdradza, że stał tam polski dworek, lub, że stoi jego ruina. Gęstość tej sieci jest niezwykła. Jedzie z nami samochodem pani T., która spędziła tu szlachecką młodość. „Tu spadłam z konia”, mówi na skrzyżowaniu wiejskich dróg. Tam gdzie wśród resztek kamiennej posadzki rośnie trawa był kiedyś bal. Tu wspomina zaspy śnieżne i jak powoziła sanie. Z przeszłości pamięta się okruszki bursztynu z zamkniętymi w nich owadami. Tuż przed nią w zasypany śniegiem rów wpadł wieśniak powożący swoje sanie, jej udało się przejechać dzięki śladom przetartym przez jego wypadek. – „Panienka, to przez moją protekcję przejechała”, krzyknął za nią.

Mam poczucie, że odkrywamy fragmenty zatopionej Atlantydy. Jej dwór, a raczej jego resztki, mającą wśród drzew. Nie chce abyśmy tam jechali, to za bardzo boli. Na pobliskim polu w niewielkim zagajniku odnajdujemy wśród chaszczy zardzewiałe krzyże, tu pochowano jej bliskich, rodziców, siostrę. T. była w AK, a jej siostra została omyłkowo aresztowana przez gestapo, zamiast niej. Potem jednak ona sama też wpadła w ręce Niemców. Mówi: „To nie było takie straszne jak się wydaje, nic nie jest takie straszne jak wydaje się innym”. Myślę, mojemu pokoleniu wydawało się w roku 1981, że zaczynamy mieć dramatyczne biografie, a mieliśmy i mamy tylko groteskowe. Prawosławnym zwyczajem jemy i pijemy wśród grobów. To mądry obyczaj. Tylko karmiąc życie mamy siłę by karmić pamięć o zmarłych.

Niedaleko mieszka sąsiad i znajomy jej młodości. Wita nas nędznie ubrany starzec. Mieszka w tym co pozostało z dworu, z młodą sublokatorską rodziną, z błotem u progu, z kurami i gęsiami. Wnętrze jego dworu jest w nie lepszym stanie. Ale wśród tego całego upadku, widzę zaniedbane biurko, na nim pióro w kałamarzu. Jedną jego ręką ma kikut owinięty łańcuchami. Ta ręka była słynna w Polsce tuż przed wielką światową wojną. Gdy Polska szła „na Kowno”, Pan P. został w Poniewieżu napadnięty przez litewskich szaulisów i groźnie poturbowany. Leczonego pana P. w Polsce, gdzie o sprawie sporo pisano, ale ręki mu nie uratowano.

– „Jak tam w Polsce?” – pyta, jakby pytał o inną planetę.

Żegnając się, żegnamy ostatniego już polskiego szlachcica na Laudzie.

Osada Szetejnie, miejsce gdzie stał dom, w którym spędził dzieciństwo Czesław Miłosz. A zaraz w dole płynie Issa, jej dolina jest jak na dłoni, jak tytuł znanej powieści Miłosza. „Issa jest czarna, głęboka, o leniwym prądzie, szczelnie obrosła łożyną; jej powierzchnia miejscami jest ledwie widoczna pod liśćmi lilii wodnych, wiję się po łąkach, a pola, rozłożone na łagodnych zboczach po obu jej stronach, mają glebę urodzajną. Dolina jest błogosławiona przez rzadki u nas czarnoziem, bujność swoich sadów i może odcięcie od świata, które ludziom tutejszym nigdy nie przedstawiało się dokuczliwe”. (Czesław Miłosz, „Dolina Issy”).

Tylko poeci i pisarze mogli tak wyidealizować ten świat,

ładny, ale nie aż tak piękny jak w ich opowieściach. Nic dziwnego, że Miłosz i Konwicki byli zawiedzeni, gdy po latach i po potopie, przybyli do utraconej krainy swego dzieciństwa i młodości. Ja zdołałem już wyidealizować moje Wilno sprzed sześciu lat, chociaż wtedy było bardziej zaniedbane i smutne niż dzisiaj.

Małe kieszonkowe cmentarze chowają się niemal zawsze we wzgórzach, a pełne są znanych polskich nazwisk. Święto-bróść, kościół gdzie modlili się Miłoszowie, obok groby, na jednym napis mówi: „Józef i Celina z Zawiszów Sławińscy proszą o westchnienie”. Bez trudu przychodzi mi spełnić to życzenie.

Pałac Żejmy w niewielkiej osadzie. Okna zabite deskami. Smukły koń, który pasie się na tle tego pałacu bez oczu, daje obrazowi smugę nostalgii. Na zapleczu pałacu jednak trwają prace remontowe. Radio tranzystorowe skrzeczy po litewsku, ale robotnik mówi wileńską polszczyzną. Ktoś kupił pałac a właściwie jego skorupę, ocalały tylko piece, jak na złość K., który ma do starych pieców wielką słabość. Widziałem tyle różnych namiętności, ale do pieców widzę po raz pierwszy. K. należy do nowej polskiej arystokracji. Rodzi się ona na bazie pieniędzy i ładnych snobizmów. Kupują lub z ruin wznoszą pałace, i tworzą na spalonej ziemi nową sieć. Towarzyszy nam w podróży E. która ma dwór w pobliżu pałacu K. Nie czuję się w tym towarzystwie osobnikiem zdeklasowanym. Pałac kojarzy mi się bardziej z kłopotami niż z luksusem. K. ma już cztery krowy, a kiedy je odwiedzałem, uznałem, że ich głównym zajęciem jest wydalanie. Coś okropnego.

Na Litwie Polacy mogą odzyskiwać dawne posiadłości, jeśli uzyskają litewskie obywatelstwo, więc odzyskują je rzadko. Pałac podobno kupiła kobieta co mieszka nad apteką. Szymon Kossakowski, ostatni właściciel pałacu, zgodnie z tradycją zginął za ojczyznę w Akcji Ostra Brama. Jego grób znalazłem na Rossie, wśród tylu innych grobów jego sąsiadów.

Za Kiejdanami pałac Zabiełtów. Obok gołębnik przypominający małą wieżę obronną, przylega do niego dach walącej się chałupy. A w pałacowym parku leniwy tłum, ci ludzie i to miejsce, jest jakby przesunięte o kilka stopni w

bok, od normy i czasu. To szpital psychiatryczny.

Dzwonię do Moskwy do mojej przyjaciółki amerykańskiej dziennikarki, głos jej drży z podniecenia. Generał Lebień został odsunięty. Czy nadal będzie mówił tubalnym głosem z przepony? Czy będzie zamach stanu? W Wilnie nie robi to wrażenia, jest jakiś dramat ale w teatrze równie odległym od Wilna jak od Warszawy. Nikt ze znajomych nie wiedział jaki jest numer kierunkowy telefonu do Moskwy. Dziwili się, że się dziwię, „dlaczego mamy go znać?” To też znak zmian.

Restauracja i piwiarnia Stiklu, w pięknej i ze smakiem urządzonej gotyckiej piwnicy. A takiego dobrego piwa nigdy jeszcze w życiu nie piłem. Słucham rozmowy dwóch starszych pań, które przyjechały z Polski. Kiedyś były właścicielkami dworów na Litwie Kowieńskiej. Rozmawiają o świecie, którego już nie ma, ale mówią o nim jakby istniał nadal. Nie znały się wtedy osobiście, ale wiedzą, kto za kogo miał wyjść za mąż, kto był dobrą a kto złą partią. I znają te same anegdoty, które krążyły między dworami stanowiąc przyprawę do posiłków.

„Władysław Komar lubił polować, został kiedyś na polowaniu postrzelony w stopę przez nieuważnego strzelca. Kiedy wieczorem było przyjęcie, pani domu wzniosła toast za najlepszego strzelca polowania, który potrafi nawet komara trafić w stopę” itd. Kiedy chodzimy potem po cmentarzu Rossa, wielki grobowiec rodziny jednej z pań jest niemal częścią bramy wejściowej, dla nich to jest spacer wśród znajomych, ten miał cukiernię, tamten przychodził do domu.

Wpada na chwilę do piwnicy słynny poeta litewski Tomasz Venclova, przyjaciel Miłosza z Berkeley, który coraz więcej czasu spędza w Wilnie. Ostatni raz widziałem go w roku 1992, na krakowskim obiedzie, była Wisława Szymborska, Miłosz z żoną i Venclova. Pamiętam, że Szymborska mówiła o Miłoszu z serdeczną ironią „nasz noblista”. I teraz ma za swoje. Wspominamy to spotkanie. Dla Venclovy „Wilno jest miastem ambiwalentnym i tragicznym, chociażby dlatego, że większość jego przedwojennych obywateli zginęła albo została deportowana. Lub też wyróżnęła się wzajemnie, jak to się niestety zdarzyło Polakom i Litwinom. W czasie

wojny i nawet po wojnie". To prawda, ludzie, którzy mieszkają w Wilnie są w większości zupełnie nowi, „to miasto w pewnym sensie osunęło się w pustkę”. Myślę że chyba cały nasz świat osunął się w pustkę. Nigdy jeszcze nie mieliśmy tak krótkiego korzenia jak teraz. Wykorzenienie jest chyba najbardziej istotną cechą naszej cywilizacji.

Litwa ma tradycje chłopskie, dlatego tak ważna jest dla Litwinów przyroda, są w tym i nie tylko w tym, podobni do Skandynawów. Ich wątlą literatura jest też osadzona w naturze. Litwa kiedyś żyła z rolnictwa. Ci co tu żyli, pamiętają, że wsie litewskie, ich obejścia, były zawsze bardziej od polskich cywilizowane, wprowadzano szybko i śmiało kanalizację, elektryfikowano, były traktory. Chłopi litewscy bardziej niż polscy dbali o czystość, zaś okolice domu zdobili drzewami i kwiatami. Komuniści wsie skołchozowali. Zniszczyło to litewskie rolnictwo, ale krajobraz wiejski jest ładniejszy niż u nas, bo ocalało wiele drewnianych domów, również z powodu biedy. Rosną te domy naturalnie, jak grzyby pod kępami drzew i nie ranią jak u nas krajobrazu zimnym betonem. Niestety prywatyzacja kołchozów została przeprowadzona nieumiejętnie, wiele poniszczono i rozkradziono.

„Po odzyskaniu wolności rozłożono rolnictwo” – przyznaje Juozas Tumelis, profesor, bibliotekarz, który był przywódcą Sajudisu po odejściu Landsbergisa na fotel prezydencki. Pamiętam jak 6 lat temu snuł bardzo naiwne wizje, jak Litwa przetrwa wojnę ekonomiczną z Rosją. Okazało to się łatwiejsze, ale też trudniejsze. Tak my jak i oni, nie doceniliśmy własnej niekompetencji, to ona była naszym największym wrogiem, a nie ludzie dawnego ustroju. W Polsce prywatyzacja PGR-ów była bodaj tak samo spartolona, tylko że stanowiły one u nas mało znaczącą część rolnego areалу. Tumelis mówi: „My walczyliśmy za niepodległość, a komuniści sprywatyzowali się, porobili majątki, i wrócili do władzy”. A my w tym im pomogliśmy, dodaje.

Tumelis to typ delikatnego intelektualisty, wzrusza jego piękna polszczyzna, a w obszernym, niedawno odzyskanym przez żonę domu, jest wielka ilość polskich książek.

Scena polityczna Litwy w ogólnych zarysach jest do naszej podobna. Wyraźny jest podział na postkomunistów i

prawicę. Brakuje środka. Bardzo mało pojawia się na scenie politycznej nowych twarzy, a wiele znanych twarzy jest skompromitowanych.

Algirdas Brazauskas jako prezydent sprawdził się nadspodziewanie. Przyznają to nawet jego przeciwnicy. Nie ma za sobą jakiejś wielkiej kompromitacji, działał wysoko w aparacie partyjnym, ale na polu ekonomicznym. I okazuje się, że ma polityczny *sex appeal*. Nie ma go zbyt wiele Landsbergis. Jest w tym muzykologu jakiś zbyt głęboki rys podejrzliwości i sprytu, który gromadzi mu się między górną wargą a nosem. Dlatego wiele słów wychodzi z jego ust spłaszczonych, bez lekkości i krągłego powabu, a tak umie mówić Brazauskas. Nawet w rozmowie ze mną Landsbergis przyznaje, że Brazauskas to „artysta”. Zabawnie ten komplement, a zarazem zarzut brzmi w ustach innego artysty. Ten *sex appeal* Brazauskasa – kawał z niego chłopa – ma w sobie coś pocziwego, jest wielkim atutem postkomunistów, od których zresztą prezydent o wiele bardziej się dystansuje niż nasz Kwaśniewski.

Wydaje się, że litewscy postkomuniści nie mają wielu zębów jadowitych jak ich polscy koledzy, nie mieli swego stanu wojennego. A w komunizmie umacjali się przecież wszyscy, tylko mniej lub bardziej. Litewscy komuniści dobrze się zachowali gdy sowieccy komandosi strzelali na ulicach Wilna do ludzi, bo stanęli po stronie wolności i demokracji.

Na Litwie emocje i nienawiści są chyba mniejsze niż u nas, jak mniejszy jest ten kraj. Słabość litewskiego kościoła powoduje, że nie ma takiej przepaści jak w Polsce, między zwolennikami umeblowania naszego domu liberalnymi meblami, a skostniałymi katolikami, którzy te meble kropią święconą wodą i zewsząd przepędzają diabła. Na Litwie nie ma problemu aborcji, jest dozwolona i sprawa ta nie budzi emocji. W Polsce temat aborcji będzie wielkim tematem zastępczym, który zadymi i zaciemni scenę polityczną.

Litewska prawica też nie ma temperamentu naszej, myślę o temperamentie wydzielania śliny i gadania, bo w tym nasza prawica celuje. Przyzwoite zachowanie w przeszłości dało tyle nieprzyzwoitego napędu politycznego. Czyli populizm litewski jest chyba mniejszy i bardziej skromny, a ich fobie chyba też odpowiednio mniejsze i choć zwykle dotyczą Polski,

powinniśmy ich niepokoje rozumieć. Landsbergis opowiada mi o swoim przerażeniu, gdy wielokroć rozmawiając z naszymi politykami, widział nagle w ich ustach zęby najbardziej szalonych działaczy polskich, cytowali ich dosłownie. Teraz to się już rzadziej zdarza. Ale ja słyszę, że polscy politycy narodowej prawicy nadal tak mówią, jak może być inaczej, to przecież bracia bliźniacy endeckich skamielin wapiennych z regionu Solcznikowskiego.

Największym problemem Litwy jest oczywiście Rosja. I brak niezależności energetycznej. Paskudzi się sprawa budowy terminalu ropy w Butinge. I nawet doszło do konfliktu morskiego o ropę z Łotwą, bo gdzieś zniknęła solidarność państw bałtyckich, gdy w grę weszły pieniądze. Litwa chce być w NATO, dla nich to sprawa bardziej gardłowa niż dla nas. Landsbergis mówi mi, że Polska walcząc o swoje uczestnictwo w Europie powinna tam ciągnąć Litwę. We własnym geopolitycznym interesie. Zgadzam się z nim. A w ogóle to uważam, że jednym z polskich partactw ostatnich 7 lat w ramach powszechnego naszego niechlujstwa, jest niechlujstwo polityki wschodniej. Mieliśmy szczęście, że tam wszystko układa się jako tako, inaczej to niechlujstwo walnęłoby nas obuchem w łeb.

Polski Litwin Czesław Okińczyc przebył daleką drogę, od posady skromnego prawnika w sowieckiej Litwie, do pozycji polityka i biznesmana w Litwie już wolnej. Był deputowanym w pierwszym wolnym litewskim parlamencie. Najadł się Okińczyc wielu żab ze strony litewskich Polaków, oskarżali go nawet o zdradę. Do tej pory nie wiedział, że tyle jest głupoty na świecie. Kiedy poczytałem sobie polską prasę na Litwie, zrozumiałem go aż za dobrze.

Dwie polskie partie startowały w wyborach. Polaków jest na Litwie aż 7%, ale co z tego, skoro są śmiertelnie ze sobą skłócenii, wieszają zgodnie psy na Litwinach i na sobie. Że żaloszny jest poziom polskiej mniejszości, mogłem się o tym przekonać 6 lat temu, a słyszałem, że od tego czasu sytuacja raczej pogorszyła się. Wojna i represje stalinowskie prze-trzebiły Polaków, ocaleli ludzie prości, w których jak już pisałem, zastygło tak wiele z tego, co w Polsce przedwojennej było najbardziej zeskorupiałe. Kilku Polaków jednak starto-

wało w wyborach z ramienia litewskich partii, oni pewnie wejdą do parlamentu. Landsbergis w rozmowie ze mną mówił o polskim problemie na Litwie rozsądnie, ale wiem od osób, które go dobrze znają, że jak się budzi w nocy, to mający mu nadal widmo nowej Armii Krajowej. Lęk przed Polską, tak rozkrzewiony po „buncie” generała Żeligowskiego, sycony jest przez słabość litewskiej przeszłości podminowanej przez polskość. A ostatnio został naładowany prorosyjskim zachowaniem Polaków w czasie wielkiej próby, gdy wydawało się, że ważą się losy Litwy, a sowieccy komandosi strzelali do ludzi przed budynkami telewizji.

Okińczyc nie kandyduje do tych wyborów. Uważa, że sytuacja jest nadal tak skomplikowana, że dla polityka lepiej stać z boku, bo nawet ci co teraz wygrają, przegrają. Należy do nielicznych Polaków litewskich, którzy mają w głowie trochę politycznego oleju. Od takiego osamotnienia zawsze grozi jednak arogancja. Od lat obserwuję, jak każdy duży sukces polityka stanowi dla niego zagrożenie. Siłą polityczną Okińczyca jest jego radio „Znad Wilii”, którego jest właścicielem. To polskojęzyczne radio jest wzorowane na warszawskim radiu „Zet”, a podobno najbardziej dynamicznie po polsku mówi mulat litewski, z matki Polki. Jeżdżąc po wileńszczyźnie słuchałem tego radia, gdzie – jak w wielkim mikserze – mieszają się odgłosy wyborczej kampanii po polsku (a ten polski jest miękki jak pierzyna), z językiem litewskim, a do całości zlewa się śpiew rosyjskiego. Wszystko przyprawione jest osobliwymi reklamami w trzech językach, a też piosenkami rockowymi po angielsku i po polsku. Ale bigos!

Mikołaj Konstanty Ciurlonis w roku 1910 zmarł młodo w Pustelniku pod Warszawą, w szpitalu psychiatrycznym. Malarz i kompozytor litewski, a specjalistą od jego muzyki jest Landsbergis. Malarz niezły, ale i nie genialny. Lecz chyba jedyny prawdziwy malarz jakiego mają Litwini. W muzeum w Kownie widać jak na dłoni, jak wąty był strumień sztuki tworzonej przez ludzi mających pełną litewską identyfikację. Podobnie jak w muzeum w Wilnie, niemal wszystko co jest sztuką, a też wiele z przedmiotów zabytkowych, to produkty polskie. Trzeciorzędni malarze polscy wiszą w tamtejszych

muzeach, a ich nazwiska wzbogacane są przez litewskie końcówki. Łatwo tu jednak być niesprawiedliwym.

Straszna wojna, potem sowiecki potop, to wszystko wydarło ze współczesnej gleby resztki naszego wspólnego korzenia. Młode pokolenia już nie mają nawet czucia w tych obciętych kończynach. Nie rozumieją więc jak Mickiewicz mógł napisać „Litwo ojczyzna moja”. On by zapewne nie rozumiał, gdyby wtedy ktoś go pytał, co ma na myśli? Litwini mają więc prawo uważać go również za poetę litewskiego, podobnie Miłosza. Nie wolno nam stosować miar naszego wieku, miar nacjonalistycznych, gdzie ważny jest pozór czystości krwi, jakby ona kiedykolwiek była jednorodna. Ta sytuacja powoduje liczne kompleksy Litwinów wobec Polaków, którzy jako nasz brat bliźniak są jednakowo ambitni i skłonni do bolesnego poczucia niższości.

Taksówkarz, aż podskakuje z radości, że może mówić ze mną po polsku. Mówi, że nie idzie na wybory, bo jedni i drudzy kradną. Skarży się na Polskę: „U was niewiele lepiej, też wszyscy kradną”. Opowiada mrozącą krew w żyłach historię, jak rosyjska mafia na polskiej szosie zabrała mu samochód. Jechali za nim od granicy, zepchnęli go w śnieg do rowu. Wyjęli pistolety, myślał, że już po nim. Życie mu zostawili, ale samochód zabrali. Na najbliższym komisariacie policjanci powiedzieli, że nie ich rejon, żeby jechał do innego komisariatu. Nie pomogli biednemu, jechać musiał autobusem. A potem szukaj wiatru w polu. Jest przekonany, że polska policja jest przez mafię przekupiona.

Litwini są też bliźniakami Polaków w swoim zgorzknieniu, w nieufności, w ciemnym widzeniu. Niemal wszyscy moi rozmówcy, taksówkarze, przechodnie, których zaczepiałem mówili, że nie będą głosować, bo jedni i drudzy złodzieje. Albo, że boją się podjąć decyzję, by potem przez lata pluć sobie w brodę.

Rozczarowanie partiami politycznymi i zgorszenie sceną polityczną jest na Litwie równie powszechne co u nas. Okazało się potem, że tylko 55% uprawnionych do głosowania poszło do urn. Ale wcześniej najlepsze litewskie dzienniki zajmowały się głównie kpinami z polityków, nie oszczędzając lewej i prawej strony, a felietoniści hulali po całej scenie politycznej, wszędzie wbijając szpilki.

Byłem w Wilnie w lokalu wyborczym, który mieścił się w szkole. I jednak był wielki tłok, a ludzie dosyć pewnie radzili sobie ze skomplikowanymi listami, bo Litwini na dokładkę zafundowali sobie referendum.

Nocą zajeżdżamy przed litewski Parlament. Stoi przed nim fragment barykady, który po małym makijażu służy jako pomnik. Zajeżdżamy tam bezczelnie samochodem, chociaż wszystkie znaki ostrzegają, że nie wolno. K. chodził tu z karabinem, towarzysząc Landsbergisowi w czasie heroicznym, więc uważa, że ma prawo. Innego zdania jest ochrona parlamentu. Bezgraniczna jednak pewność siebie, nadal robi w tym rejonie wrażenie.

Potężne betonowe płyty są przyozdobione detalami tamtych gorących dni, na nich ołtarzyk ku czci zabitych. W dniach roku 1991 parlament zamienił się w twierdzę, bronioną przez mieszkańców Wilna, uzbrojonych w rozmałą broń, też myśliwską. K. wtedy paradował tu z karabinem i pamięta jak obrońcy martwili się kto ich zaatakuje. Komandosi, niestety, dawali małą szansę na heroiczną śmierć. Tam gdzie w ten gorący czas w dzień i w nocy urzędował Landsbergis, pali się teraz światło. Ale dzisiaj gasi je i zapala prezydent Brazauskas.

Potem w mroku wieczoru wędrujemy alejami Antokolskiego cmentarza. Mrok jest najbardziej odpowiednim światłem dla cmentarzy. K. jak zawsze niezawodny przewodnik po mrokach dawnego imperium, odnajduje po omacku kwartał gdzie leżą zasłużeni litewscy komuniści. Głowy partyjnych kacyków wykute w kamieniu. Oto jak sobie niepiśmienni barbarzyńcy wyobrażali Rzym. Stróż cmentarza widząc promyk polskiego języka, zapala go też w sobie, a potem zapala nagle słońce reflektorów, które obnaża wzgórze, a na nim amfiteatr grobów. To nowy ołtarz wolnej i niepodległej Litwy. Tu pochowano kilkunastu zabitych z roku 1992, w różnym wieku, mniej lub bardziej przypadkowe ofiary strzelaniny pod wieżą telewizyjną. Muszą teraz dźwigać mit nowego czasu. Myślę, o ile więcej, o góry więcej mamy w Polsce materiału na mity, a pozwoliliśmy by zmieniły się w góry popiołu, których resztki wywiewa teraz wiatr.

Mijają lata, mam dolegliwe poczucie, że coraz mniej

mnie dziwi i wzrusza. Gdyby ktoś zapytał, co najbardziej mnie poruszyło w tej sentymentalno-politycznej podróży, to z pewnym zażenowaniem przyznać bym musiał, że pewien pudel wileński, nie powiem czyj, bo nie wiem czy mi wolno. Wystrzyżony idiotycznie, co w przypadku pudli praktykuje się, ten zwierzak sprawiał wrażenie ludzkiego neurotyka. Miał niezwykle dolegliwą przypadłość. Próbował zrozumieć czym jest jego cień. Nieustannie go tropił, szukał, czekał na jego pojawienie się bardziej wytrwale niż największy ludzki filozof tropi tajemnicę życia i śmierci.

Wracamy przez Białoruś. Nocujemy w Grodnie obok polskiego konsulatu, który wynajmuje lokal od białoruskiego biznesmana polskiego pochodzenia. Kupił on przedwojenną polską fabrykę tytoniu, solidną i zdrową ruinę. Fragment odremontował i są tam pokoje gościnne. Stoi w nich mdły zapach, podobno po tytoniu, budząc refleksję, że zapach komunizmu jest nie mniej trwały od tytoniowego.

Dom gdzie mieszkała Eliza Orzeszkowa, biblioteka oraz izba jej pamięci. Komuniści mogli Orzeszkową, z jej wrażliwością społeczną, inkorporować i zrobili to. Za Grodnem miejsca opisane przez Orzeszkową w „Nad Niemnem”.

Wieś Bohatyrowicze, grób Bogumiła i Cecylii, a w lesie mogiła powstańców styczniowych. Sporo domów we wsi wykupiono na dache, kupił nawet jakiś rosyjski generał. W jednej z chat mieszka wnuczka bohaterów powieści Orzeszkowej, jak na ironię do niedawna była sekretarką słynnego komunistycznego satrapy Agmieni. Jakaś stara kobieta podchodzi do nas. Pyta po polsku, czy my z Polski, widać jak to dla niej strasznie daleko.

W Grodnie tyle polskich znaków, kościoły, pałace z Zamkiem gdzie podpisano trzeci rozbiór Polski. Na fasadzie zostawiono oczywiście sierp i młot. Obok Zamek gdzie zmarł Stefan Batory. Widok na Niemen w dolinie... Kościół z XII wieku inkrustowany różnokolorowymi kamieniami. Odnowiony kościół Bernardynów, którego wnętrze pełne pięknych, świetnie zachowanych obrazów. Młodzi Polscy księża, nie wiedzą nic o przeszłości tego kościoła. Jakim cudem zachowało się tak wiele obrazów? Są tak młodzi, że sowiecki komunizm jest dla nich inną planetą. A przecież nie ma

chyba kraju, oprócz Kuby i Północnej Korei, gdzie tak wiele używa się komunistycznej retoryki i znaków. Pomniki Lenina wszędzie kroczą. A Związek Polski mieści się, o ironio! na rogu ulicy Dzierżyńskiej i 17 września. Tę postkomunistyczną skorupę prezydent Łukaszenka chce jednak wypełnić inną treścią. Sam słyszałem na własne uszy jak mówi do narodu *ja bywuszaj ateist*. Wpadł niedawno na pomysł, że ideologią dominującą w jego kraju powinno być prawosławie. I prawosławie ma stać się ideą przewodnią nowego systemu edukacji, nowego, choć ściśle wzorowanego na sowieckim.

W telewizji oglądam wielki wiec zwołany przez Łukaszenkę, jednego z bardziej osobliwych prezydentów naszej planety. Nie da się go zrozumieć bez znajomości kołchozu. On ma wizję kołchozowego zarządzania krajem. Gdy jedzie się przez białoruską prowincję, widać jak kołchoz ukształtował, jak wrył się w nią, jak tatuaż w skórę.

Łukaszenka jawi się parlament jako ciało w Kołchozie obce, po co tam parlament? Wymyślił więc Białoruskie Zgromadzenie Narodowe, złożone z delegatów kolektywów pracowniczych. I zaprosił do Mińska pięć tysięcy przedstawicieli narodu, których wybrał on sam i jego ludzie.

Łukaszenka godzinami do nich przemawia. Muszę powiedzieć, że po jakimś czasie odraza zaczęła mi się mieszać z podziwem. Ten bałwan jest geniuszem gadulstwa. Ma nieco mniej rozmachu niż Hitler, ale hipnotyzuje ludzi podobnie. Czuje salę jak pianista fortepian, przepraszam ten piękny instrument za to porównanie. Łukaszenka nie gra mazurków, a jakiś dziwny białorusko-sowiecki utwór, gdzie harmonia przekomarza się z perkusją. Improwizuje, snuje dygresje, a jego specjalność to balansowanie od uogólnienia do szczegółu, choćby w postaci jakiegoś towarzysza, na którego wskazuje palcem „a wy towarzyszu taki a taki, popatrzcie mi w oczy, nie wstyd wam...” itd. Demokracja tak, ale z nim na czele, z wolą narodu zawartą nie w parlamencie, a w kołchozie i w tym zgromadzeniu. Jego wcielane w życie teorie ekonomiczne dobijają ledwie żywą Białoruś. „Ludzie bądźcie czujni, w republice zapachniało faszyzmem” – powiedział niedawno przewodniczący parlamentu. Ja raczej czułem zapach niemożności i gnicia. Sceptycy mówią jednak, że ten kraj ma wielką umiejętność wegetacji i życia w gniciu, na poziomie

zaspokajania podstawowych problemów. Białoruska piosenkarka Kasia Kamocka śpiewa ironicznie: „bagno zalewa usta, ale przeżyjemy – potrafiemy”. Białoruś chronią od głodu działki przyzagrodowe, gdzie wszyscy uprawiają to i owo, to te same działki, które ratowały od głodu całe imperium. K. opowiada jak spotkał w Mińsku na uniwersytecie słynnych białoruskich uczonych, profesorów, którzy nie mogli zostać na ważnym spotkaniu, bo śpieszyli się by dokonać niezbędnych prac na swoich działkach.

Łukaszenka ma coraz liczniejszą opozycję, ona wychodzi czasami na ulice, ale to tylko, lub aż, grupa kilku tysięcy osób. Mówi się, że jest to kropla w morzu bierności. Ale właśnie takie krople jeśli są wytrwałe, drążą nawet imperia, aż w końcu docierają do serca. Faktem jest, że na Białorusi świadomość narodowa jest słaba, a pamięć demokracji żadna. Pomysł Łukaszenki na ekonomię białoruską, jak już pisałem jest kołchozowy, wierzy on więc w kołchozową samowystarczalność. Doświadczenia ekonomiczne świata go nie obchodzą, on zorganizuje kraj inaczej.

W Grodnie własnymi rękami podarł i wyrzucił kontrakt już podpisany na sprzedaż tytoniu Amerykanom. W czasie jego tu wizyty mała grupka ludzi manifestowała przeciwko prezydentowi. Gdy milicjanci rzucili się by pacyfikować ludzi, Łukaszenka pobiegł za nimi i krzyczał do szarpanych demonstrantów wygrażając im pięścią: „a właśnie, że jeszcze jedna kadencja!”.

Świeża wiadomość, że Prezydent zwalnia ministra obrony. Minister był taki pijany, że nie mógł odczytać tekstu przemówienia. Gdyby Prezydent chciał być konsekwentny, to musiałby zwolnić cały swój aparat, a ekipę kompletować z trzody chlewnej, bo mam wrażenie, że na Białorusi tylko ona gwarantuje trzeźwość.

Łukaszenka ma szansę balansować na prezydenckim fotelu wystarczająco długo, by ten kraj mógł dognić. Nie lekceważę opozycji, ale chyba szybciej może uderzyć Rosja. Nie chce ona połykać ekonomicznej katastrofy. I dochodzi do tego, że podczas ostatnich manifestacji w Mińsku, (nie pojechałem bo nie miałem zdrowia, był za to K.) wyłączono rosyjskie programy telewizyjne i pokryto je białoruskimi. Rosyjska telewizja sieje bowiem myśli wywrotowe. Słuchając

białoruskiej telewizji nie ma wątpliwości, że jest ona pod pełną kontrolą prezydenta. Co za lizusostwo! To wszystko jednak dzieje się głównie z braku woli. Są przecież już kanały zachodniej telewizji i telefony komórkowe, jest w niektórych rejonach dostępna polska telewizja. Jest bierność i bezradność, ale nie ma wielkiego strachu. Należy więc chyba wyrzucić dawne narzędzia interpretacji zdarzeń w tym rejonie!

Wyjeżdżając mam poczucie, że w tym burym świecie, stoi jakaś nieświeżość, jakby psuł się wielki kawał mięsa.

Polska już od granicy jawi się jako kraj architektonicznie nie piękny, ale pulsujący rozwojem, gdzie jest straszliwy zgiełk reklam i ogłoszeń spierających się szpetnie ze sobą. Uświadamiam sobie, że umiar reklam na Litwie sprawił mi estetyczną przyjemność.

Myślę z niepokojem o stadzie pijaków za moim warszawskim oknem, jak o kawałku Białorusi, wyspy sowieckie są w Polsce wystarczająco liczne, by można było cały nasz kraj zejść suchą nogą.

Warszawa jest zablokowana przez wielki marsz rozmodlony i rozwrzeszczany a protestujący przeciw zliberalizowaniu ustawy antyaborcyjnej. Oszalały szef „Radia Maryja” słynny już ksiądz Rydzyk, wypuszcza z ust fontanny nienawiści. On i jego Radio proponuje z sadystycznym drżeniem głosu, by posłom, którzy będą głosować za ustawą „golić głowy, jak w czasie okupacji Polkom, które spały z Niemcami”. Senator Bender, którego pamiętam jako obłego komucha, drżącym z poruszenia głosem porównuje nową ustawę do obozów koncentracyjnych i hitlerowskich komór gazowych. Takie głosy są na tyle powszechne, że można mówić o publicznym plenieniu się w wolnej Polsce kretynizmu nie mniejszego niż w czasach komunistycznych. W każdym razie w dole żołądka czuję taki sam niesmak. Już z domu dzwonię do kilku znajomych by się upewnić, że jednak jestem nadal u siebie. Zerkam przez okno, moi pijacy zostali przegnani z podwórka przez zimno i deszcz. Nocą budzi mnie coś, nie wiem co. Sięgam po przewodnik po Wilnie. I nagle na ścianie widzę... Ale o tym nie teraz, jeszcze nie mam siły o tym pisać.

W kilka dni potem X. opowiada mi, że był na przyjęciu,

gdzie spotkał wielu ludzi z rządu i wielu działaczy SLD i PSL. Wszyscy pobladli dyskutowali wynik litewskich wyborów. Padł na nich strach, że spotka ich taki sam los. Ja na ich miejscu byłbym mniej więcej spokojny. Ksiądz Rydzyk i ksiądz Jankowski, brunatny Wrzodak z Ursusa, Jan Olszewski ze sztyletem spojrzenia ukrytym w krzaczastych brwiach a wymierzonym w spisek przeciw Polsce, melodyjne bajdurzenie przewodniczącego „Solidarności” Krzaklewskiego, oni wszyscy postkomunistom pomogą. Największym atutem polskich postkomunistów jest bęćwałstwo zbyt wielu ich przeciwników.

SMECZ

Warszawa – Paryż

W 1981 roku, w szczycie Karnawału – jak później nazywaliśmy szesnaście miesięcy „Solidarności” – Stowarzyszenie Architektów Polskich organizowało w Warszawie doroczny Kongres Międzynarodowej Unii Architektów (IUA). Właśnie jesienią 1980 roku z grupą rówieśników, podobnie jak ja parę lat po dyplomie, powołaliśmy architektoniczną grupę „Dom i Miasto”. W Polsce tonącej w chaosie betonowych bloków „komponowanych” w osiedla, powiedzieliśmy po prostu: dom i miasto, ulica i działka, własność i rynek, jeśli planowanie przestrzenne to od-do. Na kongres IUA przygotowaliśmy wystawę o tym, jak można zrekonstruować Warszawę: najpierw zniszczoną przez nazistów, potem przez socjalistyczne planowanie. Zaczęliśmy od porównania powierzchni Warszawy i Paryża w ich granicach administracyjnych. Warszawa zajmowała czterokrotnie większy obszar niż stolica Francji w granicach Bulwaru Peryferyjnego. Na tej gigantycznej powierzchni mieszkało dwukrotnie mniej ludzi niż w Paryżu

dwudziestu okręgów. Dyrektor parusetosobowego Biura Planowania Rozwoju Warszawy, Adam Kowalewski, gdy to zobaczył zachnął się: „Pomyliliście skalę map!” – „Nie. To wy pomyliliście skalę – odparłem – nigdy nie zestawiliście tych dwóch planów miast obok siebie i straciliście poczucie miary trzykrotnie już po wojnie, poszerzając granice administracyjne miasta”.

Wystawa DiM-u zatytułowana „Odbudowa Warszawy” analizowała fragmenty poszarpanej tkanki na 1% powierzchni miasta i pokazywała, ile można i trzeba zbudować, aby zrekonstruować tradycyjną przestrzeń ulic, placów, skwerów i parków. Na pomysł przeniesienia uniwersytetu na Sienkiewicza odpowiedzieliśmy koncepcją uniwersytetu przy Trakcie Królewskim. Widząc zakusy ówczesnego URM-u na tereny Wilanowa, narysowaliśmy szkicowe rozwinięcie kompozycji Pałacu Wilanowskiego tyżąc promieniste osie i łukowe ulice na wzór założenia podparyskiego miasteczka Wersal. Najprostszymi cięciami i elementarną arytmetyką udowadniailiśmy, że nadszedł już czas innego myślenia o stolicy: i estetycznego, i społecznego, i ekonomicznego.

I oto Warszawa w kilkanaście lat później stała się lepszym rynkiem dla inwestycji budowlanych i nieruchomościowych niż stolica Francji. A jeśli nie rodzi to nowych, wspaniałych założeń urbanistycznych to z tego samego powodu, dla którego w latach trzydziestych Antoni Dygat przywoływał ówczesnym władzom stolicy Paryż III Cesarstwa i prefekta Haussmanna. Myśl – wizja – wola. Bez tej triady nie ma piękna architektury, choćby było ciśnienie pieniądza. Myśl spóźniona, wizje z importu i brak woli spowodowały, że choć miasto rozwija się jak nigdy od czasu pierwszej powojennej odbudowy BOS-u, nie widać oddechu i wyobraźni. Architekci i władze miasta zbyt wolno odnajdują się w czasie i przestrzeni. W czerwcu tego roku przygotowaliśmy wystawę „Nowe idee dla Warszawy”, którą władze miasta przedstawiły merom innych miast na 400-lecie stołeczności. Duży zespół projektantów podniósł problem obrazu miasta, całościowej wizji przestrzennej, strategii inwestowania. Nasza wystawa wzbudziła tę samą reakcję, co wystawa sprzed piętnastu laty.

Dlaczego tak jest i czy tak być musi? Co powoduje, że mieszkamy w fascynującej, ale z pewnością najbrzydszej

stolicy Europy Środkowej? Myślę, że po pierwszej dyktaturze beziły urbanistów (prezydenta Wyganowskiego i burmistrza Śródmieścia Rutkiewicza), drugi samorząd warszawski zaczął szukać rozwiązań nakręcających *boom* inwestycyjny. Ale najlepsza nawet wola i mechanizmy ekonomiczne nie zastąpią wizji przestrzennej. Ta zaś rodzi się z myśli, której – o zgrozo – w Polsce nie ma, gdyż komunizm wychował setki planistów przestrzennych, którzy nie rozumieją, gdzie zaczyna się, a gdzie kończy ich rola. Myśląc o tym przypominam sobie słowa Juliusza Mieroszewskiego, że nikt i nigdy nie odda obywatelom zony sowieckiej czasu, który strawili na nonsensownym praktykowaniu *real-socu*. Nigdy już nie przeczytają książek, które zaowocowałyby nowymi ideami, gdyby trafiły o czasie do rąk czytelników.

Gdy po raz pierwszy znalazłem się w Paryżu w 1972 roku miałem poczucie, że dzieli Polskę od Francji co najmniej ćwierć wieku. Prócz przepaści ekonomicznej na każdym kroku odczuwałem przepaść technologiczną. Pewnych form nawet nie rysowaliśmy, gdyż ich wybudowanie w Polsce było nierealne. Polski architekt mógł wówczas wytłumaczyć przed samym sobą i publicznością własne braki myśli komunistyczną nędzą budowlanego wykonawstwa. Wytłumaczyć – tak, ale nie – usprawiedliwić. Zapomniał bowiem, że ulepiona z tynku kamienica Celejowska czy kamienica Przybyłów w Kazimierzu Dolnym są nadal świetnymi, tylko uboższymi krewnymi Kaplicy Zygmuntońskiej na Wawelu. Nie tylko w poezji, także w architekturze mistrzostwo nie zależy od skali czy tworzywa, lecz głównie od myśli i sposobu zbudowania jej formy. I dziś ten sam zapatrzony w Zachód polski architekt z kakafonii marmurów, lustrzanych elewacji i chromów lepi nie coś autentycznego, własnego, lecz drugą, trzecią kalkę importowanych wzorców. Dzisiaj to nie gorsza od franka i marki złotówka dzieli nas od Europy, lecz mentalność. Architektura ponownie transnarodowa jak w czasach renesansu czy baroku, każe swoim twórcom odnajdywać wątki i tony rodzime, własne. Bez nich każdy nowy styl czy chwyt zamienia się w tępą sztamę. Urbanistyka ten problem małopiarstwa ukazuje w dwójnasób. Jeśli musimy zawsze czekać na głos z zewnątrz, gdyż sami w polskim kotle umiemy tylko ściągać się w dół, to nic dziwnego, że oś Wilanowskiego

Pałacu zagospodarowujemy w piętnaście lat po pierwszym sygnale DiM i gdy na części Alei Wilanowskiej królują już garaże przyległe do URM-owskiego blokowiska.

Nowe idee mają w sobie zawsze coś arbitralnego i zaskakującego, nawet gdy zakorzenione są w prądach już obecnych w kulturze. To, co jednostki tworzą – twórcze społeczności podchwytują. Władza – nawet najbardziej demokratyczna – powinna płynąć czasem pod prąd, aby pokazać inną drogę realizacji wspólnych celów. Warszawa i Paryż. Paryż nie bojący się Amerykanina chińskiego pochodzenia Pei'a w Luwrze, czy Duńczyka Spreckelsena na osi Łuku Triumfalnego. Ta zdolność absorpcji wynika z braku kompleksów. To ci obcy twórcy kongenialnie zrealizowali jakże francuską ideę wielkiej osi Luwr-Defense. Wizja architektów i wola administratorów poprzedzona jest myślą: własną, autentyczną, budującą wartości narodowe na powszechnej sztuce, wiedzy i konkurencji.

U nas wizja i wola kapcanieją na pożywcze myśli, które są wtórne. Wszystko, co autentyczne i silne ma jedną wadę – wychyla się ponad brzeg polskiego kotła. Jeśli Warszawa ma otworzyć się na Wisłę, jeśli na Skarpie ma pojawić się esplanada, jeśli Zamek Królewski swymi ogrodami ma dojść do rzeki, Sejm połączyć się poprzez plac i obelisk z Traktem Królewskim, to muszą te myśli cieszyć, w czyjej nie powstałyby głowie. Trzeba szybko rozwijać i spinać nimi wizje i ambicje twórców. W tym realizuje się wola władzy tak samo w Warszawie jak w Paryżu.

Prezydenci Francji i merowie Paryża mieli ambicję pozostawienia po sobie pomnikowych dzieł. W Polsce przedwojennej miał tę ambicję prezydent Starzyński, w powojennej – Tołwiński. Dzisiejsza Warszawa jaka jest – każdy widzi. Josif Brodski zwiedzając naszą stolicę zimno błysnął okiem i powiedział: „Kształt architektoniczny tego miasta nie tłumaczy ofiar, które pochłonęło”. Tłumaczy za to małość tych, którzy pozostali. Piękno i szpetota miast mówi nam nie tylko o estetyce kamieni, ale i o smaku życia ludzi, którzy je ustawiają ku swojej sławie lub ośmieszeniu.

Czesław BIELECKI

O religii bez namaszczenia

„Już mi łatwiej spojrzeć w oczy śmierci”

W piątek 4 października 1996 zmarł, w stosunkowo młodym wieku, zaledwie czterdziestu paru lat, znany brytyjski dziennikarz, członek redakcji *Daily Telegraph*, Martyn Harris. Przyczyną śmierci był rak. Na kilka miesięcy przed śmiercią Harris ogłosił w swym rodzimym piśmie (*Daily Telegraph* 25 maja 1996) długi refleksyjny artykuł, który wywołał lawinę listów czytelników. Nazajutrz po jego śmierci, 5 października, *Daily Telegraph* ogłosił ponownie skróconą wersję tego samego artykułu.

Tę wersję – za łaskawym zezwoleniem redakcji *Daily Telegraph* – drukujemy poniżej w polskim tłumaczeniu Antoniego Pospieszalskiego. Przywróciliśmy tylko – również w skróceniu – ustęp zawierający obserwację Harrisa na temat postkomunistycznej mentalności rosyjskiej.

W zeszłym roku napisałem artykuł o mojej chorobie, zakończony dość optymistyczną nutą. Wyglądało na to, że długi kurs chemioterapii odnosi skutek, i życie ponownie zaczynało nabierać sensu. Od tego czasu miałem znów dwa nawroty, dwa kursy radioterapii i dwa przeszczepy rdzenia. W rezultacie to, co pisałem we wrześniu zdało się już znacznie mniej uzasadnione, a jednak jestem spokojniejszy niż byłem i nadal jestem umiarkowanym optymistą.

Na dobrą sprawę rak jest chyba ostatnią rzeczą, jaka powinna mi się zdarzyć – nie tylko dlatego, że ledwo przekroczyłem czterdziestkę, mam troje dzieci i byłem – co tu dużo gadać – chłop na schwał; także dlatego że do tej pory nie było dnia, bym się nie bał, że zapadnę na raka. Obsesyjnie

macałem każdą brodawkę, czy czasem nie zwiastuje mi przedwczesnej śmierci i każda taka myśl napawała mnie przerażeniem. Niektóre wiersze na temat śmierci, np. „Aubade” i „Next please” Philipa Larkina, tchnęły mi tak niesamowitą prawdą, że przy całym podziwie dla nich bałem się je czytać. „Wieczna totalna pustka/zagłada, ku której płynę,/w której będę zatracony na zawsze” – co z tego że te słowa są piękne, skoro są tak nieodparcie prawdziwe!

Latem zeszłego roku, leżąc w szpitalu, zadawałem sobie paradoksalne pytanie „Dlaczego ja się nie zabiję?” Wyniki leczenia były żadne, straciłem wszystkie włosy, bez przerwy cierpiałem na zgagę, rozwolnienie, mordercze bóle głowy i zmęczenie wzroku – w tej sytuacji śmierć naprawdę byłaby ulgą. Jedyną wymówką, jaka mi przychodziła do głowy, była myśl, że lepiej chyba ciągnąć dalej niż nie ciągnąć dalej. Decyzja trochę podobna do tej, jaką robimy codziennie, że lepiej próbować dobrze czynić niż źle czynić. W świecie, w którym nie ma Boga i wszystko kończy się śmiercią – a taki świat czułem się zmuszony zaakceptować – jedyną racją przemawiającą za przyzwyczajeniu do życia jest tylko to, że to jakoś bardziej godne szacunku. Lepiej jest żyć niż nie żyć, a decydując się na życie dokonujemy pewnego etycznego wyboru. Jest to chyba jedyny okruszek moralnej prawdy, jaki XX wiek zdołał uratować ze spustoszenia dokonanego przez scjentyistyczny materializm.

Jak powiadam, taka była moja wewnętrzna postawa osiem miesięcy temu. Można by ją nazwać filozofią „egzystencjalną” i do dziś uważam, że jest to całkiem dobre uzasadnienie moralnego ateizmu. Ale moja osobista postawa uległa od tego czasu pewnemu przesunięciu. Wpłynęła na to przede wszystkim niesłychana życzliwość, jaką ludzie okazywali mi w czasie choroby. Zawsze cechował mnie niemądry optymizm w stosunku do ludzi i do świata, którego widać żadne zawody i nieszczęścia nie zdołały nadwerżyć i choroba tylko mnie utwierdziła w tym nastawieniu. W miarę jak rozwiewają się majaki ambicji, pieniędzy i posiadania, coraz wyraźniej widzę, że prawdziwą podstawą mojego życia jest moja żona i dzieci, rodzina i przyjaciele, nasze wzajemne miłości i przywiązania. Nawet ze strony dalekich znajomych doznaję objawów troski wychodzącej daleko poza wymogi towarzyskiego konwenan-

su. Listy całkiem obcych ludzi nieraz wyciskają mi łzy z oczu. Nie łzy bólu, ale wdzięczności i podziwu dla uczuć, jakie ludzie potrafią żywić, gdy tylko zechcą.

Byłem wychowany w religii metodystów (jedno z wyznań chrześcijańskich w Anglii, przyp. tłum.), ale gdzieś w wieku 14 lat przestałem chodzić do kościoła i odmówiłem poddania się konfirmacji... Z typową arogancją ząbkującego intelektualisty domagałem się przekonujących odpowiedzi na istotne pytania – o istnienie Boga, prawdziwość Zmartwychwstania i dlaczego istnieje zło. Lubilem mój wiejski kościółek w Walii, wybudowany przez moich przodków, ale pożywki intelektualnej znajdowałem w nim niewiele. Naszym kaznodziejom nie przychodziło do głowy zgłębiać problem wiary, woleli snuć praktyczne morały, wynikające niezbiecie z opowieści ewangelicznych. Wyglądało na to, że religia, steroryzowana przez nowoczesność i naukę, wyrzekła się zgłębiania swych własnych tajemnic.

Triumfalizm nauk ścisłych (lada chwila, proszę panów, wyjaśnimy tajemnicę Boga) zawsze wydawał mi się równie naiwny jak zachrypły religijny fundamentalizm. Miałem przy tym pewne ambicje literackie, a całkiem nie mogłem sobie wyobrazić literatury zamkniętej w sztywnych ramach nauki i zapowiedzi rychłego pojawienia się wyczerpującej Teorii Wszystkiego (*Theory of Everything*). Literatura natomiast – jak i wszelka sztuka – proponuje raczej świat otwarty na różnego rodzaju mnogości, świat oparty raczej na przenośni niż na pomiarze (jak to kiedyś ujął Norman Mailer).

Dość rychło zdałem sobie sprawę, że istnieją obszary doświadczenia, które żadną miarą nie mieszczą się w rygorach mechanistycznej nauki. Nie była to może religia i niewiele to miało wspólnego z istnieniem Boga, niemniej było to coś zbliżonego do doświadczenia religijnego. Zawsze uważałem, że w samym centrum chrześcijaństwa jest miłość. Nie tylko miłość bliźniego, także miłość nieprzyjaciół. Zapewne, byłem zbyt temperamentny, bym potrafił taką miłość praktykować, ale trudno mi było nie uznać politycznej mocy tej intuicji.

Zrodzona w palestyńskim zaścianku, w ciągu trzech stuleci opanowała bez walki rzymskie imperium. W naszym stuleciu w postaci pokojowego oporu wyparła Wielką Brytanię z Indii, wywalczyła prawa obywatelskie w południowych

stanach USA, zlikwidowała *apartheid* i doprowadziła do upadku komunizmu. Można argumentować, że to czynniki gospodarcze i polityczne manewry, czy nawet sporadyczny gwałt, doprowadziły do tych przewrotów, niemniej decydującym czynnikiem były pokojowe akcje mas ludzkich od Delhi po Missisipi, po Warszawę i Berlin.

Miałem okazję spędzić kilka miesięcy mojego dziennikarskiego życia w rozpadającym się Związku Sowieckim. Mając w pamięci czarne wizje Orwella i Koestlera, spodziewałem się znaleźć tam ludzi, na których dziesiątki lat prania mózgów musiały zostawić swoje ślady, ludzi recytujących marksistowskie slogany i podejrzliwych wobec Zachodu. Faktycznie spotkałem ludzi myślących z grubsza tak samo jak moi rodacy w Anglii, często bardziej wykształconych i lepiej poinformowanych, duchowo prawie całkiem nieskażonych przez lata głupawej indoktrynacji. Wśród młodzieży rosyjskiej bardzo modne stało się nagle chrześcijaństwo. Moda zapewne pod wielu względami niemniej powierzchowna niż moda na dżinisy, niemniej był w tym również element protestu przeciw kłamliwej wizji królestwa niebieskiego na ziemi. Stalin miał kiedyś złośliwie zapytać „Ile dywizji ma papież?” Na ruinach stalinowskiego imperium nasuwała się prosta odpowiedź: „Wszystkie”.

Więc co właściwie znaczy to mocne, choć też mocno wytarte, słowo „miłość”? Oczywiście: współczucie, tolerancję, wzgląd na drugiego człowieka... tego rodzaju rzeczy. Ale pod tym wszystkim tkwi jakiś inny rdzeń znaczeniowy, bardziej istotny, trudny do oddania w słowach. Najlepszym określeniem, jakie mi się nasunęło, jest „samo-wyrzeczenie”*. Dla wyjaśnienia, co mam na myśli, musiałem sięgać po przykłady z życia. I tak wiedziałem z doświadczenia, że w trudnych sytuacjach życiowych najlepiej poddać się logice wydarzeń. Albo zawierzyć intuicji. Jedno nieudane małżeństwo i drugie udane nauczyło mnie, że miłość nie funkcjonuje bez wzajemnych wyrzeczeń. Zamykając się w sobie, obstając przy swoich przyzwyczajeniach, przez okazywanie rezerwy, a nawet

* To określenie zdaje mi się lepiej oddawać sens angielskiego *self-surrender* niż bardziej dosłowne, ale nie przyjęte w języku polskim „samo-poddanie się” (przyp. tłumacza).

nadmierną wstydlivość dajesz dowód, że nie masz pojęcia o kochaniu.

Jest wyznaniem wewnętrznego niedostaku, że muszę ciągle na nowo otwierać się na innych ludzi, na własną ignorancję i słabość. Na jeszcze głębszej płaszczyźnie jest to uznanie zależności i wzajemności. Nie mogę należycie funkcjonować w kontekście społecznym jako atom egoizmu i samowystarczalności. Nie mogę funkcjonować w kontekście otaczającego mnie świata jako gruda materii, wytwór bezosobowych sił natury. Muszę zaakceptować fakt, że jestem tysiącnymi więzami związany z innymi ludźmi i wszechświatem. Nigdy tych wszystkich więzów nie potrafię sobie uprzytomnić, a tym bardziej zrozumieć. To też jest fakt, który mogę tylko pokornie przyjąć. I wszystko to razem, w trochę zbyt wielu słowach, jest tym co rozumiem przez miłość.

Najpotężniejszym wyrazem całego tego kompleksu jest Ukrzyżowanie. Tu Bóg powiada człowiekowi, że tylko w samo-wyniszczeniu się w miłości jest zbawienie. Jezus jest w samym centrum tego dramatu, ale jest to dramat, który nie jest grany lecz przeżywany. Jezus jest Bogiem, ale jest także człowiekiem i jako człowiek nie wie czym dramat się skończy. Bóg chce, by człowiek mu zaufał i oddał się w jego ręce, ale na dowód jak serio go traktuje, sam sobie wiąże ręce i poddaje się człowiekowi. Ukrzyżowanie znaczy, że świat jako dzieło Boga nie jest dla ludzkiego rozumu dostępny; że u korzeni wszelkiego zła leży żądanie, aby był dostępny. I znaczy wreszcie, że Bóg gotów jest umrzeć, by pokazać nam drogę wyjścia.

Czytałem Nowy Testament zrazu tylko jako literaturę, ale efekt tej lektury był nadzwyczajny. W zetknięciu z moimi przemyśleniami na temat konieczności samo-wyrzeczenia, ewangelie stały się dla mnie czymś wiele większym niż literatura lub mit.

W ciągu pisania tego artykułu uprzytomniłem sobie całkiem wyraźnie, że ostatecznie nie podobna przekonać siebie albo kogokolwiek o słuszności i potrzebie wiary. Kardynał Newman powiedział, że takie przekonywanie ludzi tak samo nie ma sensu jak torturowanie ich. Należy do istoty wiary, że jest bezsensowna. Jej potwierdzenia można się doszukać, jeśli to w ogóle możliwe, w nieuchwytnych osobistych odczuciach

ładu, komfortu czy przynależności, których dreszcz wywołany dziełem sztuki czy przyrody, czy ludzkiego serca, jest tylko niezgrabnym przybliżeniem. Jestem przekonany, że tego rodzaju przeżycia są każdemu człowiekowi dostępne, jeśli ci ich tylko rozpaczliwie potrzeba (jak w moim przypadku), albo jeśli jesteś dostatecznie otwarty, a może tylko dostatecznie prosty.

Poczucie rzeczywistości istniejącej poza przestrzenią i czasem, rzeczywistości integrującej i nadającej sens wszystkiemu, co przeżywamy, jest czymś co raz jest, a potem znowu go nie ma. Częściej go nie ma niż jest. Miewam chwile pełne szczęścia i pogody ducha. Bywają też chwile, że wszystko wydaje się złudą, za którą czai się terror mojej śmiertelności; że wszelka religia jest dokładnie tym, co mówi Filip Larkin: „przeżarty przez mole brokat/ co każe nam udawać/ że nigdy nie umrzemy”. Wahadło wciąż jeszcze oscyluje między tymi skrajnościami, ale myślę, że wahnięcia stają się coraz krótsze. Mogę już czytać „Aubade” Larkina bez szczególnego strachu. Potrafię myśleć o mej własnej śmierci bez popadania w panikę... Moja żona powiada nawet, że nie złoścę się już tak często jak dawniej.

Oczywiście nikt naprawdę nie wie, co tam jest za zasłoną śmierci, poza światem, poza gwiazdami, ani Stephen Hawking, ani Richard Dawkins, ani Philip Larkin, ani Wielebny Billy Graham. Wszystkie nasze rozwiązania zagadki istnienia, od nauk ścisłych po religię, to ostatecznie tylko pewne modele czy paradygmaty. I każdy z nas wybiera taki paradygmat, jaki mu odpowiada. Larkin był niewątpliwie odważnym człowiekiem, ale wybrał sobie model alkoholowo-obsesyjno-samobójczy, sparaliżowany nieszczęściem. Uczony ateista, jak Richard Dawkins, uznaje życie za przypadkowy twór kosmicznej osobliwości i z brawurową determinacją prawdziwego egzystencjalisty obwieszcza swoje odkrycia na skraju stygnącego i całkowicie obojętnego wszechświata.

Glossa: Philip Larkin (1922-1985), poeta angielski.

Stephen Hawking, matematyk i kosmolog, profesor Uniw. w Oxfordzie, od młodych lat ciężko sparaliżowany;

Richard Dawkins, biolog, prof. Uniw. w Oxfordzie, autor „The Selfish Gene” i „The Blind Watchmaker”;

Rev. Billy Graham, światowej sławy popularny kaznodzieja amerykański.

A ja, siedząc przy mojej maszynie do pisania, chłonąc zapach pnącików zza okna, słuchając dochodzących mnie odgłosów mojej rodzinki, wiem chyba, jaki model wybieram. Przystaw sobie pistolet do skroni, panie Harris... Już wiem, co myśleć. Nie, nie wiem. Nie. Mam nadzieję. Tak.

Martyn HARRIS

Ściśle tajne z Watykanu

Udostępniony niedawno przez berliński Urząd pastora Gaucka wybór dokumentów NRD-owskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego (MfS), dotyczących Watykanu powinien przyciągnąć uwagę dziennikarzy i historyków zajmujących się dyplomacją Stolicy Apostolskiej. Materiały obejmują okres ćwierćwiecza 1963-1988, na który przypada szereg istotnych wydarzeń najnowszej historii politycznej. Akta z zasobów Stasi mogłyby szczególnie zainteresować polskiego czytelnika ze względu na rozpoczęty w 1978 r. pontyfikat Jana Pawła II. Czytelnik ów musiałby jednak mieć dostęp do tych dokumentów, tymczasem prasa krajowa, pomijając naprawdę nieliczne wyjątki, podjęła konsekwentnie wysiłki, aby akurat nie poinformować opinii publicznej, co zawierają archiwa Stasi. W publikacjach dotyczących tego tematu widać brak podstawowej wiedzy w zakresie interpretacji i ewaluacji materiałów wywiadowczych, czemu – po stronie czytelników – towarzyszy fakt, że sprawy tajnej dyplomacji czy działalności służb specjalnych znane są w stopniu równie znikomym, jak problem życia na Marsie. Natomiast część autorów krajowych publikuje twierdzenia ewidentnie fałszywe, naruszając elementarne zasady dziennikarskiej rzetelności. Zamiast informacji o rzeczywistej treści dokumentów (jedynie *Życie Warszawy* opublikowało kilka

tłumaczeń), wyeksponowano w sposób sztuczny wątek „polskiego szpiega w Watykanie”. „Czy w dokumentach pada nazwisko informatora?” – zastanawia się dziennikarka *Sztandaru Młodych*. Tymczasem sprawa ta – w kontekście informacji zawartych w materiałach, jest nie tylko drugorzędna, lecz sprowadza się ponadto do nieweryfikowalnych spekulacji, bowiem rzekome dokumenty, już ze swej natury, nie przynoszą danych umożliwiających wyciągnięcie ostatecznych wniosków w tej kwestii.

Temat identyfikacji źródła, jakim polski wywiad dysponował w Kurii Rzymskiej, wyeksponował pierwotnie berliński *Tagesspiegel*. Łatwo przy tym dostrzec intencje dziennika, który nie jest organem nazbyt życzliwym Kościołowi katolickiemu. Autorzy *Tagesspiegel* jako pierwsi spekulowali na temat źródła MSW w Watykanie, wysuwając przypuszczenia, że chodzi o wysokiego rangą hierarchę polskiego Kościoła. Informacji na temat identyfikacji informatora należałoby szukać w archiwach wydziału IV MSW a te, jak wiadomo, zostały zniszczone na polecenie generała Kiszcza. I na tym można by dyskusję o polskim szpiegu w Watykanie zamknąć.

Podjęty przez *Tagesspiegel* temat posłużył jednak kilku publicystom w Polsce jako pretekst do kolejnych ataków na Urząd Pełnomocnika Federalnego d/s Akt Stasi i na jego szefa. Sugerowano, że „publikacje” pastora Gaucka obejmujące „materiały polskie” nie pojawiają się przypadkowo i po raz kolejny służą wywoływaniu „poważnych pomówień”. W rzeczywistości Urząd Gaucka nie opublikował dotychczas żadnych „materiałów polskich” a jedynie udostępnia zainteresowanym – i jest do tego zobowiązany Ustawą o Dokumentach Stasi (*Stasi-Unterlagen-Gesetz*) – akta NRD-owskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego; kwestia publikacji jest sprawą prasy i historyków. W wypadku rzeczonych dokumentów nie chodzi akurat o „materiały polskie”, te bowiem znajdowały się w gestii Wydziału Głównego II MfS, lecz o „materiały kościelne”, pochodzące z wydziału XX/4. Jako przykłady pomówień prasa w Polsce przytaczała „sprawy” Ewy Milewicz i Stanisława Cioska, niesłusznie posądzonych o działalność agenturalną na rzecz Stasi, jakoby w oparciu o dokumenty przekazane „Solidar-

ności” przez Urząd Gaucka. Materiały udostępniła swego czasu „Solidarność”, jako gest dobrej woli, niemiecka Komisja Badawcza Bundestagu, zajmująca się okresem dyktatury SED a nie Urząd Pełnomocnika Federalnego d/s Akt Stasi. Nazwiska Ewy Milewicz i Stanisława Cioska w istocie tam występują, lecz – w wypadku Milewicz – jednoznacznie jako „wrogi element” („ofiara” Stasi w języku niemieckiej ustawy), zaś w wypadku Cioska – informacje zawarte w przekazanych materiałach dotyczą wyłącznie jego rozmów z towarzyszami z SED i, wbrew twierdzeniom polskiej prasy, nie dają żadnych podstaw do przypuszczeń, że domagał się on w 1981 r. sowieckiej interwencji w Polsce. „Sprawy” zostały zatem sfabrykowane przez polskie media a bardziej szczegółowo przedstawiłem to zagadnienie w tekście opublikowanym już półtora roku temu w *Zeszytach Historycznych*. Jeżeli zatem dziennikarze krajowi powtarzają obecnie ewidentnie błędne twierdzenia – przyświecać im musi cel inny, niż troska o rzetelne informowanie czytelnika. Z uwagi na pozostawiającą wiele do życzenia kulturę polemiczną i erozję etyki dziennikarskiej, rzetelna dyskusja jest w Polsce niemalże niemożliwa a nawet listy do redakcji, w których starałem się sprostować podstawowe choćby fakty, nie zdołały trafić na łamy krajowej prasy.

Wydaje się przeto, że i sfabrykowanie kolejnej „sprawy”, do czego jako pretekst posłużyły odnalezione w archiwach Stasi materiały watykańskie, pełni funkcję zastępczą w osiągającej już fazę metastaz dyskusji nad „lustracją” i kwestią otwarcia archiwów; „fałszywe informacje z dokumentów Stasi” mają przy tym wspierać argumentację przeciwników udostępnienia zasobów archiwalnych. Pastor Gauck, uchodzący za uosobienie „lustratora” (bezpodstawnie, bowiem jego urząd akurat nie zajmuje się tym, co w Polsce rozumie się pod pojęciem „lustracji”), staje się w myśl ignorującej fakty logiki – obiektem ataków ze strony przeciwników weryfikacji i otwarcia archiwów.

Ginie przy tym wątek główny i – z uwagi na wyjątkowość dokumentów dotyczących Kurii Rzymskiej – arcyciekawy. Chodzi o jedno z najważniejszych dostępnych dotychczas źródeł do dyplomacji watykańskiej w bardzo niedawnym okresie. Potrafi to docenić historyk, świadom przeszkód w

dotarciu do watykańskich archiwów. Ale równie ważny jest fakt, że chodzi o pierwszy obszerny zespół dokumentów z zasobów „kościelnego” wydziału MfS. Udostępnienie prasie akta wywiadu Stasi odnaleziono w ramach poszukiwań prowadzonych od wiosny tego roku na wniosek grupy badawczej niemieckiego Kościoła katolickiego.

Wychodzę z założenia, że bardziej pouczające będzie przedstawienie jednego z dokumentów, który z wielu względów powinien zainteresować polskiego czytelnika. Publikowana informacja wymaga jednak kilku uwag na temat ewaluacji materiałów wywiadu oraz ich wiarygodności. Pojawiające się w gazetach twierdzenia, że „materiały Stasi zawierają wiele fałszywych informacji”, świadczą bądź o ignorancji osób wypowiadających podobne opinie, bądź też są demagogią czystej próby. Nie ma na świecie archiwum, które zawiarałoby „całą prawdę i tylko prawdę”. Źródła archiwalne służą poszukiwaniu prawdy historycznej. W zależności od charakteru materiałów różne są kryteria ich weryfikacji. Służy temu krytyka źródeł a pogładową lekcję jej zastosowania dał izraelski badacz Doron Arazi na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (prasa polska jakoś dziwnym trafem zupełnie nie dostrzegła tego najważniejszego w obecnej dyskusji artykułu, skupiając się na publikacjach *Tagesspiegel*). Inaczej należy oceniać opinie czy poglądy osób trzecich, które funkcjonariusze wywiadu przytaczają w swych raportach, inaczej materiały analityczne, zawierające oceny czy przewidywania, inaczej stenogramy rozmów a jeszcze inaczej relacje o nich. Jeśli oficer policji politycznej w raporcie o obserwowanej osobie określa ją jako „element antysocjalistyczny”, ocena prawdziwości zależeć będzie od wyobrażeń oceniającego na temat socjalizmu.

Najbardziej ściśle – w sensie przedstawionych faktów – są protokoły rozmów. Analizy tego typu dokumentów, dokonane przez historyków niemieckich, wykazały, że nawet gdy zapis rozmów pochodzi z trzech różnych źródeł (Kościół, partia i administracja państwowa – tak bywało np. w wypadku rozmów władz z przedstawicielami Kościoła), ich treść jest z reguły zgodna; różnice dotyczą jedynie innego rozłożenia akcentów czy uwypuklenia odmiennych wątków.

Podstawowe znaczenie ma fakt, pomijany zupełnie

w prasie krajowej, że Stasi, podobnie jak służby specjalne „bratnich państw”, które dysponowały tymi samymi materiałami, dokonywała, normalnej w praktyce wywiadu, kontroli uzyskiwanych informacji. Wiele dokumentów zawiera oceny: „informacja sprawdzona” (lub „nie sprawdzona”), „źródło wiarygodne”, „informacja pochodzi ze źródła bliskiego kurii” itd. Nawet dokument zawierający informację nie sprawdzoną, czy wręcz nieprawdziwą (jeżeli można stosować logiczne kryteria prawdziwości czy Arystotelesowską definicję prawdy), nie traci swej wartości jako źródło historyczne.

W wypadku dokumentów pochodzących z polskich organów bezpieczeństwa, które za pośrednictwem KGB trafiły do MfS, kontrolę informacji podejmowano co najmniej trzykrotnie: w Warszawie, w Moskwie i w Berlinie Wschodnim, porównując je z danymi z innych wewnętrznych i zewnętrznych źródeł. Informacje z MSW stanowią przy tym zaledwie część dokumentów odnalezionych w archiwach Stasi, ilościowo i jakościowo ważną, z uwagi na „specjalizację” wywiadu PRL w sprawach watykańskich i włoskich (w systemie patronowania partiom komunistycznym na Zachodzie przez państwa bloku sowieckiego, PZPR zajmowała się partią włoską, z uwagi na doświadczenia „polskiego modelu” koegzystencji marksizmu i katolicyzmu). Pozostałe materiały pochodzą z KGB, z wywiadu węgierskiego i z własnych źródeł Stasi. Dokumenty uzyskane od „bratnich organów” trafiały pierwotnie do wydziału X MfS, zajmującego się współpracą z odpowiednimi służbami innych państw komunistycznych. Następnie przekazywano je do wydziału XX/4, właściwego w sprawach kontroli kościołów w NRD. W tym wypadku „po drodze” dokonywano dwukrotnie bądź trzykrotnie przekładów (z włoskiego na polski, z polskiego na rosyjski, z rosyjskiego na niemiecki), co może tłumaczyć błędy w transkrypcji obcych nazwisk.

Fakt, że zachowane materiały z wydziału XX/4 Stasi pochodzą od kilku wywiadów, z których każdy dysponował własnymi źródłami, w logiczny sposób uciął, przynajmniej w prasie niemieckiej, dyskusję nad kwestią „polskiego szpiega w Watykanie”. Powinno to ułatwić bardziej rzeczową ocenę udostępnionych dokumentów, które z pewnością będą

podstawą niejednej pracy historycznej. Obawiam się jednak, że zabraknie wśród nich publikacji w języku polskim.

Publikowany dokument, opatrzony sygnaturą „MfS HA XX/4 320” pochodzi bez wątpienia z własnych źródeł Stasi. Świadczy o tym zarówno uwaga, jaką poświęcono sprawie Kościoła w NRD (pomijam w tłumaczeniu pierwszą część informacji, która dotyczy stosunków między biskupami a władzami państwowymi w Niemczech Wschodnich), jak i fakt, że przytaczane opinie pochodzą głównie od przebywających w Rzymie Niemców, względnie – w wypadku Dielma – od radcy ambasady austriackiej. Informator miał najwyraźniej bezpośredni kontakt z tymi osobami.

Nie to jest jednak najważniejsze. Informacja dotyczy okresu, kiedy z uwagi na wprowadzenie w Polsce stanu wojennego, prezydent Stanów Zjednoczonych podjął politykę zdecydowanych nacisków wobec władz PRL a Jan Paweł II stał się jego sojusznikiem, w pewnym sensie najważniejszym. Dopiero kilka lat później ścisła współpraca pomiędzy Watykanem a Waszyngtonem stała się tematem artykułów prasowych a szczegółowo omawiają ten temat Bernstein i Politi w wydanej niedawno książce. Jak świadczy publikowany dokument, wywiady państw komunistycznych były zorientowane w bliskiej współpracy papieża z Ronaldem Reaganem.

Informacja pochodzi z okresu, kiedy Jan Paweł II starał się zrewidować wypracowaną w latach pontyfikatu Pawła VI politykę zbliżenia z obozem sowieckim. Starania te natrafiały na opór watykańskich dyplomatów z kardynałem Casarolim na czele. Inne odnalezione w archiwach Stasi akta przynoszą więcej informacji na ten temat. Podobnie jest w wypadku różnic pomiędzy Ojcem św. a Prymasem Polski w sprawie postawy tego ostatniego wobec władz „stanu wojennego”; w publikowanym dokumencie kwestia ta pojawia się jedynie między wierszami.

Warto dodać, że również polskie organy bezpieczeństwa prowadziły działania przeciwko organizacji „Wiara w Drugim Świecie”, określanej w raporcie Stasi jako „centrala klerykalnego antykomunizmu”. Oficerowie wywiadu PRL, ulokowani

w ambasadzie w Bernie, podejmowali w latach 80-tych próby werbunku wobec pracowników tej instytucji; pisał o tym swego czasu szwajcarski *Tagesanzeiger*.

Informację sporządzono w czterech egzemplarzach i trafiła ona, podobnie jak pozostałe dokumenty dotyczące spraw kościołów, do archiwum Głównego Wydziału XX MfS i tam też odnaleźli ją pracownicy Urzędu Gaucka.

Tomasz MIANOWICZ

Wydział Główny XX/4

Ścisłe tajne

Berlin, dn. 16.9.1982

Wykonano w czterech egzemplarzach

Egzemplarz nr 1.

INFORMACJA

na temat sytuacji w Watykanie

Ze sprawdzonego i godnego zaufania źródła uzyskano wiadomości z Watykanu.

Mons. Giovanni LAJOLO, odpowiedzialny z ramienia Rady do Spraw Publicznych (watykańskie ministerstwo spraw zagranicznych) za stosunki z NRD, RFN i Francją, wyraził pogląd, że Watykan ocenia stosunki z NRD jako dobre.

(...)

Według wypowiedzi LAJOLO a także dr. Hansa-Jacoba STEHLE (dziennikarz i specjalista d/s Watykanu) oraz Eberharda von CEMMINCENA (pełnomocnik „Niemieckiej Konferencji Biskupów” przy Radiu Watykan), zawodowi dyplomaci Watykanu na czele z kardynałem CASAROLI są zwolennikami realistycznej i ostrożnej politycznie postawy wobec krajów socjalistycznych. Dążą oni do tego, aby w oparciu o akt końcowy z Helsinek zabezpieczyć i poprawić sytuację Kościoła w tych krajach.

Odbierają oni przy tym hałaśliwy antykomunizm jako przeszkodę. Właśnie w ostatnich miesiącach wojownicze siły katolicyzmu manifestują go wyraźniej a w sposób widoczny popiera i współrealizuje go także papież. W ostatnich miesiącach można odnotować nie tylko przesadne, wykraczające

poza stanowisko polskiego episkopatu wypowiedzi papieża, charakteryzujące polski rząd wojskowy, lecz również bardziej intensywne zbliżenie pomiędzy papieżem a administracją REAGANA, zwłaszcza w sprawach Polski a także Libanu. Nasilony antykomunizm uwidacznia się też w tym, że w argumentacji zarówno papieża jak i różnych konferencji biskupów jako główną przyczynę zagrożenia pokoju wymienia się „totalitarną ideologię”, pod którą rozumie się marksizm-leninizm bądź też wspólnotę socjalistyczną, a dopiero w dalszej kolejności [wymienia się] zbrojenia.

Według ocen w/w osób w historii Watykanu w ostatnich dziesięcioleciach związki i kontakty pomiędzy papieżem, Watykanem a USA jeszcze nigdy nie były tak bliskie jak w lecie 1982. Wyraża się to poprzez spotkania papieża Jana Pawła II z REAGANEM w czerwcu (audiencja prywatna), CASAROLIEGO z REAGANEM i ministrem spraw zagranicznych USA SCHULTZEM w sierpniu 1982 a także poprzez intensywną wymianę korespondencji pomiędzy papieżem a REAGANEM.

Polityka USA i polityka Watykanu wspierają się wzajemnie w dwóch regionach – w Polsce i na Bliskim Wschodzie.

Papież Jan Paweł II przyjął w 1982 r. uczestników kursu „Akademii Obronnej NATO” i oświadczył:

„Niechaj wasza działalność jako członków Akademii Obronnej NATO zawsze kieruje się głęboką ufnością w możliwość pokoju i głębokim szacunkiem dla godności każdej osoby ludzkiej. Modlę się, aby Bóg Wszechmogący wspierał wszelkie wasze wysiłki na rzecz stworzenia przyszłości, charakteryzującej się jednością, sprawiedliwością i pokojem”.

Ponadto udało się stwierdzić, że dwa ważne ośrodki klerikalnego antykomunizmu, które zwą się ponadwyznaniowe i faktycznie nie są oficjalnymi instytucjami kościelnymi a mianowicie centrala „Wiara w Drugim Świecie” (Zurich) i „Centrum Brüsewitsza” w RFN, zwiększyły w ostatnich miesiącach ogólny zakres działalności i popierane są w większym stopniu przez Kościół katolicki. (...)

Radca ambasady austriackiej przy Watykanie DIEHM, powiedział, że w Watykanie panuje głębokie przekonanie, które podziela sam papież, jakoby „sowiecka tajna służba KGB” chciała spowodować zamordowanie polskiego papieża. Istnie-

ją poszlaki na to, że zamachowiec nigdy nie podejmował pieniędzy z banku a ponadto był wybrany i przygotowany w taki sposób, że mogła to zrobić tylko tajna służba. Z uwagi na korzyści wchodzi w grę tylko „sowiecka tajna służba”. Ten pogląd spotyka się w Watykanie często.

(...)

Istnieją liczne krytyczne opinie na temat kazań papieża względnie wykładów papieża w czasie audiencji generalnych, które odbywają się w środy od 17.30 na Placu Św. Piotra. Są one zbyt profesorskie. Ponieważ za każdym razem przedstawiany jest tylko fragment i przez kilka tygodni kontynuowany jest jeden temat, chociaż każdej środy obecne są inne grupy pielgrzymów.

Włoscy katolicy w ogóle nie lubią „polskiego papieża”. Przyczyną nie jest fakt, że jest on obcokrajowcem, lecz to, że uprawia on zbyt wiele aktorstwa, profanuje i powoduje profanację funkcji papieża. Jako przykład podaje się ten cały przemysł pamiątkarski.

Jest on [papież] w zbyt małym stopniu reprezentantem Kościoła powszechnego i troszczy się nadmiernie o Polskę. Nie jest on w końcu przedstawicielem polskiego episkopatu, który w sprawach reprezentacji sam dobrze sobie radzi.

Z uwagi na zagrożenie źródła niniejsza informacja nie może być wykorzystana oficjalnie.

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Miesiąc temu zacząłem „Notatki” wiadomością o głodówce akademika Władimira Strachowa, który w ten sposób protestował przeciw pogardzie rządu rosyjskiego dla nauki. Dzisiejsze notatki mógłbym zacząć od samobójstwa akademika Władimira Nieczaja. Strachow kieruje Instytutem Fizyki Ziemi i zajmuje się badaniami teoretycznymi. Władimir Nieczaj był dyrektorem federalnego ośrodka nuklearnego Czelabińsk-70, jednego z tajnych, zamkniętych miast (otwarto je dopiero kilka lat temu), w których produkowano dwie trzecie broni nuklearnej kraju. Jego samobójstwo to protest przeciwko lekceważeniu potrzeb twórców potęgi nuklearnej Rosji. Dobrowolna śmierć jednego z ojców sowieckiego „miecza nuklearnego” przekonująco ilustruje kryzys, w jakim znalazło się państwo.

Kilka dni po samobójstwie akademika Nieczaja Borys Jelcyn ocknął się po udanej operacji serca. Związek między tymi dwoma wydarzeniami nie jest bezpośredni, ale jest. Zapowiadane przez lekarzy całkowite ozdrowienie prezydenta jest potrzebne dla ozdrowienia kraju. Sam w sobie powrót prezydenta na Kreml naturalnie nie wystarczy. Jednak bez jego powrotu kryzys będzie się pogłębiać.

Ubiegły miesiąc był okresem zawitych intryg pałacowych. Z czasem, po dziesięcioleciach, interesują one tylko historyków, jednak w chwili, kiedy się dzieją, wpływają na rzeczywistość. Choroba prezydenta postawiła u steru kraju – z jego wyboru – triumwirat: prezesa Rady Ministrów Czernomyrdina, szefa administracji prezydenckiej Czubajsa i sekretarza Rady Bezpieczeństwa Lebiedia. Nagle, już leżąc w szpitalu,

Borys Jelcyn zwolnił generała Lebiedia. Powodów tej decyzji podaje się wiele i rozmaitych. Jedni mówią, że generał zbyt otwarcie dawał do zrozumienia, że chciałby zostać prezydentem. Inni twierdzą, że Borys Jelcyn obraził się na Lebiedia, który zaczął flirtować z generałem Korżakowem, który z kolei wypadł z łask prezydenta. Mówi się też, że generał Lebied', specjalnie zachowywał się wyzywająco, żeby zostać męczennikiem, ponieważ po zawarciu pokoju z Czeczenią nie miał żadnego zadania.

Faktem jest, że triumwirat przekształcił się w duumwirat Czernomyrdin-Czubajs lub raczej, jak twierdzą niektórzy, Czubajs-Czernomyrdin. W wirze intryg warto się trzymać słynnego *credo* detektywów: *cherchez la femme*. Kobiętę łatwo było znaleźć: jest nią młodsza (rok urodzenia 1960) córka Jelcyna, Tatiana Diaczenko. Mówi się (dokumentów brak), że Borys Jelcyn uważnie słucha jej zdania. To ona poparła Anatola Czubajsa i jego komando, któremu Borys Jelcyn zawdzięcza zwycięstwo w wyborach.

Sytuacja duumwirów nie jest jednakowa. W danej chwili Czubajs zdaje się skupiać w swych rękach więcej władzy administracyjnej aniżeli premier. Jednak Czernomyrdin ma za sobą kompleks paliwowo-energetyczny (TEK), czyli gaz, naftę i węgiel. Co więcej, premiera zatwierdziła na stanowisku Duma, jego władza jest więc w pełni legalna. Anatol Czubajs znajduje się w służbie prezydenta, który może go jednym pociągnięciem pióra zwolnić. Jak Lebiedia. Umacniając swą pozycję, Czubajs wprowadził do Rady Bezpieczeństwa na stanowisko zastępcy sekretarza Borysa Berezowskiego.

Zaskoczenie, jakie wywołała ta niespodziewana nominacja, podkreśla tylko znaczenie samego faktu. Osłupienie wzbudziła zarówno osoba Berezowskiego jak i jego sytuacja. Borys Berezowski urodził się w 1946 roku. Jest inżynierem. W 1983 roku obronił pracę doktorską z dziedziny matematyki stosowanej, ściślej z teorii podejmowania decyzji. O czym traktowała dysertacja, nie mam pojęcia, jednak widać gołym okiem, że podejmować decyzje Borys Berezowski potrafi. Autor stu artykułów i trzech monografii o problemach zarządzania zajął się interesami i szybko się na nich wzbogacił. Co do źródeł jego majątku zdania są podzielone: jedni uważają go za gangstera, drudzy za geniusza finansjery. W jego

rękach znajduje się handel samochodami, 51% udziałów kampanii naftowej „Sibnafta”, pierwszy kanał telewizji rosyjskiej ORT oraz szereg gazet i czasopism.

W wywiadzie dla *Financial Times* Borys Berezowski odpowiedział, że dla finansowego poparcia kampanii wyborczej Borysa Jelcyna zjednoczyła się grupa sześciu największych zakładów przemysłowych i banków. Na szefa kampanii poleciła Anatola Czubajsa, wyasygnowała 3 miliony dolarów na wydatki i przeprowadziła negocjacje, których wynikiem był alians Borysa Jelcyna z Aleksandrem Lebiediem. Po wyborach, wyjaśnił Berezowski, grupa postanowiła działać z odkrytą przyłbicą. Marksisci powiedzieliby, że finansowa oligarchia wyszła z podziemia i doszła do władzy.

Wkroczenie Borysa Berezowskiego na scenę polityczną wzbudziło wiele emocji, bo postać jest barwna. Jednak tendencja, jaką symbolizuje, mianowicie symbioza władzy i kapitału, widoczna była już przy formowaniu rządu po wyborach prezydenckich. Pierwszym wicepremierem został bankier Władimir Potanin. Do elit władzy wchodzi nowi aktorzy – biznesmeni – i jest to nowość. Charakter tych „ludzi interesu” jest pochodną charakteru kapitalizmu, który rozlewa się po Rosji. Jego podstawą są banki, a nie przedsiębiorstwa, surowce a nie produkcja, i pod wieloma względami jest to kapitalizm państwowy. Tym niemniej niszczy on podstawy socjalizmu w Rosji i zmienia świadomość ludzi.

Ważnym elementem zmieniającej się sytuacji w kraju jest rola, jaką zaczyna odgrywać opinia publiczna. Biorąc to pod uwagę, główni magnaci finansowi skupiają w swych rękach środki masowej informacji: stacje telewizyjne i radiowe, gazety i czasopisma. Konkurencja między finansistami sprzyja dziennikarstwu, które goni za sensacją i skandalami. To z kolei prowadzi do tego, że sprawy, które kiedyś były „tajne łamane przez poufne”, dziś panoszą się na kolumnach gazet i na ekranach. Wywiady dla prasy i telewizji stały się ważną bronią w walce klanów i w intrygach politycznych. Każdy obrażony i upokorzony natychmiast wykonuje publiczny *strip-tease*. Aleksander Lebied', generał Korżakow itd., itp.

Potok demaskacji, spowodowany nominacją Borysa Berezowskiego, bardziej przypomina dynamit. Generał Lebied' opowiada, że kiedy podpisał ugodę z Czeczeńcami, Berezow-

ski przyszedł do niego ze słowami: Aleś zmarnował interes! Generał Korżakow ujawnia, że Berezowski zamawiał u niego morderstwa konkurentów, w tym magnata finansowego Rosji, dyrektora banku „Most”, Gusinskiego. Na koniec *Izwestia* ogłosiła artykuł, w którym domniemywały, że Berezowski posiada oprócz obywatelstwa rosyjskiego także izraelskie.

Działacze polityczni i urzędnicy państwowi, bankierzy i najemni mordercy dzielą się z wdzięcznymi czytelnikami i widzami opowieściami o gigantycznych kradzieżach, mordach i korupcji. Codzienne komunikaty prasowe o zabójstwach, małwersacjach i skandalach każą podejrzewać, że wiele w tych oskarżeniach prawdy. Jaki jest ich wpływ na opinię publiczną, nie jest jeszcze jasne. Pewne jest, że odgrywają jakąś rolę, bo równocześnie ze skandalami wkroczyły do życia obywateli rosyjskich wybory. Pisałem już – i jeszcze wrócę do tego tematu – o wyborach terenowych, które się właśnie odbywają. Socjologowie zaczynają wyciągać z nich wnioski. Wyniki wyborów są czasami dziwne. W Kursku na przykład gubernatorem został tyleż nieoczekiwanie co triumfalnie wybrany Aleksander Ruckoj, były generał i były wiceprezydent Rosji, który w grudniu 1993 roku usiłował zorganizować pucz. W swoim czasie, kiedy walczył z Jelcynem, zapewniał, że ma cztery walizki kompromitujących materiałów (*kompromatu*) na ludzi prezydenta. Walizek nie otworzył, być może nie było żadnego *kompromatu*, a może z jakichś innych powodów. Niewykluczone, że mimo to sława przeciwnika korupcji pomogła Ruckiemu zwyciężyć w Kursku.

Do narodzin opinii publicznej, która zresztą wciąż jeszcze nie odgrywa decydującej roli w kraju, przyczyniła się główna słabość obecnej Rosji, mianowicie słabość polityczna. Jest ona nie tylko skutkiem katastrofy, jakiej doznał ZSSR i kryzysu, w jakim znalazła się Rosja. Związana jest z jalcynowskim stylem rządzenia, opartym na konkurencji między klanami i strukturami, które nie są w stanie samodzielnie rozwiązać żadnego problemu.

Słabość władzy centralnej doprowadziła między innymi do niespodziewanego zjawiska: zniknął mianowicie wróg. Nieprzyjaciół naturalnie jest w bród: a to amerykańscy imperialiści, a to syjoniści, a to masoni, a to „osoby narodowości

kaukaskiej”, trusty międzynarodowe, mondialiści itd. Wydaje się jednak, że jednego solidnego, naczelnego wroga nie da się znaleźć. „Główne podstawy doktryny wojskowej”, uchwalone w 1993 roku, nigdzie nie zostały w całości ogłoszone, ale ich streszczenie świadczy o tym, że nie został w nich zdefiniowany główny przeciwnik i główne zagrożenie. *Moskowski komsomolec* (15.10.96) zebrał wypowiedzi specjalistów. Aleksander Lebied', jeszcze w charakterze sekretarza Rady Bezpieczeństwa, powiedział: „Dziś zagrożenie z południa – to duże zagrożenie. Zachód się ucywilizował. Z nim dogadamy się w sposób cywilizowany, ku powszechnemu zadowoleniu”. Pomocnik prezydenta do spraw polityki zagranicznej, Dmitry Rurikow, uważa: „Mówić dziś o jednym potencjalnym zagrożeniu dla bezpieczeństwa Rosji nie ma sensu. Duże zagrożenie takiej skali, jaka istniała jeszcze dziesięć lat temu, kiedy staliśmy wobec perspektywy zbrojnego konfliktu z Zachodem, dziś trudno sobie wyobrazić. Trudno też mówić o tym, że Rosji zagraża coś poważnego z południa. Ani ze strony Chin, ani ze strony Mongolii, ani ze strony Japonii, ani ze strony państw WNP”.

Szef służb przygranicznych, generał Andriej Nikołajew uważa, że „główne niebezpieczeństwo dla kraju znajduje się w Rosji – jest nim groźna tendencja do separatyzmu narodowego i kryminalizacja społeczeństwa”.

Władimir Żyrynowski, którego zaczyna się powoli zapominać, jest przekonany, że „z Zachodu nie widać niebezpieczeństwa. Tam za bardzo lubią komfort, za bardzo są przywiązani do ‘cywilizowanego’ poziomu życia... Za to ze Wschodem – a właściwie z Południem – graniczymy. A to Południe zawsze jest niespokojne”. Zwłaszcza niepokoi Żyrynowskiego Turcja, która tworzy „wschodnią falę” przy aktywnym poparciu Zachodu.

Popularny politolog Andranik Migranian zauważa, że istnieje „potencjalne zagrożenie Rosji” z zachodu i z południa, choć „zagrożenie z południa” stało się już rzeczywistością.

Siergiej Juszenkow, demokrat i poseł do Dumy, uważa, że „zachód stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo dla nacjonal-komunizmu, ale nie dla bezpieczeństwa Rosji”. Niestabilne reżimy i zbrojne konflikty na południu, totalitarne reżimy na wschodzie, zagrażają jego zdaniem bezpieczeństwu

zarówno Rosji jak też krajów zachodnich. W związku z tym Siergiej Juszenkow uważa, że nie należy „przeciwstawiać Rosji krajom NATO, a przeciwnie, starać się wzmocnić integrację Rosji z NATO”.

Drugi sekretarz komunistycznej partii Rosji, Walentin Kupcow, jest kategorycznie przekonany, że „głównym niebezpieczeństwem dla Rosji jest jak zawsze Zachód”.

Opinia publiczna ma swoje zdanie. Sondaż przeprowadzony przez Wszechrosyjski Ośrodek Badania Opinii Publicznej pokazał, że na pytanie „Jak oceniacie stosunki Rosji z...”, najwięcej osób – mianowicie 22% – uważało za wroga stosunki Rosji z Estonią, 3% uważały za kraj wrogi Stany Zjednoczone, 2% Niemcy, 10% Ukrainę, 4% Izrael. Można z tego wywnioskować, że większość obywateli Rosji boi się przede wszystkim wrogów wewnętrznych, nie zewnętrznych.

13.11.96

Adam KRUCZEK

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Kronika kulturalna

Portrety autoportrecistów

Wojciech Karpiński, autor zbioru szkiców literackich o „książkach zbójceckich”*, sam ma na swoim koncie takie książki. Chodzi zwłaszcza o napisane wraz z Marcinem Królem „Sylwetki polityczne XIX wieku” (1974), które były jedną z ważnych lektur lat siedemdziesiątych. Książka ta – wraz z kilkoma innymi, takimi jak „Rodowody niepokornych” Bohdana Cywińskiego czy „Koniec świata szwależerów” Mariana Brandysa – nie tylko miała swój udział w przywracaniu pamięci zbiorowej „cieni zapomnianych przodków”, ale też wzbogacała postawy wobec dziejącej się historii o dylematy, które wyznaczały zeszlówieczne dzieje Polaków. Tematykę tę Karpiński kontynuował w kolejnych zbiorach szkiców – od „Szkiców o wolności”, przez „Cień Metternicha” i „Chusteczkę imperatora”, aż po wydany niedawno tom „Polska a Rosja. Z dziejów słowiańskiego sporu” – koncentrujących się na dziejach liberalnej myśli politycznej, jej historycznych realizacji, zagrożeń i zaprzeczeń.

Ale w pisarstwie Wojciecha Karpińskiego niemal od początku istnieje też inny wątek, z czasem coraz bardziej zyskujący na znaczeniu. To narastające i układające się w coraz wyraźniejszą konstelację świadectwa jego osobistych fascynacji sztuką, zwłaszcza malarstwem i literaturą. Jest to wątek wyraźnie odrębny i choć z badaniami nad historią idei politycznych XIX wieku łączy go pewne ukryte pokrewieństwo – trzeba go też odrębnie potraktować.

* Wojciech Karpiński, „Książki zbójceckie”, Biblioteka Narodowa, Warszawa 1996 (pierwsze wydanie krajowe; pierwodruk: Polonia Book Fund Ltd., Londyn 1988), s. 420 (213 il.).

„Książki zbójckie” to zbiór szkiców poświęconych siedmiu pisarzom: Józefowi Czapskiemu, Witoldowi Gombrowiczowi, Gustawowi Herlingowi-Grudzińskiemu, Konstantemu Jeleńskiemu, Czesławowi Miłoszowi, Jerzemu Stempowskiemu i Aleksandrowi Watowi. Charakter tej książki jest niejednoznaczny: oto miała jej część stanowią starannie opracowane noty bibliograficzne, sugerujące niemal podręcznikowy zakrój publikacji, a jednocześnie mieści ona ponad dwieście fotografii bohaterów (nierzadko z autorem w tle lub pochodzących z jego osobistych zbiorów), co daleko wykracza poza podręcznikowy standard, z reguły zadowalający się pojedynczymi solennymi konterfektami. Między biegunem kroniki a biegunem wyznania – taka wstępna kwalifikacja okazuje się w świetle uważniejszej lektury nadzwyczaj trafna.

Z jednej bowiem strony oczywista jest obiektywistyczna intencja książki – próba ukonstytuowania nowego kanonu literatury polskiej drugiej połowy XX wieku. Tworzą go pisarze dzielący los emigranta – bardziej lub mniej świadomie wybrany, zawsze jednak świadomie przeżywany – i urzeczywistniający ów los poprzez więź z *Kulturą* i Instytutem Literackim bądź zgoła ich współtworzenie. Są to kryteria zewnętrzne – jakkolwiek wskazujące na powinowactwo daleko głębsze niż czysto sytuacyjne – które zostają poświadczane przez walory tworzonej przez tych pisarzy literatury, układającej się w interpretacji autora w nadspodziewanie spójną formację. Z drugiej jednak strony Karpiński konsekwentnie podkreśla subiektywne kryteria dokonanego wyboru, przedstawiając zamiar swej książki następująco: „Chciałem wywiązać się z długu wdzięczności wobec tych, którzy nazaczyli młodzieńczą wrażliwość i nadal są mi szczególnie bliscy”. Czy z takiego kryterium pomieszczenia może wynikać propozycja zdolna przekonać do swych racji?

Odpowiedzią, jakiej zdaje się udzielać autor, mogłaby być, zastosowana do tej książki, wypowiedź jednego z jej bohaterów, Józefa Czapskiego, w kwestii jego własnych wyborów i podejścia do literatury: „Dla tych pisarzy ich myśli o świecie były ich biografią na równi z ich trwaniem czy analizą swoich osobistych uczuć czy potknięć. I nie warto ich czytać, jeśli się ich również nie zasymiluje jako części własnej

biografii”. Przy tym stanowisku subiektywizm autorskich preferencji stanowi w istocie źródło prawomocności tworzonej za ich sprawą hierarchii i interpretacji: tylko pisarze zdolni pobudzić wrażliwość i osobiste zaangażowanie w lekturę, całą podmiotowość odbiorcy, zasługują na trwałe miejsce w kulturze duchowej zbiorowości. Tylko „książki zbójckie” nie pokrywają się kurzem w bibliotece zbiorowej pamięci.

Uznanie, że miarą pisarza są reakcje jego czytelników, jest jednak teżą cokolwiek ryzykowną. W ten sposób bowiem znaczną część odpowiedzialności za rangę i wartość dzieła składa się na barki odbiorcy. Jakim więc medium – czytającym, czującym i myślącym – jest autor „Książek zbójckich”?

Że do literatury używa klucza osobowego, że z niektórymi ze swych bohaterów dzieli pogląd Brzozowskiego: „Co nie jest biografią – nie jest w ogóle” i że wobec tego w literaturze szuka tych postaci, które potrafiły zaistnieć w niej właśnie jako osoby, we wszystkich ważnych wymiarach swego jestestwa – to w świetle dotychczasowego wyводу oczywiste. Te poglądy autora – by w zastosowaniu ożyły i potrafiły ożywić swój przedmiot – wymagają jednak pewnych, osobistych właśnie, dyspozycji i przymiotów. W tej kwestii wypada zgodzić się z tym, co o Karpińskim napisał Konstanty Jeleński: „...jak mało kto dzisiaj zachował zdolność podziwu i przyswajania sobie tego, co podziwia, w sposób – powiedziałbym – organiczny”. Jego teksty są świadectwem chłonności i pasji, nie moderowanych tak powszechnym obecnie dystansem, obawą przed bezpośredniością.

Miłość do sztuki jest rzeczą piękną i chwalebną – owoce, jakie przynosi, mogą być jednak różnej jakości. Ważne nie tylko że się kocha, ale też, co tak naprawdę i jak się kocha. W tym przypadku jest to ważne szczególnie. Pisząc o dziele i oddziaływaniu pisarzy „swobodnego głosu” łatwo bowiem – zwłaszcza będąc historykiem idei politycznych – ześliznąć się w redukcjonistyczne rozumienie literatury: twórczość sprowadzać do światopoglądu, słowo do myśli, estetykę do etyki. Karpiński tego zagrożenia unika starannie i konsekwentnie, w swym traktowaniu sztuki dzieląc – ponownie! – postawę Józefa Czapskiego, o którym napisał: „... czytywał wiersze, bo wprowadzały go w stan poetycki, otwierały nowe

pokłady wrażliwości i odsłaniały nowe światy, czytał powieści, bo z nich dowiadywał się o człowieku prawdą inną drogą niedostępną”.

W „Książkach zbójceckich” literatura traktowana jest więc w pełni swej autonomii i magii, słowo znaczy poprzez swą urodę i dramaturgię stylu, a twórczość jest manifestacją samodzielną i samoistną, nie będącą w pierwszym rzędzie świadectwem jakichkolwiek treści zewnętrznych – chyba że świadectwem samej twórczej osobowości pisarza. To właśnie uznaje autor za wspólną własność wszystkich prezentowanych przedsięwzięć pisarskich: widzenie świata przez pryzmat podmiotowej świadomości, osobowości, temperamentu. Rozpoznawanie świata poprzez schodzenie w głąb siebie i kreślenie autowizerunku z odbić własnej twarzy w przesuwających się panoramach, z zarejestrowanych w ten sposób „fragmentów portretu świata”. „Autoportrety w formie pejzażów” – to o pisarstwie Herlinga-Grudzińskiego. A o Waciu: „...stany intensywnego widzenia rzeczywistości, portret własnego umysłu i własnego ciała – i przełamujący się przez tę wyjątkową osobowość ogląd świata”. I o Czapskim: „Przygląda się, zawsze intensywnie, nieraz w przerażeniu, temu, co dzieje się w świecie zewnętrznym i wewnętrznym. Dokonuje zdjęć świata. Próbuje zrozumieć świat. I patrzącego. I siebie”. I to samo, w licznych parafrazach, o wszystkich portretowanych – których twórczość jawi się w tym ujęciu jako wciąż ponawiany trud pisania duchowej autobiografii, wysiłek „odnalezienia się w świecie i nazwania świata”.

To właśnie najcenniejszy sposób skorzystania z wolności, jaką daje kondycja emigranta: nie swoboda mówienia o tym, co w kraju zakazane, lecz radykalne odrzucenie wszelkich obligacji dyktowanych przez sytuację zniewolenia, pozwalające ugruntować własną suwerenną obecność w świecie. „Swoboda duchowa, otwarcie na rzeczywistość i lojalność wobec niej, odarta ze złudzeń samotność – pisze Karpiński – oto potencjalne atuty wygnańca. Jak jednak uzyskać kontakt z rzeczywistością za granicami ojczyzny? Schodząc w głąb siebie, [...] mówiąc o własnej wolności i jej zagrożeniach”. I dalej: „...po wojnie rzeczywistość poddana została oficjalnej kontroli, ujęta w cudzysłów ideologii i polityki, dotarcie do niej wymagało specjalnego wysiłku i odwagi. Trzeba było

zwrócić się ku fundamentom, ku świadomości jednostki. To jest, ukazany w wyostrej formie, odwieczny problem literatury: ci pisarze przetrwają, którzy zbudują własną rzeczywistość, zdobędą własny głos. [...] W naszej epoce zmagania toczą się o swobodę indywidualnego umysłu”.

Jednym z podstawowych pól walki o swobodę umysłu jest, zdaniem Karpińskiego, styl. Każdorazowo stanowiący pisarskie *principium individuationis*, u wszystkich „pisarzy zbójceckich” posiada wymiar, w którym schodzą się ich odrębne tonacje: „Poszukiwanie własnego głosu, który byłby zgodny z temperamentem i doświadczeniem, a potrafił przekazać wizję duchowej rzeczywistości. Próba odnowienia języka, spojrzenie nowymi oczami. Zejście ku sobie i zachowanie dziedzictwa”. Tym poszukiwaniom towarzyszy Karpiński wytrwale – bo ze świadomością ich wagi. Są to bowiem poszukiwania nie tylko stylu indywidualnej wypowiedzi, nie tylko stylu indywidualnej obecności, ale też, by tak rzec, stylu samej rzeczywistości, sposobu indywidualnego wglądu w zakrytą jej esencję. To poszukiwania „kamienia artystycznego – formuły, która przemieni duchowe wysiłki w dzieło prawdziwej sztuki, czyli przemieni sztukę w narzędzie docierania do rzeczywistości”.

Alchemiczna frazeologia przywołana tu została nie bez powodu. Chodzi bowiem nie o doskonalenie rzemiosła, cyzelowanie formy, nawet nie o „odpowiednie rzeczy słowo” – lecz o arkana, o dostęp do rzeczy niedostępnych. Chodzi o to, „ile się w swych tekstach potrafi zawrzeć rzeczywistości, w jakim stopniu jest się władnym zatrzymać w słowach obrazy życia duchowego, przymusić słowa, aby znaczyły, stały się zrozumiałe i nośne dla innych”. Tych, którzy wedle tego azymutu orientują swą twórczość – bohaterów swej książki – nazywa Karpiński „szkołą ontologiczną” albo też „szkołą metafizyczną”. Trzeba to właściwie rozumieć: jeśli metafizyka, to ta prześwitująca przez tkaninę powszedniości, historii, ludzkiej ułomności; jeśli zaś rzeczywistość, to ta głęboka, istotna, która tkaninę tę nicuje. Są to – by przywołać cytowane przez autora, a użyte przy innej okazji sformułowanie Jeleńskiego – „ontologiczni mistycy, jasnowidzący – teraz i dziś – ukryte związki między poszczególnymi przedmiotami i istnieniami”.

Nie przypadkiem charakteryzując książkę Wojciecha Karpińskiego co rusz sięgam po formuły zaczerpnięte z twórczości jej bohaterów lub z autorskich o nich opinii. Deklaracje osobistego do nich stosunku, fascynacji sięgającej lat młodzieńczych autora – nie są tu żadną formułą grzecznościową. Rzecz nawet nie w jego empatycznej postawie, ale w tym, że Wojciech Karpiński jako czytelnik wydaje się w znacznej mierze ukształtowany przez pisarzy, których teraz w swej książce prezentuje. Toteż nie jest w stanie zdobyć się wobec nich na dystans, który jest przecież warunkiem wszelkiego dialogu. O swych fascynacjach, „książkach zbójceckich”, pisze więc tak, jakby wspominał – nie przeszłe może, ale zasłte. Jakby ich żywe wciąż oddziaływanie pozostawało poza zasięgiem sporu – bo zbyt głęboko nim zawładnęło. Nie wchodzi więc z nimi w dialog, nie podejmuje ich problemów, nie konfrontuje z własnym stanowiskiem – jak czynił to pisząc o historii, o postaciach polityki i myśli politycznej XIX wieku. Pisze, o czym piszą, nie zaś – co piszą. Pisze w mowie zależnej lub pozornie zależnej, nie zdobywając się na niezależność własnego wobec nich stanowiska. To, być może, nie wada, ale zapewne ograniczenie. I powód czytelniczego niedosytu.

Dlatego przywołuję wciąż jedynie syntetyczne opinie autora, rysy ogólnego ujęcia formatu prezentowanych przezeń pisarzy, nie zaś jakiegokolwiek sądy szczegółowe, analizy czy interpretacje konkretnych dzieł. Na tym poziomie z rzadka tylko pojawiają się nowe odkrycia czy nowe problematyzacje, skłaniające do ponownego przemyślenia znaczeń niesionych przez te dzieła. Powtarza się znana diagnoza wyrastania tej formacji pisarzy z doświadczenia kryzysu kultury, sytuowanie ich poglądów w kręgu stanowiska kulturalistycznego, przypisywanie im eseju jako szczególnie sposobnego gatunku wypowiedzi. Autorzy „książek zbójceckich” jawią się u Karpińskiego płasko, jakby pozbawieni jakiegoś ważnego wymiaru, a choć ujmowani poprzez swe życie i siłę oddziaływania – jakby zastygli w raz przyjętej pozie. Jak postacie z płaskorzeźb, reliefów, medalionów.

Skojarzenie to odsyła do tradycji, z jakiej zdaje się wyrastać metoda tej książki. To konwencja sylwetki czy portretu literackiego, znana i rozpowszechniona zwłaszcza w XIX

wieku – ulubionym stuleciu Karpińskiego-historyka. Ale to nie skłonności stylizacyjne i nie upodobanie do wdzięku staroświecczyny zaważyły na wyborze tej konwencji. Karpiński zarówno w tej książce, jak i w *Zeszytach Literackich*, których jest współredaktorem i jednym z czołowych autorów, wydaje się żywo zaangażowany w dzieło tworzenia i utrwalania pewnego kanonu literatury polskiej XX wieku, pewnego wizerunku literackiej klasyki współczesności. Stąd miast starcia i zwarcia z „książkami zbójceckimi” – postawa przypominająca dziejopisa opiewającego przewagi dawnych władców (tu: władców ducha). Miejscami pobrzmiwa nawet właściwy takim relacjom styl formularny – choćby w odniesieniu do postaci Józefa Czapkiego, który w narracji pojawia się nieodłącznie ze swymi „niemożliwie długimi nogami”. Sam cel – ukonstytuowanie takiego kanonu – wydaje mi się ważny i poważny, a wybór Wielkich Pisarzy – klasyków współczesności – trudny do zakwestionowania. Potrzeba tego rodzaju przedsięwzięć rysuje się wręcz dramatycznie w obecnej dobie, gdy w kwestii wartości kulturalnych i ich sprawdzianów panuje potężny zamęt, a ustalone hierarchie świata literatury padają z łoskotem, grzebiąc pod gruzami również swych burzycieli. Dostrzegając tę potrzebę, nie wolno jednak pominąć tego podstawowego zastrzeżenia: kanon w literaturze – inaczej niż w religii – tworzy się nie poprzez cześć i kult, ale poprzez dialog i spór.

Ale wydaje się, że zastosowana tu konwencja portretu ma inne jeszcze motywacje – odsyłające do dosłownego rozumienia tego terminu. Oto Karpiński – rozumiejący i niejako praktykujący autonomię literatury jako takiej – zbliżając się do konkretnych twórców i ich dzieł zdaje się traktować literaturę jak malarstwo, bodaj największą swą pasję. Podziwiał i potrafi oddać w swej relacji szlachetność i celność kreski, oryginalność czy odkrywczość kompozycji, epifaniczne funkcje plam i barw. Niekiedy wprost porównuje teksty literackie do znanych dzieł malarskich, a w ich opisie zdarza mu się sięgać wprost po efekty synestezyjne. Wyrafinowanym konturem kreśli sylwetki pisarzy, wypełnia je kolorem ich temperamentu i światłocieniem pasji. I zgodnie z obowiązującą w malarstwie zasadą przewagi ujęcia nad tematem – nad podejmowane przez pisarzy idee i problemy przedkłada

walory ich stylu, skalę obrazowania, plastyczność wizji. Portretując autoportrecistów nie wchodzi z nimi w dyskusję – bo kto dyskutuje z modelem?

Potwierdzeniem tej kwalifikacji może być inna ostatnio wydana książka Karpińskiego, ze znaczną dozą autorskiej samowiedzy zatytułowana „Portret Czapskiego”^{**}. Książka ta wydaje się prostą emanacją poprzedniej, rozbudowaniem i pogłębieniem jednej z zawartych w niej miniatur. A jednak coś ważnego musi ją wyróżniać, skoro przejmując wszystkie walory „Książek zbójceckich”, unika wielu słabości i ograniczeń tej książki. Pierwszą nasuwającą się przyczyną tego stanu rzeczy wydaje się więź przyjaźni łącząca autora z Czapskim w ostatnim okresie jego życia. I rzeczywiście, postać ta traktowana jest ze szczególną sympatią, nie tylko z szacunkiem i uznaniem za jakość dokonań, ale po prostu z ludzkim ciepłem. Nie przypadkiem wcześniej tak często przywoływałem wypowiedzi Karpińskiego o nim właśnie – nie tylko dla wyjątkowej celności sformułowań, ale też z uwagi na to, że właśnie charakterystyki Czapskiego najpełniej ucieleśniają uogólnienia autora na temat „szkoły metafizycznej”.

Nie dość jednak tego. Bodaj ważniejszym jeszcze źródłem sukcesu tej książki wydaje się to, że typ obecności i formy indywidualnej artykulacji jej bohatera najściślej odpowiadają wrażliwości autora, jego sposobowi odbioru sztuki i pisania o niej – kto wie, czy nie ukształtowanych najsilniej właśnie pod wpływem Czapskiego. Zetknął się tu Karpiński z człowiekiem, który poznawał świat zarazem patrząc i czytając, a wyrażał się zarazem malując i pisząc, nade wszystko jednak – będąc. Zarysowana wcześniej metoda kreślenia sylwetki pisarza jako w pierwszym rzędzie osoby i osobowości, widzianego poprzez styl pióra i styl obecności, odtwarzane z malarzką sensualnością – ta metoda musiała wykazać swą użyteczność wobec postaci, której życie i dzieło były zadziwiająco jednością, a twórczość wcielona synestezją. Dzięki temu stosowane przez Karpińskiego kategorie opisu mogły pozbyć się metaforyczności, a idea korespondencji sztuk – znaleźć organiczne upostaciowanie.

^{**} Wojciech Karpiński, „Portret Czapskiego”, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996, s. 262+il.

„Portret Czapskiego” to w istocie portret wielokrotny, seria kolejnych przybliżeń do osobowości twórczej, która realizowała się nie poprzez rozwijanie tematów, problemów czy idei, lecz poprzez uwagę i namysł, pracę i osobiste doświadczenie, przez obecność w świecie obrazów, słów i ludzi, przez nieustanną otwartość na metafizyczne prześwity rzeczywistości. Wierna swemu bohaterowi, książka ta przynosi udaną próbę hermeneutyki osobowości duchowej, „ja” zanurzonego w kulturze. Podąża wszędzie za swym przedmiotem, który dzięki temu wyłania się jako podmiot. Próbuje wciąż na nowo zapisać jego oddech i intensywność bycia, docierać do rdzennego stylu, który sam przez się nie rozwiązuje jeszcze problemów świata i człowieka, ale stanowi formę ich oswajania.

„Portret Czapskiego” to przedsięwzięcie, które nie osiąga spełnienia, bo osiągnąć nie może. Nie zastąpi bowiem realnego zetknięcia z Człowiekiem, ale daje takiego zetknięcia wrażenie.

Jak dowodzi historia malarstwa, portrety wielokrotnie udają się znacznie częściej niż portrety zbiorowe.

Grzegorz GODLEWSKI

Pismo artystyczne „Format”

(ROZMOWA Z ANDRZEJEM SAJEM)

Renata GŁOWACKA: – *Pismo, które Pan założył, powstało w czasach, kiedy bankrutowały powojenne czasopisma o sztuce takie jak Projekt i Sztuka. Czy nie było obaw, że w Polsce końca lat osiemdziesiątych nie ma miejsca na periodyk, zajmujący się sztukami plastycznymi?*

Andrzej SAJ: – Takie obawy nie zniknęły i dzisiaj, szczególnie wobec istnienia agresywnego rynku pism rozrywkowych. *Format* powstał przede wszystkim dlatego, że potrzebne było forum dla prezentacji tego, co dzieje się we współczesnej plastyce. To właśnie proponowałem. Przy tym dopiero po 1989 r. można było powoływać pisma niezależne od politycznych mocodawców. *Format* również nie mógłby ukazywać się bez sponsorów, ale obok dotacji Ministerstwa Kultury i Sztuki, pomagają nam lokalne władze samorządowe i wojewódzkie.

R.G.: – *Format wychodzi we Wrocławiu, ale nie ogranicza się do omawiania sztuki lokalnej.*

A.S.: – Wręcz odwrotnie. Pismo od początku wydawane jest we Wrocławiu, przy ASP – bo ta uczelnia pozytywnie przyjęła moją propozycję w 1990 r. – ale z założenia miało to być pismo o tym, co dzieje się w aktualnej sztuce polskiej. Zawsze dużo miejsca poświęcaliśmy też sprawom sztuki światowej. Oczywiście prezentujemy dokonania sztuki wrocławskiej, bo to środowisko ma piękne tradycje. Od początku istnienia *Formatu* byliśmy także bardzo zainteresowani twórczością artystów polskich mieszkających poza krajem.

R.G.: – *Od kilku numerów w Formacie pojawiła się wkładka literacka. Czy to rozszerzenie tematyki pisma?*

A.S.: – Obok esejów o sztuce współczesnej, recenzji z wystaw i prezentacji sylwetek artystów, od początku na łamach pisma prezentowaliśmy – w skromnym wymiarze – także literaturę (głównie poezję). W pewnym momencie, wobec rosnącego zainteresowania związków sztuki z literaturą, pojawiła się osobna wkładka redagowana przez grupę poetów, zajmujących się także sztukami plastycznymi.

R.G.: – *Pismo artystyczne – nie jest to chyba najlepiej sprzedający się towar na kapitalistycznym rynku wydawniczym dzisiejszej Polski.*

A.S.: – To prawda. Niemal wszystkie pisma o tematyce kul-

turalnej mają takie problemy. Szeroki odbiorca jest na razie zarzucany komercyjnymi, kolorowymi i plotkarskimi wydawnictwami, które stać na kosztowną reklamę, na wabienie czytelnika atrakcjami życia ułatwionego. Zresztą z założenia takie pismo jak *Format* nie jest adresowane do szerokiego odbiorcy. Z uwagi na wysokie koszty produkcji byłoby za drogie, więc musi korzystać z dotacji.

R.G.: – *Czy dziś na Wschodzie Europy zachodzą zjawiska artystycznie interesujące dla Zachodu, mogące wzbogacić zachodnią kulturę?*

A.S.: – Jest w tym pewien problem. To, co dzieje się w galeriach zachodnioeuropejskich, co Zachód pokazuje u nas, związane jest z pojawieniem się swoistego „umiędzynarodowienia” stylistycznego. Ten nowy manieryzm, określany jest sztuką postmodernistyczną. Dzisiejsi artyści, niezależnie od tego, jaki kraj reprezentują, proponują mniej więcej podobne realizacje. Często jedynym wyróżnikiem jest poziom techniczny użytych materiałów, ale teraz i te różnice zanikają. Artyści tłumaczą się potrzebami uniwersalizacji i poszukiwaniem odpowiedzi na wspólne pytania – ale wydaje mi się, że jest to symptom zubożenia sztuki. To ujednolicenie – zresztą pod dyktando kultury anglosaskiej – zabija oryginalność i specyfikę sztuki poszczególnych narodów. To odnosi się również do Polski. Sądzę, że szansą dla naszych artystów jest podkreślanie właśnie naszej odrębności kulturowej, tego, co jest dla nas specyficzne, ale z czego możemy uczynić naszą siłę. Co potrafił np. w literaturze zrobić Gombrowicz.

R.G.: – *Kogo z polskich artystów pokazałby Pan Paryżowi?*

A.S.: – To nie jest łatwe zadanie. Jest paru polskich twórców, którzy znaleźli już swoje miejsce na Zachodzie, ale są to wyjątki, dość długo wprowadzane w obieg artystyczny, zresztą dzięki swojej uniwersalistycznej sztuce. Myślę tu o Abakano-wicz i Opałce. Także Bałka przebija się już jako artysta międzynarodowy. Natomiast wielu innych wybitnych twórców, zdecydowanie wrośniętych w tradycje kultury polskiej, nie

miało takiej szansy z powodu braku odpowiedniej polityki promocyjnej i nieprzygotowania zachodniego odbiorcy do specyfiki sztuki polskiej. Ciągłe brakuje rzetelnej informacji o sztuce polskiej. Nie ma albumów obcojęzycznych, katalogów, nie ma więc zagranicznego rynku dla pism artystycznych wydawanych w Polsce. A przecież mamy świetnych i oryginalnych artystów „zakorzenionych” w polskości i w tym, co nas bezpośrednio dotyczy... Jest grupa młodych twórców śmiało sięgających do narodowych fobii i obyczajowości. Jak dotąd nigdy też w pełni nie udało się nam pokazać dokonań Hasiora czy Beresia.

R.G.: – *Co według Pana w dzisiejszej sztuce godne jest szczególnego zainteresowania?*

A.S.: – To raczej dzisiejsza sztuka jest w ciekawej sytuacji. Skończył się okres jednoznacznych kierunków artystycznych, skończyła się presja poszukiwań awangardowych. Obecnie wszystko jest uprawomocnione, wszelkie tendencje i techniki. Można malować, można rzeźbić, fotografować, pracować z komputerem itd. Ale jeśli wszystko można i wszystko jest możliwe – to nie ma kryteriów, nie ma się do czego odwoływać i to jest kryzys wartości. Potrzeba takich kryteriów jest wyraźna i może właśnie ową wartością porządkującą mogłyby być tradycje własnej kultury, te tzw. „małe” ojczyzny, lokalne fascynacje i społecznościowe aspiracje. To – w naszym przypadku – argument peryferyjności a jednocześnie „pomostu”, jakim kultura polska może być między Wschodem a Zachodem. Sądzę, że najciekawsza sztuka powstaje na peryferiach Centrum z konglomeratu różnych pragnień, ze sprzeczności i ścierania się poglądów.

Rozmawiała Renata GŁOWACKA

Nowojorska konferencja o Józefie Wittlinie

Choć jeżdżę od lat z referatami na różne zjazdy naukowe i choć chętnie czytam programy obrad, nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby jedna osoba zorganizowała dużą międzynarodową konferencję. Nigdy nawet nie słyszałam, żeby jedna osoba zorganizowała małą konferencję. Wiadomo, że od tego są komitety i komisje. Dowiedziałam się jednak, że zaistniał nowy fenomen (słowo modne w Stanach Zjednoczonych). Anna Frajlich-Zajac, profesor Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku, poetka i eseistka sama zorganizowała konferencję o Józefie Wittlinie. I sama wszystkim co się na tej konferencji działo, kierowała – zarządzała, a nawet przez dwa dni wręcz panowała w wittlinowskim królestwie. Żaden problem nie był dla niej zbyt duży ani zbyt drobny. Jeden z przewidzianych w programie uczestników nie zjawił się? Anna sama objaśnia za niego co trzeba. Coś zgrzyta w mikrofonie? Anna zabiera się do rozwiązywania każdego z tych i innych problemów z uśmiechem. A przy tym jest również poważnym uczestnikiem. Wygłasza referat, zabiera głos w dyskusji, prostuje, wyjaśnia. Wszystko odbywa się dokładnie tak, jak przewiduje program konferencji o życiu i twórczości Józefa Wittlina pod tytułem „Józef Wittlin (1896-1976). New Perspectives. International Academic Conference”. Konferencja odbyła się w dniach 26-27 września br. w salach Fundacji Kościuszkowskiej na Manhattanie i na Uniwersytecie Columbia. Głównymi sponsorami konferencji były dwie fundacje: Kościuszkowska i Alfreda Jurzykowskiego. Wspierali ją również inni mecenas, jak konsul generalny Jerzy Surdykowski. Naukowy patronat nad konferencją objęły Wydział Sławistyki i Instytut do Spraw Europy Wschodniej i Środkowej Uniwersytetu Columbia. Dzięki takiemu patronatowi konferencja uzyskała poważny status wśród sławistów i polonistów.

Józef Wittlin, pisarz znajdujący się w głównym nurcie literatury polskiej, wysoko ceniony, zaliczony do wielkich, ba!

niemal namaszczone, stoi jednak jakby osobno, sam dla siebie. I jest bardzo na czasie. Rodem z Galicji, tej drugiej po Litwie mitycznej ojczyźnie polskiego słowa, jest jak jego rodacy Joseph Roth i Bruno Schulz dwujęzyczny w polskim i niemieckim. Zdecydował się, podobnie jak Schulz, zostać polskim pisarzem, ale kontakty jego z literaturą niemiecką i pisarzami niemieckimi i austriackimi nie ustały. Tak jak jego przyjaciel Joseph Roth był „pogrobowcem” Cesarstwa Austro-Węgierskiego pod berłem cesarza Franciszka Józefa. Podobnie jak Brandstaetter został późnym konwertytą na katolicyzm, nie zapierając się swojego żydostwa, przeciwnie, uznając tę swoją nową religię, którą wyznawał gorliwie przez ostatnich dwadzieścia lat życia, za dalszy ciąg starej. Był uchodźcą, wygnańcem, emigrantem i nigdy już do Polski nie wrócił. Miał więc o czym dumać na nowojorskim bruku. Jest tu z czego wybierać w tym wariacie polskiego losu. I wybierano też na konferencji. Referaty były wyjątkowo różnorodne, wcale nie, jak to przeważnie bywa na naukowych konferencjach, podobne do siebie jak dwie krople wody.

Pomimo różnorodności i przy różnych sposobach podchodzenia do tematu, można jednak śmiało wyodrębnić przynajmniej jeden wspólny aspekt. Uderza w programie duża liczba porównań. Wittlin i Camus, Wittlin i Gombrowicz, Wittlin i Roth. Oczywiście porównania te opierają się na różnych zasadach i przesłankach i posługują się inną metodologią. I porównania bywają, co tu dużo mówić – często pewnie podświadomie – naciągane. Ale sama tematyka porównawcza świadczy o chęci poszukiwania nowych dróg.

Prof. Robert Belknap w Wydziale Sławistyki otworzył konferencję, a zamknął ją dyrektor Instytutu do Spraw Wschodniej i Środkowej Europy John Micgiel. Na kolejnych sesjach wygłosili referaty: Leonid Heretz z Uniwersytetu Harvarda, Krystyna Jakowska z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, Anna Frajlich-Zajac z Uniwersytetu Columbia, David Goldfarb – City University Graduate Center, Wojciech Ligęza – Uniwersytet Jagielloński, Joanna Rostropowicz Clark – Uniwersytet Rutgers, Józef Olejniczak – Uniwersytet Śląski, Zygmunt Kubiak – Uniwersytet Warszawski, Jadwiga Maurer – Uniwersytet Kanski,

Andreas Lawaty – Deutsches Polen Institut, Darmstadt, Alice-Catherine Carls – Uniwersytet Tennessee-Martin, Rizel Pincus Sigle – Sarah Lawrence College, Madeline G. Levine – Uniwersytet North Carolina-Chapel Hill, Jerzy Jarzębski – Uniwersytet Jagielloński, Halina Filipowicz – Uniwersytet Wisconsin Madison.

O każdym z referatów można by napisać osobny artykuł. Miałabym poważne wyrzuty sumienia, że nie mogłabym zmieścić tu nawet jednej dziesiątej tego, co powiedziano na sesjach. Wyjdzie tom zawierający teksty referatów, więc pocieszam się, że zainteresowani sami sobie przeczytają.

Dwa referaty poświęcone były wybitnym Polakom-polonistom amerykańskim, którzy sami wniesli wiele nowego do polonistyki i zarazem pośredniczyli między polskimi studiami w Polsce i w Stanach Zjednoczonych. Prof. Anna Frajlich-Zajac mówiła o Manfredzie Kridlu, prof. Madeline G. Levine – uczennica i doktorantka Wiktora Weintrauba mówiła o swoim profesorze.

Rękawicą rzuconą obecnym na sali (150-200 osób?) był referat Haliny Filipowicz. Prof. Filipowicz wystąpiła oryginalnie i odważnie z komentarzem na temat, o którym się głośno nie mówi, a nawet chyba nie mówi się w ogóle. Starła się zanalizować i po części skomentować mechanizm krytyki literackiej w Polsce w odniesieniu do literatury emigracyjnej. Kto, jak i dlaczego zajmuje się tą literaturą? Czy literatura emigracyjna to literatura mniejszości? Czy jest oceniana inaczej niż literatura w Polsce, a jeśli tak to na jakich zasadach i jakie są tego skutki? Są to pytania, na które wszyscy po cichu szukamy odpowiedzi. Przypuszczam, że prawie każda osoba obecna na sali dodała do tych pytań i swoje własne wątpliwości czy rozterki. Nic więc dziwnego, że próba prof. Filipowicz, pomimo późnej godziny wywołała ożywioną dyskusję. Mnie także chodzą po głowie podobne pytania i pozwolę sobie dwa z nich zadać na tym miejscu: Czy literatura emigracyjna to taka drynda, która wlecze się za dostojnym powozem literatury w Polsce, bo przecież tam jest to „prawdziwe” życie? I czy w oczach krytyków istnieje jedynie po to, aby mieli co oglądać pod lupą lub mikroskopem i móc oglądane okazy zaszeregować?

Od siebie przemawiam jedynie za siebie. Jestem całko-

wicie subiektywna. Jako reporter wspomnę jeszcze imponującą wystawę listów – „Letters from Exile” i dwa przyjęcia.

Konferencje, których tematem jest jeden człowiek zawsze posiadają jakąś tajemniczą aurę uczuciowej identyfikacji z przedmiotem. Józef Wittlin stawał się z każdym kolejnym referatem coraz bardziej obecny. Na pewno potęgowała tę niecodzienną atmosferę obecność na konferencji córki Józefa Wittlina Elżbiety Wittlin-Lipton.

Jadwiga MAURER

„Laboratorium bez murów”

Polsko-Francuskie Centrum Biotechnologii Roślin zostało powołane w 1993 roku przez PAN, KBN i CNRS (Centre Nationale des Recherches Scientifiques).

Wygląda na to, że w tej chwili jest to najnowocześniejszy tego typu instytut w centralnej Europie. Pracuje tu 70-ciu doktorantów, część przewodów doktorskich ma charakter międzynarodowy. Instytut gości również kolegów z Europy Wschodniej (utworzyliśmy specjalny system stypendialny) i ma wspólne programy badawcze nie tylko z Francją ale i z Izraelem.

Od kilku lat w Europie rozwija się idea tzw. „laboratoriów bez murów”, polega ona na nowej koncentracji tematycznej zespołów, należących do różnych instytucji i zlokalizowanych często w różnych krajach. Ta koncentracja tworzy synergizm badawczy, prowadzi do wymiany ludzi i idei i *last but not least* – do ekonomicznego wykorzystania naukowej bazy aparaturowej i odczynnikowej.

CNRS podjęło tworzenie takich „laboratoriów bez murów” i pierwszym utworzonym przez Francuzów było właśnie Centrum Polsko-Francuskie. Jest to też pierwsze

laboratorium, które łączy kraj Unii z krajem b. bloku wschodniego. Administracyjnie, Centrum osadzone jest w Warszawie na terenie nowo wzniesionego gmachu Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN.

Profil działania Centrum obejmuje najbardziej współczesne zagadnienia inżynierii genetycznej (ze szczególnym uwzględnieniem drożdży i roślin uprawnych) i bioinformatyki. W pracach Centrum w Polsce bierze przede wszystkim udział IBB PAN, Wydział Biologii UW, Instytut Chemii Bioorganicznej PAN w Poznaniu. Ze strony francuskiej – Centrum Genetyki Molekularnej CNRS, Instytut Jacquesa Monoda VII Uniwersytetu Paryskiego i CNRS, Instytut Nauk Botanicznych CNRS, laboratoria Narodowego Centrum Instytutu Badań Agronomicznych w Bordeaux, Tuluzie i Wersalu.

Dokumentacją tego jest numer *Biochimie* poświęcony biologii molekularnej w Polsce – cały numer tego międzynarodowego czasopisma (którego redaktorem naczelnym jest Marianne Grunberg-Manago, Prezes Francuskiej Akademii Nauk) wypełniony jest pracami z polskich laboratoriów. Jest to ewenement. Nie znam innego przykładu, by poważne pismo międzynarodowe decydowało się na poświęcenie całego numeru pracom pochodzącym z wybranego kraju. Na tej decyzji oczywiście zaważyły związki wyrażające się powstaniem Centrum. Należy jednak pamiętać, że prace tu publikowane są recenzowane przez międzynarodowych referentów i wchodzą do literatury światowej. Autorytet pisma, Prezesa Francuskiej Akademii Nauk oraz CNRS wskazuje iż warto było w wymiarze międzynarodowym dostrzec rozwój biologii molekularnej w Polsce. Dokonuje się on nie bez strategicznego udziału KBN.

Oceniając: prace przedstawiają główne polskie ośrodki biologii molekularnej (Warszawa, Poznań, Gdańsk, Kraków, Śląsk). W następnych numerach *Biochimie* pokażą się kolejne już przygotowane prace polskich laboratoriów. Wszystkie prace relacjonują wyniki badań podstawowych i wszystkie wskazują na ich znaczenie dla medycyny czy rolnictwa.

Choć nie było to założeniem zespołu przygotowującego prezentowany numer *Biochimie*, okazuje się, że wszystkie

zawarte tu prace były częściowo finansowane przez granty KBN, granty CNRS i granty Centrum Polsko-Francuskiego.

Granty wspomogły więc badania kończące się otrzymaniem ważnych wyników. Nie oznacza to, że finansowanie badań w Polsce jest wystarczające. Oznacza to tylko tyle, że badania wymagają funduszy i to nie reprezentujących te żałosne 0,57% PKB. Badania podstawowe we Francji i w innych krajach europejskich pochłaniają zwykle 2,5% PKB. To, że możemy dziś zaprezentować numer międzynarodowego pisma wypełnionego polskimi pracami, wynika przede wszystkim ze swoistego entuzjazmu poznawczego – charakteryzującego (jak dotąd...) nasze środowiska.

W. ZAGÓRSKI

Wileński miłośnik storczyków

W pracy „Generic names of orchids, their origin and meaning” można przeczytać informację o pochodzeniu nazwy storczyków Warszewiczella, iż poświęcona została pamięci doktora Józefa Warszewicza – polskiego botanika, który zbierał rośliny w latach 1845 i 1848-1853 w Środkowej i Południowej Ameryce. Józef Warszewicz należy niewątpliwie do najbardziej znanych i docenionych polskich przyrodników dziewiętnastego wieku. Zadeedykowano mu przeszło osiemdziesiąt rodzajów, gatunków i odmian roślin. W krakowskim ogrodzie botanicznym w 1880 roku odsłonięto niewielki pomnik z wrytym wierszem Wincentego Pola, który wspólnie z Warszewiczem zbierał rośliny na Litwie i wraz z nim przygotowywał powstanie na Wileńszczyźnie. W zbiorach Uniwersytetu Jagiellońskiego znajduje się portret przyrodnika namalowany przez Artura Grotgera.

Krótką publikację poświęcił jego pracom Kazimierz Rouppert – znamienity botanik, zmarły w Londynie na

emigracji, twórca Polskiego Towarzystwa Przyrodniczego im. Kopernika i Polskiej Stacji Biologicznej w Tel-Awivie i w Londynie. Wzmianki o życiu i pracy Józefa Warszewicza odnaleźć można w pracach pani Alicji Piekiełko poświęconych historii krakowskiego ogrodu botanicznego.

Podróże Warszewicza zaliczane są do klasyki przyrodniczej eksploracji Nowego Świata. Nic więc dziwnego, że informacje biograficzne dotyczące jego życia odnaleźć można w pracach hiszpańskojęzycznych dotyczących tego regionu jak choćby w wydanej przez Ekwadorską Bibliotekę w Quito „Investigadores de la Geografia y la Naturaleza de America Tropical”. Pracownik Berlińskiego Ogrodu Botanicznego (gdzie do dzisiaj znajduje się część jego zbiorów) i uczestnik folklorystycznej wyprawy Berlińskiego Towarzystwa Ogrodniczego szczególnie z uznaniem cieszył się wśród botaników z niemieckiej szkoły naturalistycznej, to oni właśnie, Reichen-der, Klotsch, Kunth, Regel, Reichenbach, zadeedykowali mu wiele nowoopisanych gatunków. Kolejne folklorystyczno-kolekcyjne „storczykowe” odkrycia Warszewicza wzbudzały zrozumiałe zainteresowanie w ówczesnej stolicy światowej botaniki, Londynie. Wśród roślin noszących jego imię znajduje się także wiele opisanych przez przyrodników angielskich Lannera i Lindleya. Jay Savage z Uniwersytetu Kalifornijskiego napisał pracę „On the trial of the golden frog” (według indiańskich legend, każdy człowiek szuka tajemniczej złotej żaby zapewniającej szczęście, Savage żartobliwie zauważył, że polskiemu przyrodnikowi udało się znaleźć ową złotą żabę) o zoologicznych sukcesach Warszewicza w Ameryce Południowej i Środkowej, i jego wkładzie do światowej herpetologii. Na podstawie przesłanych kolekcji opisano 24 nowe dla nauki gatunki płazów. Ślady zoologicznych eksploracji (także malakologicznych i ornitologicznych) Warszewicza do dziś zresztą odnaleźć można w zbiorach krakowskich, wiedeńskich, berlińskich i londyńskich.

Zagraniczni biografowie Warszewicza rzadko pamiętają o wileńskim rodowodzie przyrodnika. Niektórzy mylnie (jak np. Savage) podają nawet, że studia botaniczne odbywał w Krakowie, choć przecież to właśnie spotkanie z przyrodnikami z Wileńskiej Szkoły Botanicznej, a zwłaszcza z Jundziłłem, miało decydujący wpływ na wykształcenie i życie młodego

botanika. Warszewicz urodził się w 1812 roku w Wilnie. Sytuacja materialna jego rodziny nie pozwalała mu na ukończenie rozpoczętych w 1829 roku przyrodniczych studiów. Dzięki życzliwości Józefa Jundziłła odbył Warszewicz swoją pierwszą praktykę ogrodniczą w wileńskim ogrodzie botanicznym. Po ukończeniu praktyki rozpoczął pracę w słynnym zakładzie ogrodniczym „Ogród Strumiły”. Józef Strumiły, sekretarz szlachty guberni wileńskiej, botanik i ogrodnik, autor wielu prac, m.in. trytomowych „Ogrodów Północnych”, „Słownika kwiatowego”, „Pszczelnictwa ogrodowego”, kierował założonym przez siebie przedsiębiorstwem ogrodniczym. Ogród Strumiły należał do najważniejszych tego typu instytucji w tej części Europy.

W Powstaniu Listopadowym walczył Warszewicz w korpusie generała Giełguda. Po upadku Powstania, przekroczył granicę pruską by ścigany carskimi ukazami już nigdy nie móc powrócić na rodzinną Litwę. W początkowym okresie emigracji pracował jako ogrodnik w majątkach w Prusach Wschodnich. W 1840 roku dzięki listom polecającym Jundziłła uzyskał posadę pomocnika ogrodnika w Ogrodzie Botanicznym w Berlinie. Belgijski kolekcjoner roślin Van Houtte zainteresował się młodym przyrodnikiem i zatrudnił go dla opisanie zbiorów jakie posiadał w ogrodzie w Santo Thomas w Gwatemali. W grudniu 1844 roku Warszewicz opuścił Europę i wyjechał do Ameryki Środkowej. W tropikach Ameryki spędził prawie dziewięć lat, pracując dla belgijskiego kolekcjonera, uczestnicząc w ekspedycjach Berlińskiego Towarzystwa Ogrodniczego (dzięki rekomendacji Aleksandra Humboldta) i ekspedycjach Londyńskiego Towarzystwa Ogrodniczego. Zajmował się głównie storczykami, choć poszukiwał także innych roślin jak np. drzewa chininowe. Dzięki nadesłanym do Europy przez Warszewicza kolekcjom, opisano przeszło trzysta nowych dla nauki gatunków storczyków. Nie należy zapominać, że kolekcjonowanie roślin w tym regionie było nadzwyczaj ryzykowne i oprócz wysokich kwalifikacji zawodowych wymagało także sporej odwagi. W tym samym czasie i rejonie, w którym Warszewicz prowadził badania, zginęli przecież liczni poszukiwacze storczyków, Czesterton poległ w Kolumbii, Zahn utonął w Panamie, Wallis zmarł na atak

żółtej febry w Ekwadorze. W 1853 roku opromieniony sławą jednego z najskuteczniejszych łowców roślin powrócił Warszewicz do Europy.

Ignacy Czerwiakowski, lekarz i botanik, towarzysząc powstańczym walk Warszewicza zabiegał o przyjazd tego utalentowanego botanika do Krakowa. W 1854 roku objął Warszewicz stanowisko inspektora w kierowanym przez Czerwiakowskiego ogrodzie botanicznym. Swoją decyzję motywował względami patriotycznymi, zarówno w Anglii jak i w Niemczech proponowano mu kierowanie prestiżowymi kolekcjami roślinnymi. Dzięki przywiezionym zbiorom, osobistym kontaktom i bezcennej wiedzy botanicznej szybko doprowadził Warszewicz krakowską kolekcję do świetności, jakiej instytucja ta nigdy więcej nie zdołała osiągnąć. Niektóre źródła podają liczbę 9664 gatunków, *Catalogus Plantarum quae in C.R. Horto Botanico Cracoviensi anno 1864* (Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu posiada egzemplarz z autografem Warszewicza) opracowany przez Czerwiakowskiego i Warszewicza wymienia 8911 roślin z 2074 rodzajów. Zbiory roślin tropikalnych, zwłaszcza storczyków i paproci należały do największych w Europie. Warszewicz założył także odrębny dział poświęcony mieszkańcom i wyjaśnił mieszańcowy charakter niektórych kaktusów. Okres świetności kolekcji krakowskiej zakończył się wraz ze śmiercią tego wielkiego przyrodnika w 1866 roku. Do końca życia Warszewicz pozostawał związany z ruchem niepodległościowym. Po wybuchu Powstania Styczniowego udzielał pomocy ochotnikom z Galicji, a w szklarniach ogrodu przechowywano broń.

Pomimo, iż Józef Warszewicz opublikował zaledwie jedną krótką rozprawę i kilka katalogów, był niewątpliwie jednym z najwybitniejszych botaników, kolekcjonerów dziewiętnastego wieku. Obok Jelskiego, Rehmana i Raciborskiego, należał do twórców polskiej botaniki tropikalnej. Był wreszcie, jednym z największych przyrodników związanych z Wileńską Szkołą Botaniczną.

Piotr DASZKIEWICZ

Nagrody

Tegoroczne nagrody Fundacji im. Kościelskich otrzymali: Marcin Świetlicki za całokształt dotychczasowej twórczości poetyckiej oraz Jacek Baczak za debiutancki tom prozy „Zapiski z nocnych dyżurów” (wydany w Wydawnictwie Znak w 1995 r.).

Filozof z Krakowa Ryszard Legutko otrzymał przyznaną po raz pierwszy od 1990 r. nagrodę im. Andrzeja Kijowskiego (jej laureatami w latach 80-tych byli m.in. Adam Zagajewski i Adam Michnik).

Nagrodę za twórczość malarską im. Jana Cybisa otrzymała Ewa Rosenstern ze Stowarzyszenia Grupa Krakowska.

Doroczną nagrodę Krakowskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy RP „Złotą Gruszkę” otrzymał Jerzy Piekarczyk, współpracownik *Przekroju*.

Laureatami tegorocznych nagród Kisiela zostali: polityk – Andrzej Bączkowski (pośmiertnie), przedsiębiorca – Sobiesław Zasada, publicysta – Michał Zieliński.

Tegoroczne nagrody Polskiej Fundacji Kulturalnej im. Prezydenta Edwarda Raczyńskiego za najlepszą książkę

historyczno-polityczną roku otrzymali Dariusz Stola za pracę „Nadzieja i zagłada. Ignacy Schwarzbart – żydowski przedstawiciel w Radzie Narodowej 1940-1945” oraz Maria Pestkowska za pracę „Kazimierz Sosnkowski”. Nagrody wynoszą po 500 funtów każda.

Nagrodę Poetycką im. Kazimierzy Iłakowiczówny przyznaną za najlepszy książkowy debiut roku otrzymał Janusz Szubert – poeta z Sanoka. Szubert został niedawno laureatem nagrody im. Barbary Sadowskiej.

Zbigniew Herbert otrzymał europejską nagrodę poetycką miasta Münster za tom poezji „Rovigo”. Nagroda wynosi 25 tys. marek. Z tej sumy 10 tys. marek otrzyma tłumacz Klaus Staemmler.

LISTA CZŁONKÓW WSPIERAJĄCYCH TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ARCHIWUM INSTYTUTU LITERACKIEGO W PARYŻU

INSTYTUCJE

Fundacja Nowej, Warszawa	3.000 ZŁ
PZU SA, Warszawa	100.000 ZŁ
Wydawnictwo M. Rożak, Gdańsk	1.000 ZŁ

OSOBY PRYWATNE

Maciej Bernhardt, Warszawa	120 ZŁ
Prof. dr Artur Hutnikiewicz, Toruń	200 ZŁ

Irena Jaworska-Marcinkowska, Poznań	50 ZŁ
Jadwiga i Włodzimierz Kołodziejscy, Warszawa	100 ZŁ
Wiesława Justyna Kowalewska, Warszawa	30 ZŁ
Andrzej Orlikowski, Pawłów	30 ZŁ
Henryk Ratajczak, Wrocław	150 ZŁ
Tadeusz Rojek, Wałbrzych	50 ZŁ
Władysław Rokiciński, Warszawa	50 ZŁ
Maria Rzuchowska, Kraków	30 ZŁ
Ewa Stępnikowa, Warszawa	30 ZŁ
Maria Turlejska, Warszawa	200 ZŁ
Roman Wapiński, Gdańsk	100 ZŁ
Barbara Zielińska, Wrocław	50 ZŁ

Warunki prenumeraty „Kultury” w Polsce na rok 1997:

Cena prenumeraty rocznej wynosi **70 zł** (wraz z przesyłką).

Prenumerata roczna obejmuje numery 1–12/1997

Cena prenumeraty na 1. półrocze 1997 (numery 1–6) wynosi **40 zł**.

Warunki prenumeraty „Zeszytów Historycznych” w Polsce na rok 1997:

Cena prenumeraty za cztery numery (119, 120, 121, 122)
wynosi **50 zł** (wraz z przesyłką).

Wydanie krajowe *Kultury* i *Zeszytów Historycznych* może być
sprzedawane wyłącznie w Polsce.

Wpłaty należy przekazywać do dnia 31 stycznia 1997 na konto:

**Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu
Bank Zachodni SA II O/Warszawa
Nr 380014-7520-132-3000**

z zaznaczeniem: prenumerata *Kultury*
lub *Zeszytów Historycznych*

Notatki redaktora

Właśnie wydano „Białą księgę”, która jest jakby zamknięciem śledztwa w sprawie oskarżenia b. premiera Józefa Oleksego o działalność na rzecz obcego wywiadu. Rezultat: naiwność i nieostrożność ze strony b. premiera – rozbitcie i kompromitacja polskiego wywiadu – kompromitacja Polski w opinii światowej, a to wszystko dla różnych machinacji wyborczych ludzi, dla których Państwo jest tylko zabawką w ich dążeniu do władzy za wszelką cenę.

W obecnej chwili sprawa nowej ustawy o aborcji wzbudza ogromne napiętności. Niektórzy biskupi podpisanie jej przez prezydenta przyrównują do holokaustu i zagrożenia biologicznego istnienia narodu. Grozi się nawet ekskomuniką. W tej sprawie zabiera również głos biskup polowy w randze generała z wezwaniem wojska do nieposłuszeństwa i... nie jest z miejsca usunięty! W sumie próba stworzenia atmosfery wojny domowej.

Nie można kwestionować szkodliwości aborcji, ale nieestety jest faktem, że ona istnieje i że jej zakaz powoduje jedynie robienie nielegalnej: dla zamożnych – za granicą, i tu są wręcz organizowane wyjazdy do wyspecjalizowanych klinik, a dla ubogich powoduje to powrót do prymitywnych zabiegów, które nie tak dawno miały charakter prawie masowy i pociągały ogromne ofiary. Jedynym rozwiązaniem jest edukacja seksualna oraz rozpowszechnianie, udostępnianie środków antykoncepcyjnych. Jedno i drugie napotyka na gwałtowne sprzeciwy. Najsmutniejsze jest w tych sprawach to, że nie myśli się w ogóle o opiece nad dziećmi. Domy dziecka nie mają pieniędzy, dzieci często głodują, w budżecie państwa i samorządów brak na to środków, często są nadużycia i brak

kontroli. Paradoksem jest, że tą sprawą zajęła się w pierwszym rzędzie laicka *Gazeta Wyborcza*. Ofiarność społeczna nie jest jednak rozwiązaniem, tym bardziej, że jest ona niesłychanie rozproszona: są zbiórki na pomoc dla Czeczenii, Bośni czy Afryki itp. Są to cele szlachetne, ale zajmują się nimi instytucje międzynarodowe oficjalne, czy humanitarne, gdzie nasz grosik niewiele waży, a mamy w kraju tak ogromne potrzeby, jak nędza w Bieszczadach, a poza krajem bardzo ciężka sytuacja Polaków na Ukrainie, o czym tak przejmująco pisze w swoich artykułach Anna Strońska. Ofiarność społeczna wymaga jakiejś koordynacji, przede wszystkim hierarchii celów. Jaki na przykład sens ma prowadzenie z takim nagłaśnianiem akcji sprowadzania do Polski Polaków z Kazachstanu? Pomysły ich sprowadzenia są zupełnie księżycowe. Nie stać nas na ich urządzenie, a zaproszenia przez indywidualne osoby są albo iluzoryczne, albo krótkotrwałe. Wynikiem jest tylko rozczarowanie. Znacznie od nas bogatsi Niemcy zaniechali sprowadzania Niemców z Rosji, koncentrując się na urządzeniu ich na miejscu, zapewnieniu im warunków rozwoju i awansu społecznego.

Kryzys, jaki obecnie przeżywa Białoruś, jest w najwyższym stopniu niepokojący dla Polski i dla Europy. Dlatego bardzo szczęśliwym posunięciem była inicjatywa prezydenta Kwaśniewskiego wspólnego wystąpienia z prezydentami Litwy i Ukrainy. Powinniśmy zrobić wszystko dla utrzymania w Białorusi ustroju demokratycznego i parlamentarnego. Ważne jest tylko aby nie przesadzić. Za dużo jest oficjalnych wystąpień, wizyt w Mińsku etc. Należy ograniczać się do akcji społecznych, alarmowania organizacji międzynarodowych itp., żeby nie stwarzać pozorów mieszania się do spraw wewnętrznych Białorusi. Trzeba pamiętać, że u naszych wschodnich sąsiadów ciągle pokutuje obawa przed polskim imperializmem. Nie ułatwia takich sytuacji fakt, że nasze placówki dyplomatyczne są często obsadzone przez osoby – łagodnie mówiąc – mało kompetentne.

Ostatnio niepokojąco wzrasta inflacja nadawania odznaczeń i orderów, nie zawsze szczęśliwie. Bardzo słusznie został odznaczony pośmiertnie ambasador Kajetan Morawski. Szkoda jednak, że zapomniano o ambasadorach Julianie Łukasiewiczu i Józefie Lipskim, którzy byli *grands commis de l'État* i którzy odgrywali znaczącą rolę w II Rzeczypospolitej.

Prawdziwym zaskoczeniem była wypowiedź w dzienniku telewizyjnym rzecznika prasowego prezydenta, Antoniego Styrzuli. Komentując naciski na prezydenta, by nie podpisywał ustawy antyaborcyjnej, oświadczył, że on osobiście jest przeciwny podpisaniu tej ustawy. Dziwny jest skład personalny kancelarii prezydenta i niejasny podział kompetencji.

Dlaczego *Gazeta Lwowska* – jedyne polskie pismo we Lwowie dofinansowywane przez Wspólnotę Polską, jest drukowane w Polsce a nie we Lwowie?

REDAKTOR

Książki

Gorące popioły

Z okazji 80-lecia urodzin Artura Hutnikiewicza, prof. historii literatury polskiej Uniw. Mikołaja Kopernika w Toruniu, ukazała się starannie wydana książeczka przekazująca teksty trzech esejów adresowanych do uczniów Profesora*. Tematyka ich obejmuje „Poezję polską na progu niepodległości”, „Trzy obrazy przedwiośnia niepodległości (Strug, Kaden, Żeromski)” i „Historyczne i ideowe przesłanki ostatniej emigracji polskiej” (podkreślenie autorki recenzji: nie drugiej, jak się teraz często mawia, ale definitywnie ostatniej. Oby!).

Pamięć i doświadczenia życiowe autora obejmują trzy czwarte stulecia a uwaga koncentruje się na kamieniach milowych: okresie pierwszej wojny światowej, recepcji na odzyskanie niepodległości odmalowanej w powieściach politycznych Struga, Kadena, i Żeromskiego, i wytycznych działalności „naszej” emigracji. Studenci, do których zwraca się Profesor, dobrze jeśli pamiętają zmierzch „Solidarności” a pisarzy Dwudziestolecia nie czytali, bo „nie warto”. Przemilczenia, tendencyjne zestawy lektur, brak przedruków – wszystko to sprawiło, że lektury roznamiętniające w Dwudziestolecu są automatycznie odrzucane. Strug? – „kto to?”, Kaden – „był taki. Zaślepiony Piłsudczyk. Nie czytałem”. Żeromski – „kontrowersyjny”. „Popioły” mają za dużo opi-

sów przyrody” – „A Stasiuk?” wtrąciłam nieśmiało. „Stasiuk, to co innego”.

Esej o poezji z okresu 1914-20 ewokuje nastroje lat, gdy masowo produkowane i śpiewane wiersze rozchodziły się błyskawicznie na terenie byłych zaborów rosyjskiego i austriackiego i, tracąc autorów, bezimiennie przechodziły z ust do ust, mieszając „białe róże” i piosenki legionowe z nadal popularnymi rosyjskimi „Chryzantemami”. Podniecały sentymenty, w strojach pseudo-krakowskich i pod białą-amarantowymi flagami wpływały na polityczne sympatie słuchaczy, jak dziś TV i radio. Po tragicznie chłodnym powitaniu legionistów w roku 1914 i „ulicach pustych” witających w stolicy pierwsze polskie oddziały, treści wierszy opanowały umysły i zwyciężyły. Pamiętam – bo to także przeze mnie przeżywane lata popularności „Tej, co nie zginęła” Edwarda Słoińskiego i „mogilne” wiersze Józefa Mączki. Dziś są to nazwiska znane tylko historykom poezji. Autor, niewątpliwie Piłsudczyk, wiernie odtworzył atmosferę „ostatniej nocy niewoli”, gdy jak w wierszu „Listopad 1918” Wierzyńskiego „wolność stała za progiem”. A gdy stała się faktem powitano ją „tak, jak wita się zawsze taki dzień, który uwalnia nas od jakiegoś bezmiernego ciężaru – buntem i potężnym wybuchem euforycznej radości życia”. Apogeum tej radości widzi w „Herostratesie” Lechonia. Byliśmy – dobrze to pamiętam – świadomi kresu niewoli: „I to z tego i z owego / Będzie Polska na pierwszego” krążyło na ustach przy tupocie butów landszturmistów wycofujących się składnie „ze względów strategicznych” już w końcu października. A przecież do rzeczywistości owych dni należały też nekrologi poległych w trwających nadal zmaganiach na Wschodzie, – pociągi przywożące z Kresów i Rosji (i tam urodzonych) „repatriantów” i „bieżenców” – i ciche, powszednie zgony ofiar epidemii szalejących w całym kraju.

„Ponad tą udręką i niepewnością losu – pisze autor Hutnikiewicz – górowało przecież silniejsze ponad wszelkie wątplenia przeświadczenie, że ta krwawa kąpiel była konieczna, że taka bywa cena wolności, że bierze się tu udział w jakiejś sprawie wielkiej i wiekopomnej, że na zegarach historii uderzyła wielka, rozstrzygająca godzina” (s. 12). Słowa te skreślone w 1988, skłaniają nie tyle do szukania analogii, ile

* Artur Hutnikiewicz: „To co najważniejsze. Trzy eseje o Polsce”. Bydgoszcz, Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne, 1996, s.75, /2/. Biblioteka Oddziału Bydgosko-Toruńskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydano z dotacji Min. Kultury i Sztuki.

stwierdzania różnic. Bo entuzjazm był w 1989 na pewien sposób przyciszony a „potępieńcze swary” wcześniej wkroczyły szeroką falą na scenę polityczną, by się na niej wygodnie usadowić.

Esej drugi („Trzy obrazy przedwiośnia niepodległości”) przesuwając pole widzenia na Dwudziestolecie i analizując na przykładzie „Pokolenia Marka Świdy” Andrzeja Struga, „Generała Barcza” Juliusza Kaden-Bandrowskiego i „Przedwiośnia” Żeromskiego, zawiedzione nadzieje i schorzenia życia polskiego w latach 1920-tych. Uderza w nich i przy ponownym odczytaniu zaskakuje swoboda, z jaką pisarze owych czasów poruszali się na śliskiej politycznej scenie i nie czekając aż się temat ucukruje i uleży, walili prawdę w oczy, zaśpiewując się co najwyżej grzecznościowymi przeinaczeniami nazwisk kontrahentów. Ojczyzna, której granic bronić trzeba było nadal z bronią w ręku, zapowiadała zjednoczenie narodu zgodnie z hasłami na wzywających do szeregów plakatach. A tymczasem „wszystko zostało po staremu” (Strug). Z „Pokolenia Marka Świdy” wyłania się obraz „ponury i przygnębiający. Jakby wszystkie upiory starej, szlacheckiej, przedrozbiorowej Polski (...) wychynęły z otchłani i rozpanoszyły się bezczelnie wśród nowego, wąskiego życia” – wszystko w tym kraju nawet nie idzie, lecz „wałęsa się, wlecze, ziewa, przystaje, kładzie się i usypia, to znowu ocknie się, zerwie i wyróżnie jakieś kolosalne głupstwo” (Strug, s. 279).

Analogie do znanych nam ze świeżych doświadczeń sytuacji sprawiają, iż powieść Struga przeinacza się zwłaszcza w opisie obrad sejmowych, w podtekst do dawnej i współczesnej parodii parlamentaryzmu. Strug, jak słusznie określił Hutnikiewicz, daje w „Pokoleniu Marka Świdy” obraz „wierny na ogół w swoich konkretach historycznych” ale „rozmyty” przez młodopolskie rozgadanie i „zacieranie granicy między rzeczywistością doświadczenia a dziedziną sennych majaków, zwidzeń i halucynacji”.

Drugi z bohaterów eseju prof. Hutnikiewicza – Juliusz Kaden-Bandrowski zwraca uwagę na inny aspekt uwikłań politycznych przedwiośnia niepodległości – na chaos i trudności towarzyszące zrastaniu się zaborów i skutki wojennych przemieszczeń. W „Generale Barczu” rolę koordynatora pełni postać tytułowa, charyzmatyczny gen. Barcz, mający w sobie

„coś z Piłsudskiego”, któremu w nocy z 9 na 10 listopada „zarówno lewica (bez oporu) jak i prawica (aczkolwiek niechętnie i kierowana jedynie zmysłem realizmu)” powierzyły „najwyższą, dyktatorską właściwie władzę”. „Był człowiekiem czynu a nie teorii czy doktryny” a rolę swoją ujął w słowach: „Wszystko mi jedno jaką macie ideologię... drogi nasze razem prowadzą... cała mądrość w tym by właśnie razem” (s. 36). Tu jednak swoisty podtekst się kończy. Bo z chaosu po stuleciu niewoli wyłonił się „mój rząd” – a to zdaniem Kadena „jest więcej warte niż żebyśmy przy obcym korycie po kolana w truflach stali” (s. 40). Znakomita lektura na dziś.

Trzecim i głównym bohaterem eseju jest Żeromski i „Przedwiośnie”. Prof. Hutnikiewicz, autor kapitalnej monografii pisarza, poddawał kilkakrotnie kontrowersyjną powieść Dwudziestolecia dogłębnej analizie. Uważa, że sens marszu na Belweder wyjaśnił autorytatywnie autor „Przedwiośnia” w liście do „białego Rosjanina” Michała Arcybaszewa „i innych” krytyków zarzucających mu ciągotki prokomunistyczne. „Nie zrozumiano – pisał Żeromski – ohydy, okropności, tragedii pochodzącej na Belweder – sceny przy której pisaniu serce mi się łamało”. „Zawsze, wciąż, dawniej i teraz mówię to samo, iż tutaj w Polsce musimy wypracować, stworzyć, wydzwignąć, wdrożyć w życie idee, które by przewyższyły moskiewskie, które by dały naprawdę i w sposób mądry ziemię i dom bezrolnym i bezdomnym, które by wydzwignęły naszą świętą wywalczoną ojczyznę na wyżynę świata, gdzie jest jej miejsce” („Żeromski” s.160).

Dla prof. Hutnikiewicza Cezary Baryka jest „młodszym bratem Marka Świdy”. „Przewodnikami ideowymi Cezarego Baryki są: Szymon Gajowiec, stateczny odpowiednik Adama Skwarczyńskiego i „koleżka” Lulek, nastawiony wrogo do Polski jako „jestestwa politycznego i społecznego” reprezentujący mentalność skrajnej lewicy, którą niepodległość Polski zaskoczyła jako przeszkoda w planach ogarnięcia świata rewolucją przesuwającą się przez Polskę i Berlin do Atlantyku.

Wreszcie esej trzeci: „Historyczne i ideowe przesłanki ostatniej emigracji polskiej”, napisany w 1981 r., co warto z naciskiem podkreślić, wykazuje imponującą znajomość wytycznych i tendencji wyłaniających się z wypowiedzi i

działalności zarówno „wielkiej” jak i „ostatniej” próby charakteru narodowego w „złych chwilach dziejowych”. Autor zatrzymuje się kolejno przy problemie utrzymania lub zachwiania poczucia tożsamości emigrantów konfrontujących polskość z obcością otoczenia – analizuje skład osobowy i ilościowy oraz układ pokoleń i nowy, XX-wieczny dylemat urodzonych już poza krajem pokoleń, ich wyborów języka i poszukiwań tożsamości.

Analizując pojęcia „emigranta” i „emigracyjności” autor dowodzi, że są to pojęcia wieloznaczne, nie dające się mechanicznie stosować: „Nigdy np. – pisze – nie uważała się za pisarkę emigracyjną Zofia Kossak. Teodor Parnicki jest przykładem pisarza „emigracyjno-krajowego” a krążący między PRLeM a wolnym światem Melchior Wańkowicz i Maria Kuncewiczowa są jednocześnie pisarzami „emigracyjnymi” i „krajowymi”. „Trudno byłoby zaliczyć do pisarzy emigracyjnych Witolda Gombrowicza zawieszonoego z własnej woli w jakiejś sztucznej próżni, jednako krytycznie usposobionego wobec kraju, emigracji i siebie”. „Nie nadawał się zapewne na emigranta również Czesław Miłosz, samotny człowiek XX wieku, stawiający czoło historii”. (Do tych ostatnich słów wprowadziłby pewno autor korektę: w ciągu 15 lat dzielących napisanie eseju do chwili bieżącej Miłosz stał się krakowianinem z wyboru a przez krytyków krajowych uważany jest bodaj jednomyślnie za czołowego przedstawiciela literatury emigracyjnej, pospołu z Gombrowiczem i Watem).

Na czoło ideologów emigracji politycznej wysunął prof. Hutnikiewicz Tymona Terleckiego, podkreślając stale wysuwane przez niego postulaty troski o „standard moralny emigracji” i obowiązek „utrzymania sprawy polskiej” na forum światowym, co szczególnie dobitnie występowało jako postulat najwyższej wagi po Jałcie. „Wytrwać w kulturze europejskiej na przekór jej samej – nawoływał Terlecki – wytrwać, bo kultur nie zmienia się jak partii politycznych, jak żurnalowych fasonów, jak bielizny. Przynależność do kultury jest czymś prawie charyzmatycznym, to znaczy czymś co ma charakter pomazania lub piętna”.

Szkoda, że prof. Hutnikiewicz nie poszerzył swoich wywodów o dalsze wypowiedzi czołowych ideologów – Adama Ciołkosza, Juliusza Mieroszewskiego a nawet trybuna ludowego

Zygmunta Nowakowskiego z okresu wielkich kryzysów. Nie omawia też roli prasy i radia bo i one, nie będąc agendami Rządu RP walnie się przyczyniały do formowania ideowych i politycznych wytycznych emigracji. Pisanie na te tematy nastroczało jednak jeszcze w roku 1981 swoistych trudności.

Na zakończenie przytaczam *credo* Profesora. Głosi ono, że „to, co przez półwiecze niemal nosiło niezawinione piętno działania nielegalnego, stanie się w końcu na zawsze prawem oczywistym normalnego istnienia wolnego i suwerennego narodu. Niepodzielna kultura, nauka i literatura polska, jedna w swym duchu i intencjach, różnorodna w swoich ideach”.

Co się na naszych oczach, wolno i opornie realizuje. „To co najważniejsze” przypomina o znaczeniu i potrzebie powtarzania podstawowych wytycznych. Jest „głosem wolnym, wolność ubezpieczającym”.

Feijó (Portugalia), 18 X 1996

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Zapomniana książka

Dorobek naukowy uczonych polskich lub polskiego pochodzenia zamieszkałych w Kanadzie nie jest w pełni doceniany. Dopiero niedawny artykuł w *Kulturze* zwrócił uwagę czytelników na wkład do dziejów myśli politycznej prof. Władysława Stankiewicza z University of British Columbia. Ufundowanie przez Polonię kanadyjską wspólnie z rządem prowincjonalnym katedry historii Polski na Uniwersytecie Toronto nie doczekało się odpowiedniego nagłośnienia. Podobnie przedstawia się sprawa sympozjum z okazji 50-lecia powstania Polskiego Instytutu w Kanadzie, zorganizowanego przez sekcję Ottawy w 1993 r. Sympozjum

to zaowocowało wydawnictwem przedstawiającym wkład członków Instytutu – profesorów, badaczy, inżynierów, lekarzy, artystów – do świata nauki i sztuki. Stanowi ono otwarcie na związki kulturalne między Polską a Kanadą i zasługuje w braku szerszego omówienia co najmniej na wzmiankę. Typowa recenzja zbiorowej pracy tego typu byłaby zresztą dość trudna.

Książka o szerokiej tematyce naukowej, zawiera 14 studiów i przemówień, 25 biobibliografii, szereg ilustracji, jak też bogaty materiał dotyczący dziejów i działalności Instytutu. Wśród mówców i autorów znajdujemy trzech Kanadyjczyków – wśród nich prezydent Uniwersytetu Carlton i rektorzy uniwersytetów Ottawa i Saint Paul – i szereg wybitnych Polaków. Spośród mówców można tu wymienić ambasadora RP Tadeusza Diema, historyka warszawskiego Andrzeja Garlickiego a przede wszystkim trzech redaktorów tomu: prof. Andrzeja H. Ruszkowskiego, Pawła Wyczyńskiego i Richarda Sokoloski'ego.

Artykuły, które składają się na ten dwujęzyczny (angielsko-francuski) tom zatytułowany „A Search for Knowledge and Freedom: The Polish-Canadian Perspective (A la recherche du savoir et de la liberté: perspective polono-canadienne) wydany w Ottawie w 1995 r. dają dobry przegląd szerokiego zasięgu występujących tu dziedzin. A oto spis treści w oryginalnym brzmieniu. Ryszard Sokolowski „Thoughts of Polish-Canadian Literature”; Andrzej Mrożewski „Stefan Mrożewski: interprète des oeuvres littéraires”; Regina Czapiewska „The Art in inner necessity: Pollock, Rothko, Newman”; Teresa Rakowska-Harmstone „Poland's parliamentary elections of September 1993”; Tomasz Skąpski „Les Problèmes de la transition vers une économie de marché dans les pays de l'Europe de l'Est”; Adam Podgórecki „Jan Józef Lipski: the destruction of Communism by moral imperative”; Jerzy A. Wojciechowski „The Development of knowledge, environment and ethics”; Jerzy Sasiadek „Robotics in space”; Jerzy Kwaśniewski „The Future of Microelectronics in Canada”; Wiktor Szyryński „The significance of silence in Human communication”; Sylwester Krzaniak „Influence of the environment on the newborn”; Tadeusz Grygier „Arctic studies: people and

problems”; Jacek Skoczowski „La Psychopathologie et les arts”; Jan Graboski „Le premier colon polonais en Nouvelle France”.

Jak widać z powyższego mamy tu artykuły zarówno z humanistyki i nauk społecznych (kilku autorów jest znanych czytelnikom *Kultury*) jak i nauk ścisłych czy medycyny. W sumie ciekawy to i reprezentatywny zbiór, za wydanie winniśmy wdzięczność redaktorom i autorom.

Piotr WANDYCZ

Portrety mistrzów

„Chyba bezdyskusyjne jest przekonanie, że wyrazem dojrzałej kultury jest pielęgnowanie pamięci nauczycieli i mistrzów młodości, którym zawdzięczamy rozwój życia duchowego, umiejętności, wiedzę, wrażliwość na dobro, piękno i prawdę”. Tymi słowy wybitny historyk literatury i nestor polonistyki, profesor Zdzisław Libera, wyjaśnia powody wydania swojej ostatniej książki*, składającej się z portretów, szkiców oraz krótkich not poświęconych licznym humanistom, którzy wpłynęli na jego intelektualną i duchową formację.

Przeważają wśród nich oczywiście filolodzy: Julian Krzyżanowski, Juliusz Kleiner, Józef Ujejski, Wacław Borowcy, z młodszej generacji: Zofia Schmydtowa, Stefan Żółkiewski czy Maria Grabowska. Mamy też świetnie skreślony portret Tadeusza Kotarbińskiego, którego filozofia, a zwłaszcza etyka silnie oddziaływały na Zdzisława Libere (w czasie studiów był on uczestnikiem jego słynnego seminarium).

* Zdzisław Libera, „Uczni i nauczyciele”, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995, ss. 199.

Fascynujące są również szkice o bliskich przyjaciółach Mieczysławie Brahmerze, znakomitym italianistą i teatrologu oraz Witoldzie Kuli, wszechstronnym historyku, cenionym przez francuską szkołę „Annales”.

Na podstawie lektury „Uczonych i nauczycieli” można wysnuć wniosek, że nauka jest rodzajem zakonu, który obok wiedzy i wewnętrznej dyscypliny, wymaga nade wszystko powołania w prawdzie. Opisani przez profesora Liberę uczeni na ogół uczestniczyli aktywnie w konspiracyjnym życiu naukowym w czasie II wojny światowej, a potem usiłowali ochraniać naukę polską przed jej wulgarnym zideologizowaniem. W tym kontekście Zdzisław Libera przypomina działalność filologów, Juliusza Nowaka-Dłużewskiego i Jana Dürr-Durskiego. Broni też programowego marksisty, Stefana Żółkiewskiego, który – jego zdaniem – położył ogromne zasługi dla powołania i niezależnego funkcjonowania Instytutu Badań Literackich PAN. Przywołuje wydarzenia marcowe roku 1968, m.in. postać szczególnie lubianej przez studentów Marii Grabowskiej, która solidarnie przyłączyła się do studenckiego protestu.

W jakimś sensie książka jest portretem zbiorowym Uniwersytetu Warszawskiego, macierzystej uczelni prof. Zdzisława Libery, z którą związał całe życie jako znakomity uczony, dziekan oraz wychowawca kilku generacji polonistów.

Zbigniew BARAN

Nadesłane nowości wydawnicze

JULIUSZ (Kazimierz). *Poezje liryczne z czasów okupacji 1939-1945*. Str. 85. Łódź 1996.

ONISZCZUK (Jerzy). *Państwo prawne w orzecznictwie Trybunału Konstytucyjnego (zasady państwa prawnego)*. Str. 88. Wyd. Helsińska Fundacja Praw Człowieka, Warszawa 1996.

GOŁYŃSKI (Krzysztof), WĘDRYCHOWSKI (Marek P.). *Odmowa pełnienia służby wojskowej w orzecznictwie sądów*. Str. 56. Wyd. Helsińska Fundacja Praw Człowieka, Warszawa 1996.

Prawo do godnego traktowania w instytucjach izolacyjnych. Sprawozdania z lustracji. Red. A. Rzep-

liński i A. Krempleski. Str. 178. Wyd. Helsińska Fundacja Praw Człowieka, Warszawa 1996.

GRZADZIELEWSKI (Jarosław). *Wielka karyera Mieczysława W. i kilku jemu podobnych...* Str. 385. Nakładem autora.

ZAŁEWski Zbigniew. *Miasto z innego snu*. Str. 37. Wydawnictwo Przedświt, Warszawa 1996.

DE L'EST Nr 27. *Litterature et emigration dans les pays de l'Europe centrale et orientale*. Red. Maria Delaperrière. Str. 224. Wyd. Institut d'Etudes Slaves, Paris 1996.

Poznańskie Studia Polonistyczne. Literatura o państwie. Seria Literacka I (XXI). Str. 186. Wyd. WiS, Poznań 1994.

Poznańskie Studia Polonistyczne. Wokół Szymborskiej. Seria Literacka II (XXII). Str. 186. Wyd. WiS, Poznań 1995.

Poznańskie Studia Polonistyczne. Seria Językoznawcza I (XXI). Str. 154. Wyd. WiS, Poznań 1994.

Poznańskie Studia Polonistyczne. Seria Językoznawcza II (XXII). Str. 186. Wyd. WiS, Poznań 1995.

SZEWczyK (Marek). *Nadzór w materialnym prawie administracyjnym*. Administracja wobec wolności i innych praw podmiotowych jednostki. Str. 187. Seria: Prawo nr 150. Wyd. Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 1995.

ŻYROMSKI (Marek). *Gaetano Mosca Twórca socjologicznej teorii elity*. Str. 181. Seria: Socjologia nr 23. Wydawnictwo Naukowe UAM; Poznań 1996.

SUCHOCKI (Wojciech). *W miejscu sumienia*. Śladem myśli o sztuce Martina Heideggera. Seria: Historia Sztuki nr 25. Str. 212. Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 1996.

PIECUCH (Henryk). *Służby specjalne atakują*. Str. 590. Agencja Wydawnicza CB, Warszawa 1996.

LENCZEWSKI (Tomasz). *Genealogie rodów utytułowanych w Polsce*. T.I. Str. 283. Oficyna Wydawnicza „ADIUTOR”, Warszawa 1995-1996.

ARTNIKOWSKI (Jakub). *Polski tryptyk*. Nudy na pudy. Miało być tak pięknie. Zaraz wracam. Str. 137. Warszawa 1995.

WŁODAR (Tadeusz). *Synteza czasu*. Str. 330. Wydawnictwo Czas, Gliwice.

Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik bibliograficzny. T.4 – K. Str. 534. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1996.

KOLANKOWSKI (Jerzy). *„Ogniem i mieczem” z ołówkiem w ręku*. MOSTWIN (Danuta). *Nie ma domu*. Str. 175. Wyd. Norbertinum, Lublin 1996.

KORYL (Janusz). *Kłopoty z nicością*. Str. 61. Wyd. Miniatura, Kraków 1996.

PLATONOV (Andrei). *Moscou heureuse*. Str. 188. Wyd. Robert Laffont, Paris 1996.

PLATONOV (Andrei). *Tchevengour*. Str. 427. Wyd. Robert Laffont, Paris 1996.

Valeriana. Eseje o komunikowaniu między ludźmi. Prace ofiarowane profesorowi Waleremu Pisarkowi. Red. J. Mikułowski, Zb. Bajka. Str. 375. Kraków 1996.

SZYMBORSKA (Wisława). *En kat i en tom lejlighed*. Tłum. Janina Katz i Uffe Harder. Str. 60. Wyd. Høstes Forlag/S.O.L. 1996.

SEREDNICKI (Antoni). *Eseje polsko-ukraińskie*. Str. 154. Warszawa 1996.

SEREDNICKI (Antoni). *Z niwy polsko-ukraińskiej*. Str. 116. Towarzystwo Polska-Ukraina, Warszawa 1995.

SERWATKA (Tomasz). *Poczet władców Francji*. Burbonowie-Orleanowie-Bonapartowie. Str. 205. Wydawnictwo PULS, Londyn 1996.

- CIELESZ (Piotr). *Jeszcze małeńka Europa*. Str. 59. Redakcja Wydawnictw Pozaprasowych „Pomorz”, Bydgoszcz 1987.
- CIELESZ (Piotr). *Antynomie*. Wyd. Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne, Bydgoszcz 1989.
- CIELESZ (Piotr). *Z księgi wschodniej*. Str. 31. Wyd. Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne, Bydgoszcz 1992.
- GRUNT-MEJER (Zygmunt), HOPPEN-ZAWADZKA (Jadwiga), IWANOWSKI (Lech), KŁOŚIŃSKI (Zygmunt), SZOSTAK (Henryk). *Koniec Epopei*. Str. 128. Wyd. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Bydgoszcz 1996.
- Tarasiewicz. Katalog wystawy Str. 68. Galeria Arsenał BWA Białystok 11 maja – 18 czerwca 1995.
- BURKE (James). *Osiem stopni w tajemniczenia czyli jak zmienialiśmy świat*. Przekł. K. Środa. Str. 461. Wyd. PULS, Londyn.
- FOGLE (Bruce). *101 pytań, które twój pies zadalby weterynarzowi, gdyby umiał mówić*. Str. 244. Wyd. PULS (Lemur), Londyn.
- GRABOWSKI (Andrzej). *Okiem prowincjusza*. Wybór felietonów. Str. 76. Wyd. Oficyna Wydawnicza „Witek-Druk”, Tarnów 1966.
- BOBIKIEWICZ (Eugen). *Wege und Irrwege der ukrainischen Befreiungspolitik*. Ein überblick und Versuch einer Synthese. Str. 133. Strasburg 1995.
- Bibliografia historii polskiej za rok 1994*. Oprac. W. Frazik, S. Gąsiorowski, A. Gruca, Z. Solak; Instytut Historii PAN. Str. VIII, 485. Wyd. Profesjonalnej Szkoły Biznesu, Kraków 1996.
- SZYMBORSKA (Wisława). *Kraj i poczetak. Pesme*. Przekład Biserka Rajcić. Str. 51. Wyd. Książeczna Opsztina Wrszac, 1996.
- GOMBROVIĆ (Vitold). *Trans-Atlantik..* Przekład z polskiego Biserka Rajcić. Str. 140. Wyd. Radio B92, Beograd 1996.
- Wspomnienia o Antonim Słonimskim*. Red. P. Kądziela i A. Międzyrzecki. Str. 389. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1996.
- SEWERYNIAK (Henryk) ks. *Święty Kościół powszedni*. Str. 309. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1996.
- SMOSARSKI (Józef). *Świętowanie doroczne w Polsce*. Str. 167. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1996.
- KUBIAK (Zygmunt). *Brewiarz Europejski*. Str. 258. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1996.
- NEOHELICON. XXIII (1). Str. 302. Wyd. Akadémiai Kiadó, Budapest, John Enajmins B.V., Amsterdam, 1996.
- GARTON ASH (Timothy). *W imieniu Europy. Niemcy i podzielony kontynent*. Str. 554. Wyd. ANEKS, Londyn 1996.
- To Be 2Be* No. 9-10 (Vol. IV, 1996). *Lietuviu Atgimimo Istorijos Studijos*. T.8. Asmuo: tarp tautos ir valstybes Str. 525. Mokslo ir enciklopedijų leidykla, Vilnius 1996.
- HURWIC (Józef). *Wspomnienia i refleksje*. Szkic autobiograficzny. Str. 196. Wydawnictwo Comer, Toruń 1996.
- Polscy studenci-żołnierze we Włoszech 1945-1947*. Oprac. Roman Lewicki. Str. 205. Wyd. Caldra House, 1996.
- Polonica Zagraniczne*. Bibliografia 1988. Str. 322. Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1996.
- BAZIAK (Jolanta). *Daleka Wenus*. Str. 63. Wydawnictwo „Marpress”, Gdańsk 1996.
- FRONDA nr 7/1996. Str. 413.
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Dziennik pisany nocą 1980-1983*. Str. 408. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1996.
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Dziennik pisany nocą 1984-1988*. Str. 513. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1996.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

19.9.96

Uniwersytet Wrocławski rozpoczął starania o budowę nowoczesnej biblioteki uniwersyteckiej we Wrocławiu. Obecna biblioteka liczy ok. 3 mln tomów w tym 30.000 pozycji unikalnych w skali światowej. Zawiera najbogatszy w Polsce zbiór średniowiecznych rękopisów oraz kolekcję starych druków tłoczonych w latach 1456–1800. Liczy 3.200 inkunabułów i 2 tys. polskich dokumentów historycznych z XVI wieku. Projekt budowy biblioteki został zaaprobowany przez Ministerstwo Edukacji Narodowej jednakże pod warunkiem, że część kosztów zostanie pokryta ze środków pozabudżetowych. W związku z tym są organizowane apele w poszukiwaniu sponsorów. W tej dziedzinie rozwija wielką działalność prof. Henryk Ratajczak, obecny dyrektor Stacji Naukowej PAN w Paryżu. Dla wpłat, których chcą dokonać ofiarodawcy otwarte są następujące konta: złotówkowy rachunek Społecznego Komitetu Budowy Nowej Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu: PKO BP, IV Oddział Wrocław, nr 93549-95367-132; dewizowy rachunek Uniwersytetu Wrocławskiego: Bank Zachodni SA, I Oddział Wrocław, nr 93015-809/4-151-4787-135/30. *Kultura* ze swej strony przekazuje 5 tys. franków.

23.10.96

W Warszawie odbyło się pierwsze sympozjum na temat „Rzeczpospolita Obojga Narodów – kultura, język, świadomość narodowa”, w którym wzięli udział przedstawiciele fakultetów historii Uniwersytetu Wileńskiego i Uniwersytetu Warszawskiego. Następne spotkanie odbędzie się w przyszłym roku w Wilnie, gdzie będzie omówiona historia od rozbiorów do I wojny światowej. Ostatnie spotkanie jest zaplanowane na rok 1998 i ma się odbyć w Białymstoku. Będzie ono dotyczyło okresu od I wojny światowej do chwili obecnej.

19.11.96

W Petersburgu w Muzeum Anny Achmatowej została otwarta wystawa „Józef Czapski. Człowiek i miejsce”. Autorką scenariusza wystawy, która miała miejsce uprzednio w Krakowie i Warszawie, jest Krystyna Zachwatowicz. Wystawa obejmuje pamiątki po artyście oraz rekonstrukcję jego pokoju w Maisons-Laffitte. Należy przypuszczać, że wystawa obejmuje również pobyt Czapskiego w Petersburgu,

jego przyjaźń i kontakty z Mereżkowskim i Dimitrem Fiałosofowem, jego działalność w czasie rewolucji i w czasie ostatniej wojny.

ZACHÓD – EMIGRACJA

18.11.96

W stacji Naukowej PAN w Paryżu miało miejsce kolokwium poświęcone dyskusji nad projektami Konstytucji RP.

11.10.96

Zmarła w Toronto w wieku 78 lat Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska, eseistka, reporterka i krytyk literacki. W latach 60-tych redagowała pierwsze pismo literackie w Kanadzie pt. *Prąd*. Była również współtwórczynią i wieloletnim członkiem Zarządu Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie.

25.10.96

Zmarł w Londynie Zbigniew Jerzy Błażyński. Przed wojną pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, po wojnie w dziennikarstwie i radiu. Był szefem Polskiej Sekcji BBC oraz pracownikiem Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa w Monachium.

5.11.96

Ambasador Ukrainy w Paryżu wraz z Towarzystwem Naukowym im. Szewczenki w Sarcelles zorganizował międzynarodowe kolokwium poświęcone 400-leciu urodzin metropolity Petra Mohyły. Odbyło się ono w lokalach UNESCO.

11.11.96

Zmarł w Londynie w wieku 85 lat Władysław Ryszard Szomański, wybitny artysta grafik. Był zaprzyjaźniony z redakcją *Kultury*. ■ Na Uniwersytecie Paris IV Sorbonne miał miejsce wieczór poświęcony kolekcjonerom XVII wieku. Przewodniczył mu Krzysztof Pomian z CNRS.

12.11.96

Katedra ukrainistyki Uniwersytetu Warszawskiego zorganizowała międzynarodowe sympozjum naukowe na temat „Ukraina Brzeska: uwarunkowania, konteksty i konsekwencje historyczno-kulturowe”.

15.11.96

Jerzy Giedroyc otrzymał doktorat *honoris causa* Katolickiego Uniwersytetu we Fryburgu (Szwajcaria).

19.11.96

W Instytucie Polskim w Sztokholmie miał miejsce wernisaż prac Krystyny Redz-Radziejowskiej. Poprzednio p. Redz-Radziejowska miała wystawę w Galerii Baggen w Sztokholmie. ■ W Instytucie Kulturalnym Austrii w Paryżu miało miejsce kolokwium poświęcone Manesowi Sperberowi (1905-1984) pod hasłem „Podróż przez XX wiek”. Kolokwium odbyło się przy współudziale Alliance Israelite Universelle i Commission du Livre du F.S.J.U.

21.11.96

Staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu w Bibliotece Polskiej odbył się odczyt p. Janusza Odrowąża-Pieniążka, dyrektora Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie na temat „Przygotowania do 200-lecia urodzin Adama Mickiewicza”.

22.11.9

W Centre du Dialogue w Paryżu ks. Kardynał Józef Glemp, Prymas Polski, wygłosił odczyt na temat „Kościół polski wobec kryzysu cywilizacji”. Ponadto, 6-go grudnia, p. Ewa Bieńkowska mówiła na temat „Spory o dziedzictwo europejskie”.

22.11.96

Mer Paryża wraz z konserwatorem Biblioteki Buffon, Claude Lecrubier, zorganizowali w dniach od 26 do 30 listopada szereg spotkań „Gombrowicz et son double”. Obejmowały one dyskusje na temat „Les Machines Infernales de Monsieur Gombrowicz”, „Witold Gombrowicz ou l'enfant terrible de la culture”, „Witold Gombrowicz. Le théâtre de la vie (Petit cours de... plaisir)”.

22.11.96

Na Uniwersytecie Paris IV Sorbonne odbyło się międzynarodowe kolokwium na temat „Książka i obraz w Czechach od końca XIX wieku do naszych czasów”. Wzięli w nim udział m.in. H. Jechová-Voisine, M. Aucouturier, A. Měšťan.

Listy do Redakcji

Warszawa, 18.10.1996

Drogi Panie Redaktorze,

zaszło nieporozumienie! Gdyby Pani Stefania Kossowska przeczytała cytowany przez siebie tekst z mojej książki (*Kultura* nr 9, str. 56) z mniejszą niedokładnością (którą mnie zarzuca) – zorientowałaby się od razu, iż słowa: „Pruszyński poszedł do komuny, bo chciał zostać ambasadorem przy Watykanie” – nie pochodzą ode mnie. Wypowiedział je Pan sam, zapewne, jako skrót myślowy przy pospiesznym wyliczaniu rozchodzenia się po wojnie dawnych pańskich współpracowników. Druga nietrafność: niestety, nie rodziłam się dziesiątki lat po wojnie, co mi Pani Stefania Kossowska łaskawie przypisuje. Jednakże, nie mogę nie przyznać, że komplement ten zrobił mi przyjemność, jak i cały świetny tekst pt. „Ksawery”.

Pozostaję z szacunkiem i załączam najserdeczniejsze pozdrowienia.

Ewa BERBERYUSZ

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Joanna N.-J., Polska – Nadesłane przez Panią wiersze były już raz publikowane.

Jerzy K., Polska – Rymy satyryczne, które Pan nadesłał, są zbyt ulotne, a zarazem zbyt stereotypowe; ani myślowo, ani poetycko nie poruszają.

Szymon M., Polska – Pana wiersze, choć świadczą o poetyckiej wrażliwości, są bardziej utrzymane w tonacji popularnej piosenki niż w poezji formalnie dopracowanej.

Kazimierz B., Polska – Nie zamieścimy. Pana rozważania polityczne są zbyt spóźnione.

A.P., Polska – „Podróży do Rzeczypospolitej mitycznej” nie zamieścimy.

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1996

Spis autorów

ABNER Stefan, ALBRECHT Andrzej, A.P., A.S., – BAKUŁA Bogusław, BARAN Zbigniew, BERBERYUSZ Ewa, BERDYCHOWSKA Bogumiła, B.H., BIELECKI Czesław, BIELICKA Regina, BIELICKA Władysława, BOBA Imre, BOBOWICZ Zofia, BOCHENSKI Jacek, BRODA Marzena, BRODSKI Josif, BRODZIŃSKI Konrad, BRONSKI Michał, BUBNICKI Rafał, BUDIMEX, BYKAU Wasil, BYRSKI Zbigniew. – CHOJAK Jolanta, CHRISTIAN, CHRZANOWSKI Tadeusz, CHYLIŃSKA Kamila, CIEŚLEWICZ Roman, CYBULSKA Maja Elżbieta, CZAPLIN Wsiewołod, CZAYKOWSKI Bogdan, Cz.B., CZERNIAWSKI Adam, CZERWIAKOWSKA Ewa – DANIELEWICZ-KERSKI Dorota, DANILEWICZ-ZIELIŃSKA Maria, DASZKIEWICZ Piotr, DŁUSKI Stanisław, DOBOSZ Andrzej, DOBROWOLSKI Paweł, DROZDOWSKI Marian M., DRUKIER Bolesław, DZIEDUSZYCKA Teresa. – FEDECKI Ziemowit, FIKUS Dariusz, FINI Leonor, FRĄCKOWIAK Jan Krzysztof, FRISZKE Andrzej, FRONCZEK Zbigniew Włodzimierz. – GAGNEBIN Maurielle, GILL Władysław, GLIKSMAN Łucja, GŁOWACKA Renata, GODLEWSKI Grzegorz, GOŁĄB Tomasz, GOMBROWICZ Witold, GÖMÖRI George, GROTKWAŚNIEWSKI Jerzy. – HALIKOWSKA-SMITH Teresa, HARRIS Martyn, HAVEL Vaclav, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Zofia, HNA-TIUK Ola, HOSTOWIEC Paweł. – ILIŃSKA Zofia, IWA-NIUK Waław. – JACKIEWICZ Mieczysław, JAGODZIŃSKI Zdzisław, JANOWICZ Sokrat, JERZMAN Marek, JÓŻWIECKI Krzysztof, J.R.K. – KACZMAREK Robert, KARNKOWSKI

Kazimierz, KARPIŃSKI Wojciech, KARSKI Jan, KAWIŃSKI Wojciech, KERSKI Basil, KĘSZYCKA-SCHNAYDEROWA Felicja, KIRSCHKE Tadeusz ks., KISIELEWSKI Stefan, KLESZCZYŃSKA ESTEVES Krystyna, KOŁAKOWSKI Leszek, KONAN Uładzimir, KONARSKA Felicja, KORA-SZEWSKI Andrzej, KORZEC Michał, KOSSOWSKA Stefania, KOWALCZYK Andrzej St., KRAUCEWICZ Aleś, KRAWCZYK Jacek, KRAWCZYK Marek, KRÓTKI Karol J., KRUCZEK Adam, KRZECZUNOWICZ Andrzej, KRZEMIŃSKA Wanda, KRZYŻANOWSKI Jerzy R., KULIK Adam W., KUŚ Mira, K.W. – LEBENSTEIN Jan, LEWANDOWSKI Józef, LISAK Agnieszka, LIZAKOWSKI Adam, LOEST Erich, LÓW Ryszard. – ŁAMZAKI-MAWRO Maria, ŁUKASZEWICZ Maciej, ŁUKASZEWSKI Jerzy. – MADEJ Bogdan, MAURER Jadwiga, MIANOWICZ Tomasz, MILEWSKI Jan Jerzy, MO-DZELEWSKI Zenon ks., MONDRAL Camilla, MUCHA Szymon. – NASIELSKI Adam, NECHAMKIS Włodzimierz, NEUGER Leonard, NIVAT Georges. – ODOJEWSKI Włodzimierz, OKNIŃSKA WAWER Agnieszka; OLSZAŃSKI Tadeusz, ORŁOŚ Kazimierz, ORŁOWSKA K., OSADCZUK Bogdan. – PAKULSKI Jan, PĘDZIWOL Aureliusz Marek, PIETRKIEWICZ Jerzy, PODKAŃSKI M., POMIAN Grażyna, POMIAN Krzysztof, POMIANOWSKI Jerzy, POPŁAWSKI Wojciech, POSPIESZAŁSKI Antoni, P.Ż. – QUIDNUNC. – RATYNIECKI Paweł, R.B., REDAKCJA, REDAKTOR, REYKOWSKI Janusz, RODAK Paweł, ROMER Andrzej. – SAJ Andrzej, SENIUCH Czesław, SIENKIEWICZ Henryk, SIERADZKI Jacek, SIKORA Wojciech, SKALMOWSKI Wojciech, SKÓRZYŃSKI Piotr, SMECZ, SMOLAR Aleksander, SOBKÓW Krzysztof, SOCHOŃ Jan ks., SOŁTAN Jerzy, STACH Andrzej, STANKIEWICZ Władysław, STANKIEWICZ Zygmunt, STAŃCZYKÓWNA, STROŃSKA Anna, STUDNICKI-GIZBERT Konrad W., SUŁKOWSKA-BIEREZIN Ewa, SUPRUNIUK Mirosław Adam, SURMACZ Ryszard, SZARF Adam, SZARUGA Leszek, SZAWIR P., SZCZYGIELSKI W.M., SZUBER Janusz, SZYŁEYKO J. Zdzisław, SZYMBORSKA Wisława. – TAYLOR Nina, TERLECKI Tymon, TOMASZKIEWICZ Jan, TRABA Robert, TRYBUSIEWICZ Janusz, TUSZYŃSKA Agata, TYMOWSKI Michał. – UNGER Leopold. – VINULET Jan, VINCENZ Andrzej. – WALAS Teresa, WALICKI Andrzej, WANDYCZ Piotr, WĘGRZYŃIAK Rafał, WILK Mariusz, WIERZYŃSKI Kazimierz, WOLICKI Krzysztof, WOLSKA WEGNER Maria,

W.S., WYSZOMIRSKI Michał. – ZAGAJEWSKI Adam, ZAGÓRSKI W., ZAJEWSKI W., ZAKONNIKAU Siergiej, ZAMORSKI Kazimierz, ZARZĄD POLSKIEGO PEN-CLUBU, ZATORSKI Tadeusz, ZIELIŃSKA Urszula. – ŻÓŁTOWSKA-WEINTRAUBOWA Maria Ewelina, ŻYDKOWICZ Pola.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

ABNER Stefan: *Czy polska potrzebuje własnej Mony Sahlin?* (1/580-2/581).
 B.H.: *Kronika kanadyjska* (3/582).
 BOCHENSKI Jacek: *Przewodnicy pilnie poszukiwani* (11/590).
 CZAYKOWSKI Bogdan: *Władysław J. Stankiewicz* (3/582) – (tłumacz) ob. Stankiewicz Władysław J.
 DRUKIER Bolesław: *Paradoksy powojennego 50-lecia* (7/586-8/587).
 DZIEDUSZYCKA Teresa (tłumacz) ob. Georges Nivat (10/589).
 GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy: *Kronika australijska i nowozelandzka* (11/590).
 HAVEL Vaclav: *Postkomunizm*. Przełożył z czeskiego Aureliusz Marek Pędziwol. (1/580-2/581).
 KACZMAREK Robert: *Polska w marszu do Europy* (11/590). – *Rynek na rozstaju dróg* (6/585).
 KARSKI Jan: *Moje uwagi o sprawach polskich* (10/589).
 KORASZEWSKI Andrzej: *Ludzie zbędni na swoim* (1/580-2/581).
 NECHAMKIS Włodzimierz: *Ostpreussenland* (5/584).
 NIVAT Georges: *O dysydentach raz jeszcze*. Przełożyła z francuskiego Teresa Dzieduszycka (10/589).
 PĘDZIWOL Aureliusz Marek (tłumacz) ob. Havel Vaclav (1/580-2/581).
 POMIANOWSKI Jerzy: *Ekshumacja* (5/584).
 SIERADZKI Jacek: *Przewodnicy pilnie poszukiwani* (11/590).
 STACH Andrzej: *Kronika niemiecka* (9/588). – *Wzdłuż Odry i Nysy* (11/590).
 STANKIEWICZ Władysław: *Czym jest post-totalitaryzm – z angielskiego przełożył Bogdan Czaykowski* (3/582).
 STRONSKA Anna: *Gorzki smak wolności* (11/590). – *Lachy i rezuny* (9/588). – *Nad Smotrycz, za Zbrucz* (12/591).
 SZARUGA Leszek: *Rekonstrukcja rzeczywistości* (3/582).

- SZYŁEYKO J. Zdzisław: *Amerykańskie kontrasty* (10/589).
 TRYBUSIEWICZ Janusz: *Dwa trójkąty i jedna obsesja* (12/591).
 UNGER Leopold: *Widziane z Brukseli i z... Moskwy*
 – *Czy jest życie po Jelcynie?* (4/583).
 – *Podróż do kresu komunizmu* (9/588).
Wydarzenia miesiąca (1/580-2/581, 3/582, 4/583, 5/584, 6/585, 7/586-8/587, 9/588, 10/589, 11/590, 12/591).
 ZATORSKI Tadeusz: *Podatek kościelny* (7/586-8/587).

Archiwum polityczne

- ABNER Stefan: *Balticum* (3/582).
 – *Bałtyckie migawki* (7/586-8/587).
 – *Z nordyckiej perspektywy* (10/589).
 CHOJAK Jolanta (tłumacz) ob. Wsiewołod Czaplin.
 CZAPLIN Wsiewołod: *Neutralny – lecz nie obojętny* – opracowała i przełożyła z rosyjskiego Jolanta Chojak (12/591).
 KERSKI Basil: *Francja–Niemcy: anatomia partnerstwa* (12/591).
 – *Na marginesie książki Günтера Grassa* (1/580-2/581).
 KORZEC Michał: *Znowu Korea* (5/584).
Notatki Redaktora (1/580-2/581, 3/582, 4/583, 5/584, 6/585, 7/586-8/587, 9/588, 10/589 [wraz z listem min. kultury M. Podkańskiego], 11/590, 12/591).
O aktywną politykę wschodnią Polski (5/584).
 STACH Andrzej: *Była własność żydowska w Polsce i Niemczech* (6/585).
 UNGER: Leopold *Widziane z Brukseli:*
 – *JCPCIKINS* (11/590).
 – *Stypa bez żałoby: od „Brata nr 1” do „Dziadka nr 87”* (7/586-8/587).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

- BRODZIŃSKI Konrad: *Dzierżyńskiego obecnie Erkindik* (1/580-2/581).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (1/580-2/581).

Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- KOSSOWSKA Stefania: *Ksawery* (9/588).
 KRZECZUNOWICZ Andrzej: *Podróż do Lwowa i Bolszowiec* (Lipiec 1995) (4/583).
 MADEJ Bogdan: *Nasze kawalerskie!* (1/580-2/581).
 MONDRAL Camilla: *Rozważania starszej pani* (9/588).
 ODOJEWSKI Włodzimierz: *Oksana* (6/585).
 ROMER Andrzej: *Via Baltica* (10/589).
 WILK Mariusz: *Brat G.* (10/589).
 – *Samopas na Kanin Nos i z powrotem (III)* (6/585).
 – *Sołowki, kwiecień* (7/586-8/587).
 – *Sołowki, maj* (9/588).
 – *Sołowki, czerwiec* (12/591).

Utwory poetyckie

- BRODA Marzena: *Pijany sternik* (6/585).
 – *Porwanie Ganimedesa* (6/585).
 CZERNIAWSKI Adam: *Historia ludzkości* (4/583).
 DŁUSKI Stanisław: *Gry o świat* (6/585).
 – *Kropłe miłości* (6/585).
 GLIKSMAN Łucja: *Gare St. Lazare* (10/589).
 IWANIUK Wacław: *Powrót do domu* (3/582).
 KAWIŃSKI Wojciech: *Światelko* (7/586-8/587).
 KUŚ Mira: *Ala ma kota* (7/586-8/587).
 – *Epitafium* (10/589).
 – *Ścieżka* (10/589).
 LISAK Agnieszka: *Jesień* (6/585).
 – *Lęk...* (9/588).
 – *O mojej fascynacji malarstwem* (9/588).
 – *...Ostatnią tajemnicę* (6/585).
 – *Rutyna* (6/585).
 LIZAKOWSKI Adam: *Piekarnia na Chicago Ave.* (5/584).
 – *Słyszac o emigrantach* (5/584).
 – *Zielona karta* (5/584).
 MUCHA Szymon: *...A teraz trzeba uważać* (7/586-8/587).
 – *Capricornus* (7/586-8/587).
 – *Opowieść Mistrza* (7/586-8/587).
 – *Skoro wszystko tak spokojnie* (9/588).

- SENIUCH Czesław (tłumacz) ob. Zakonnika Sierhiej (7/586-8/587).
 SOCHON Jan ks.: *Sila* (3/582).
 STAŃCZYKÓWNA: *Dialektyka i sztuka* (11/590).
 SZARUGA Leszek: *Znów* (6/585).
 SZUBERT Janusz: *Arka Przymierza* (10/589).
 – *Pasterze* (10/589).
 – *Saboty* (10/589).
 SZYMBORSKA Wisława: *Nic darowane* (12/591).
 – *Rachunek elegijny* (12/591).
 TABORSKI Bolesław: *Każdy się sam przekona* (9/588).
 – *Omamy I* (7/586-8/587).
 WYSZOMIRSKI Michał: *Dla Jean Cavailles'a* (4/583).
 ZAKONNIKAU Sierhiej: *My – z białoruskiego przełożył Czesław Seniuch* (7/586-8/587).

Sprawy krajowe

- BERBERYUSZ Ewa: *Kartki ze skażonej strefy* (10/589).
 BIELECKI Czesław: *Ruch Stu* (9/588).
 – *Warszawa-Paryż* (12/591).
 CHRZANOWSKI Tadeusz: *Polska powiatowa* (7/586-8/587).
 DASZKIEWICZ Piotr: *Lekcja Białowieży* (11/590).
 – *Polska polityka ekologiczna* (9/588).
 DROZDOWSKI Marian M.: *Biurokracja III Rzeczypospolitej* (1/580-2/581).
 POPŁAWSKI Wojciech: *Migawki z Polski II* (1/580-2/581).
 SKÓRZYŃSKI Piotr: *Varsovie, ma vie* (4/583).
 SMECZ: *Z ukosa* (1/580-2/581, 3/582, 4/583, 5/584, 6/585, 7/586-8/587, 9/588, 10/589, 11/590, 12/591).
 SUPRUNIUK Mirosław A.: *Małe, prowincjonalne miasto na T.* (9/588).
 TRYBUSIEWICZ Janusz: *Polski rów tektoniczny* (7/586-8/587).
 WOLICKI Krzysztof: *Czytając powakacyjne sondaże* (11/590).
 – *Dwie Polski?* (4/583).
 – *Już znów przed wyborami* (5/584).
 – *Koniec sezonu* (7/586-8/587).
 – *Nowe rozdanie* (1/580-2/581).
 – *Panowie na „K”* (12/591).
 – *Powrót polityki* (6/585).
 – *Życie toczy się dalej* (3/582).

Sąsiedzi

- BERDYCHOWSKA Bogumiła: *O studentach białoruskich w Polsce* (7/586-8/587).
 JANOWICZ Sokrat: *Białoruś* (9/588).
 KRUCZEK Adam: *Notatki rosyjskie* (1/580-2/581, 3/582, 4/583, 5/584, 6/585, 7/586-8/587, 9/588, 10/589, 11/590, 12/591).
 OSADCZUK Bohdan: *Między historią a teraźniejszością* (3/582).
 – *Polska i Ukraina: przemyskie zakłócenia przyjaźni* (6/585).
 – *Ukraina – bilans roku* (1/580-2/581).
 – *Ukraina – pięć lat niepodległości* (9/588).
 – *Ukraińska droga do Europy* (7/586-8/587).
 – *Ukraińskie orientacje* (10/589).
 – *Wiosna z przymrozkami* (5/584).
 STACH Andrzej: *„Dialog” na temat Polonii w Niemczech* (10/589).

O religii bez namaszczenia

- A.P. (tłumacz) ob. Christian (7/586-8/587).
 CHRISTIAN: *Testament zamordowanego zakonnika* – przełożył z francuskiego A.P. (7/586-8/587).
 HARRIS Martyn: *„Już mi łatwiej spojrzeć w oczy śmierci”* – przełożył z angielskiego Pospieszalski Antoni (12/591).
 MIANOWICZ Tomasz: *Ścisłe tajne z Watykanu* (12/591).
 POSPIESZAŁSKI Antoni: *Hierarchia polska po komunizmie* (5/584).
 – *Kilka myśli o przyszłości chrześcijaństwa* 4/583).
 – *Kościół i nauka* (6/585).
 – *Kościół żywy* (3/582).
 – (tłumacz) ob. Martyn Harris (12/591).

Wywiady „Kultury”

- FRONCZEK Zbigniew Włodzimierz: *Plan dla Polski* (rozmowa z Erichem Loestem) (5/584).
 JACKIEWICZ Mieczysław: *Białoruś dziś i jutro* (rozmowa z

- dr. Alesiem Kraucewiczem) (1/580-2/581).
 – *Białoruś jest w rękach Pana Boga* (rozmowa z profesorem Uładzimirem Konanem) (6/585).
 – *Młodość nadzieją Białorusi*. Uwagi o sytuacji na Białorusi wyrażone przez Wasila Bykau (6/585).
 KERSKI Basil: *Otwarty regionalizm* (rozmowa z Robertem Trabą) (9/588).
 KOSSOWSKA Stefania: *O „Prosto z Mostu”* (rozmowa z J. Pietrkiewiczem) (7/586-8/587).
 KRZEMIŃSKA Wanda: *Polska polityka naukowa* (rozmowa z Janem Krzysztofem Frąckowiakiem) (10/589).
 SKÓRZYŃSKI Piotr: *Rozmowa z prof. Januszem Reykowskim* (3/582).
 TYMOWSKI Michał: *Polska polityka naukowa* (rozmowa z Janem Krzysztofem Frąckowiakiem) (10/589).
 ZIELIŃSKA Urszula: *Literatura jest formą eksperymentu* (rozmowa z Bogdanem Czaykowskim) (7/586-8/587).
 ZIÓŁKOWSKA-BOEHM Aleksandra: *Rozmowa z Tadeuszem Olszańskim* (5/584).

Polemiki – Wolna Trybuna

- JAGODZIŃSKI Zdzisław: *Prawda jest inna* (5/584).
 KOSSOWSKA Stefania: *Ratowanie „Wiadomości”* (1/580-2/581).

Sprawy i troski

- BUBNICKI Rafał: *Niech „inni” nie będą „obcy”* (7/586-8/587).
 DASZKIEWICZ Piotr: *Międzynarodowe konsekwencje niszczenia Puszczy Białowieskiej* (4/583).
 – *Odpowiedź rzecznikowi Ministerstwa Leśnictwa* (6/585).
 JERZMAN Marek: *Po drugiej stronie rzeki* (6/585).
Lista członków wspierających Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu (5/584, 7/586-8/587, 11/590, 12-591).
 QUIDNUNC: *Ciury* (1/580-2/581).
 – *Wyjaśnienie* (3/582).
 RATYNIECKI Paweł: *Nauki polskiej droga przez mękę* (10/589).

- SOBKÓW Krzysztof: *Wyjaśnienia rzecznika Ministerstwa Leśnictwa* (6/585).
 SOŁTAN Jerzy: *Czy Polacy sami też burzyli Warszawę?* (1/580-2/581).
 VENULET Jan: *Refleksje z perspektywy lat* (1/580-2/581).
 ŻYDKOWICZ Pola: *O szkole – z troską i nadzieją* (3/582, 4/583).

Ci, co odeszli

- BOCHEŃSKI Jacek: *Moje przygody z Wiktorem, tak jak je pamiętam* (11/590).
 GAGNEBIN Murielle: *Polska obchodzi stulecie urodzin Józefa Czapskiego – z francuskiego przełożył Wojciech Karpiński* (5/584).
Josif Brodski (3/582).
 KARPIŃSKI Wojciech (tłumacz) ob. Gagnebin Murielle (5/584).
 KOSSOWSKA Stefania: *Przygody w łasce* (6/585).
 LEBENSTEIN Jan: *„Być sobą”: o Leonor Fini* (3/582).
 ŁUKASIEWICZ Maciej: *Dariusz Fikus (1932-1996)* (5/584).
 ORŁOŚ Kazimierz: *Nie ma alternatywy dla nadziei* (5/584).
 OSADCZUK Bohdan: *Pożegnanie z Wiktorem Woroszyńskim* (11/590).
 POMIAN Krzysztof: *Roman Cieślewicz (1930-1996)* (3/582).
 SUŁKOWSKA-BIEREZIN Ewa: *Mniej dostrzegani* (1/580-2/581).
 SZYŁEYKO J.Z.: *Profesor Imre Boba* (6/585).
 WIERZYŃSKI Kazimierz: *Rysunek Leonor Fini* (3/582).
 ZAGAJEWSKI Adam: *Ksiądz Zenon Modzelewski* (7/586-8/587).
Z ostatniej chwili: wiadomość o śmierci Marii Łamzaki Mawro (3/582).

Kronika kulturalna

- BARAN Zbigniew: *50-lecie miesięcznika „Znak”* (6/585).
 BERDYCHOWSKA Bogumiła: *Niezwykłe czasopismo* (11/590).
 BOBOWICZ Zofia: *Recepcja literatury polskiej we Francji – uwagi wydawcy* (11/590).
 CZERNIAWSKI Adam: *Wisława Szymborska: bez końca*

- poezja (11/590).
 – *Życie bez poezji jest niemożliwe* (3/582).
 DANIELEWICZ-KERSKI Dorota: *Polska książka w Lipsku* (5/584).
 DASZKIEWICZ Piotr: *Wileński miłośnik storczyków* (12/581).
II Warsztaty artystyczne im. Józefa Czapskiego (5/584).
 FEDECKI Ziemowit: *Symboliczny krzyż na grobie Dymitra Filosofowa* (3/582).
 FRISZKE Andrzej: *Laudatio dla Andrzeja Paczkowskiego* (1/580-2/581).
 GŁOWACKA Renata: *Pismo artystyczne „Format”* (12/591).
 GODLEWSKI Grzegorz: *Portrety autoportrecistów* (12/591).
 GOMBROWICZ Witold: *O Cioranie* (1/580-2/581).
 GÖMÖRI George: *Konferencja o literaturach emigracyjnych* – przełożyła z angielskiego Camilla Mondral (3/582).
 HERTZ Zofia: *Laudatio dla Jacka Krawczyka* (1/580-2/581).
 HOSTOWIEC Paweł: *Rubis d'Orient* (1/580-2/581).
Jubileusz Instytutu Literackiego w Harvardzie (6/585).
 KĘSZYCKA-SZAYDROWA Felicia: *Pogrzeb Henryka Sienkiewicza* (10/589).
 KOŁAKOWSKI Leszek: *Dziedzictwo lektyzmu* (1/580-2/581).
 KOSSOWSKA Stefania: *Laudatio dla Tymona Terleckiego* (1/580-2/581).
 KRZYŻANOWSKI Jerzy R.: *Ostatni apel Sienkiewicza* (10/589).
 KULIK Adam W.: *Sztuka grekokatolików* (7/586-8/587).
 MAURER Jadwiga: *Nowojorska Konferencja o Józefie Wittlinie* (12/591).
 MONDRAL Camilla (tłumacz) ob. George Gömöri (3/582).
Nagrody (9/588, 11/590, 12/591).
Nagrody „Kultury” za rok 1995: Tymon TERLECKI – Nagroda Literacka im. Zygmunta Hertz; Andrzej PACZKOWSKI – Nagroda Publicystyczna im. Juliusza Mieroszewskiego; Jacek KRAWCZYK – Nagroda Przyjaźni i Współpracy (1/580-2/581).
 NEUGER Leopold: *Nobel dla czystej poezji* (12/591).
Oświadczenie polskiego PEN-Clubu (5/584).
Retrospektywa dzieł Tadeusza Kantora (9/588).
 RODAK Paweł: *Notatki po jubileuszu (50 lat „Twórczości”)* (4/583).
 SIENKIEWICZ Henryk: *Patrzenie na naszą Polskę* (10/589).
 SKALMOWSKI Wojciech: *Stefan Kisielewski o „Stalińskim”* (1/580-2/581).

- SZARUGA Leszek: *Dialogi poetyckie* (1/580-2/581).
 – *Próba syntezy polskiej prozy* (5/584).
 – *Zadziwiające?* (6/585).
 TABORSKI Bolesław: *Kontakt '96* (10/589).
 TUSZYŃSKA Agata: *Kto pamięta mur getta?* (7/586-8/587).
 WALAS Teresa: *Kultura polska po komunizmie* (7/586-8/587).
Wyjaśnienia z przeszłości (1/580-2/581).
Wyróżnienia POLCUL Foundation (4/583, 11/590).
 ZAGÓRSKI W.: *„Laboratorium bez murów”* (12/591).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- BARAN Zbigniew: *Wątpię, więc wierzę* (9/588).
 – *Portrety mistrzów* (12/591).
 BERDYCHOWSKA Bogumiła: *Eseje historyczne Iwana Ly-siaka-Rudnickiego* (6/585).
 – *Historia Ukrainy w dwóch wariantach* (3/582).
 – *Rzecz o trudnym dialogu* (10/589).
 BROŃSKI M.: *Bezpośredniość* (3/582).
 – *Bolszewizm i buła* (7/586-8/587).
 – *Cracoviana poetica* (6/585).
 – *Droga do Zabulistanu* (5/584).
 – *Sodoma bez Gomory* (9/588).
 – *„Wallenrodów sto tysięcy...”* (4/583).
 CHRZANOWSKI Tadeusz: *Szabasy z Brandstaetterem* (6/585).
 – *Nieco wspomnień o Logofagach* (10/589).
 CYBULSKA Maja Elżbieta: *Superlatyw bez pokrycia* (5/584).
 CZERWIAKOWSKA Ewa: *Powrót „rymopisa czasu nieswego”* (9/588).
 DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Być Francuzem, nie będąc Francuzem* (7/586-8/587).
 – *Gorące popioły* (12/591).
 – *„Mamo, biją” czyli ciąg dalszy Wielkiej Wojny* (4/583).
 – *Odstanianie kurtyny* (11/590).
 DASZKIEWICZ Piotr: *Uchronić ich od zapomnienia* (10/589).
 DOBOSZ Andrzej: *Dzienniki Karola Irzykowskiego* (7/586-8/587).
 HALIKOWSKA-SMITH Teresa: *Zofia Ilińska – dwujęzyczna poetka* (1/580-2/581).
 HNATIUK Ola: *Na przełęcz światów* (1/580-2/581).

- KERSKI Basil: *Co nas łączy, co nas dzieli* (7/586-8/587).
 KLESZCZYŃSKA-ESTEVES Krystyna: „*Odkrywanie Ameryki*” (4/583).
 KOSSOWSKA Stefania: *Ruchome schody* (10/589).
 KOWALCZYK Andrzej: *Nieznane utwory znanego (?) autora* (5/584).
 LÖW Ryszard: *Maria Hochberg-Mariańska* (5/584).
 MILEWSKI Jan Jerzy: *Tożsamość narodowa mieszkańców pogranicza polsko-białoruskiego* (11/590).
Nadesłane nowości wydawnicze (1/580-2/581, 3/582, 4/583, 5/584, 6/585, 7/586-8/587, 9/588, 10/589, 11/590, 12/591).
 PAKULSKI Jan: *Studia litewskie na Tasmanii* (4/583).
 POMIAN Grażyna: *DO czy OD demokracji* (3/582).
 – *W poszukiwaniu tożsamości* (7/586-8/587).
 POSPIESZALSKI Antoni: *Młodość polskiego Kościoła* (9/588).
 STROŃSKA Anna: *Przemysł bez Przemysłu* (1/580-2/581).
 SZARUGA Leszek: „*I co z tego, że to prawda*” (9/588).
 – „*Mogło was nie być*” (4/583).
 – „*Wświecenie*” (5/584).
 – *Zrozumieć swój los* (1/580-2/581).
 – *Życie na pograniczu* (3/582).
 SZAWIR P.: *Mędzy Polakami* (4/583).
 TAYLOR Nina: *Wiersze znad Dżwiny* (4/583).
 VINCENZ Andrzej: „*Węgry moja miłość*” (5/584).
 WANDYCZ Piotr: *Zapomniana książka* (12/591).
 WĘGRZYŃSKI Rafał: „*Raptularz*” Zbigniewa Raszewskiego (6/585).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

- GÖMÖRI George: *Konferencja o literaturach emigracyjnych* – przełożyła Camilla Mondral (3/582).
 STANKIEWICZ Władysław J.: *Czym jest post-totalitaryzm* – przełożył Bogdan Czaykowski (3/582).
 HARRIS Martyn: „*Już mi łatwiej spojrzeć w oczy śmierci*” – przełożył Antoni Pospieszalski (12/591).

Z języka białoruskiego

- ZAKONNIKAU Siarhiej: *My* – przełożył Czesław Seniuch (7/586-8/587).

Z języka czeskiego

- HAVEL Vaclav: *Postkomunizm* – przełożył Aureliusz Marek Pędziwol (1/580-2/581).

Z języka francuskiego

- GAGNEBIN Murielle: *Polska obchodzi stulecie urodzin Józefa Czapskiego* – przełożył Wojciech Karpiński (5/584).
 NIVAT Georges: *O dysydentach raz jeszcze* – przełożyła Teresa Dzieduszycka (10/589).

Z języka rosyjskiego

- CZAPLIN Wsiewołod: *Neutralny – lecz nie obojętny* – przełożyła Jolanta Chojak (12/591).

Biobibliografia

- Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1996* (12/591).
 KORZEC Michał: *Nota biograficzna* (5/584).
 LOEST Erich: *Nota biograficzna* (5/584).
 TRABA Robert: *Nota biograficzna* (9/588).
Wykaz książek Biblioteki „Kultury” (5/584, 10/589).

Listy do Redakcji

- ALBRECHT Andrzej (3/582). BERBERYUSZ Ewa (12/591).
 BIELICKA Regina (5/584). BIELICKA Władysława (5/584).
 BUDIMEX S.A. (9/588). BYRSKI Zbigniew (9/588). CHYLIŃSKA Kamila (3/582). CYBULSKA Maja Elżbieta (1/580-2/581). DOBROWOLSKI Paweł (3/582). GILL Władysław (7/586-8/587). GOŁĄB Tomasz (5/584). JÓŻWIECKI Krzysztof (3/582). KARNKOWSKI Kazimierz (3/582). KERSKI Basil (6/585). KORASZEWSKI Andrzej (11/590). KOSSOWSKA Stefania (5/584). KRÓTKI Karol J. (3/582). LEWANDOWSKI Józef (1/580-2/581). ŁUKASZEWSKI Jerzy (9/588). MIANOWICZ Tomasz (3/582). NASIELSKI Adam

(9/588). ORŁOWSKA K. (3/582). PĘDZIWIOL Aureliusz Marek (1/580-2/581). SMOLAR Aleksander (6/585). STANKIEWICZ Zygmunt (7/586-8/587). STUDNICKI-GIZBERT Konrad W. (9/588). SZARF Adam (3/582). SZCZYGIELSKI W.M. (7/586-8/587, 11/590). TAYLOR Nina (4/583). TOMASZKIEWICZ Jan A. (4/583). VENULET Jan (5/584). WALICKI Andrzej (3/582). WANDYCZ Piotr (9/588). WOLSKA WEGNER Maria (3/582). ZAJEWSKI W. (11/590). ZIÓŁKOWSKA-BOEHM Aleksandra (1/580-2/581). ŻÓŁTOWSKA WEINTRAUBOWA Maria Ewelina (9/588).

Odpowiedzi Redakcji (1/580-2/581, 3/582, 4/583, 9/588, 12/591).

Różne

BAKUŁA Bogusław: *Sprostowanie* (3/582).
Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim (6/585, 10/589).
Komunikat Komisji Fundacji Stypendialnej im. Jana i Suzanne Brzękowskich (10/589).
Komunikat Komisji Fundacji Stypendialnej im. Stanisława Lama (10/589).
Komunikat Nr 2 Zarządu Fundacji „Polska Katedra w Uniwersytecie Jerozolimskim” (3/582).
Komunikat o pracach nad Słownikiem Emigracyjnej Kultury (3/582).
Komunikat Towarzystwa Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu (1/580-2/581).
Komunikat: Uniwersytet Letni Kultury Polskiej – Rzym (9/588).
Komunikat Wydawnictwa Historyczno-Literackiego w Paryżu (9/588).
KRAWCZYK Marek: *Apel* (1/580-2/581).
Nagroda „Odry” 1995 (3/582).
Nagroda pisarska Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie im. Edwarda Raczyńskiego (3/582).
Nagrody „Literatury na świecie” za rok 1995 (6/585).
Nagrody Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego i inne (5/584).
Nagrody Towarzystwa Demokratyczno-Społecznego i „Literatury na świecie” (6/585).
REDAKCJA: *Odpowiedź na marginesie listów otrzymanych w*

związku ze śp. ks. Janem Franią (3/582).
REDAKCJA: *Wyjaśnienie w sprawie Quidnunc* (3/582).
SIKORA Wojciech: *Komunikat Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej* (4/583).
Sprostowania Redakcji (1/580-2/581, 3/582).
Wpłaty na pomoc Polakom w Równem na Wołyniu (5/584).
Wpłaty na Fundusz Katedry Polskiej w Jerozolimie (3/582).
Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/580-2/581, 3/582, 4/583, 5/584, 6/585, 7/586-8/587, 9/588, 10/589, 11/590, 12/591).
Wpłaty na pomoc Polakom w Rosji (1/580-2/581, 5/584, 9/588).
Wpłaty na Szkoły Polskie na Wschodzie (7/586-8/587).
ZAMORSKI Kazimierz: *Apel do Żołnierzy II Korpusu* (10/589).
ŻÓŁTOWSKA WEINTRAUBOWA Maria Ewelina: *Sprostowanie* (9/588).

Wydawnictwa książkowe Biblioteki „Kultury” w roku 1996

Tom 492 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 115). Str. 240.
Tom 493 – J. Krawczyk, J. Szymański – *Bibliografia* (Zeszyty Historyczne 1-110). Str. 240.
Tom 494 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 116). Str. 240.
Tom 495 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 117). Str. 240.
Tom 496 – *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 118). Str. 240.

Numery Kultury: marcowy (3/582), wrześniowy (9/588) i grudniowy (12/591) miały po stron 176.

Dla orientacji Czytelników podajemy spis zawartości Zeszytów Historycznych wydanych w 1996 roku:

Zeszyt 115-ty: A. Paczkowski: R.T. Gerlach: *Ani niedźwiedzi, ani lasu, ani nic: tragedia getta warszawskiego*; M. Turlejska: *Przyczynek do losów prawników polskich w latach 1935-53*; T. Skinder-Suchcitz: *Próby uwolnienia okrętów podwodnych z internowania w Szwecji. Wrzesień 1939 – czerwiec 1940*;

J. Wróbel: *Polacy w Afryce Wschodniej i Południowej 1941-1950*; J. Straszak: „Szkoła szpiegów”; M. Paziewski: *Opozycja polityczna à la PRL*; T. Wyrwa: *Antologia literatury katyńskiej*; T. Wyrwa: *Pokolenie akowskie w pamiętnikarskim piśmiennictwie*; Z.S. Siemaszko: „Liście na wietrze”; J. Hera: „Dlaczego ob. Korzeniowski kłamie?”; H. Świdarska: *Z dziejów polskiej prasy w Anglii 1944-45*; K. Zamorski: *Z Kołomy do Andersa*; OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Zeszyt 116-ty: Cz. Brzoza: *Zapomniana armia. Polskie oddziały wartownicze w Europie (1945-1951)*; A. Paczkowski: *Cenzura 1946-1949: Statystyka działalności*; T. Mianowicz: *Stan wyższej konieczności*; N. Kłosowska-Wohlman: *Dwa lata więzienia*; A. Kobyliński: „Mamusiu – czy to Ruscy?”; P. Wandycz: *Nowe książki*; T. Wyrwa: *Historycy o agresji 17 września 1939*; E. Halicz: *Zachód a granice Polski 1920-1940*; K.A. Kuczyński: *Uchodźcy polscy w Rumunii*; W. Zajewski: *Dyplomacja Prus, Austrii i Rosji wobec Konstytucji 3-go maja 1791*; A. Stach: *Polski „Urząd Gaucka”*; P. Wandycz: *Konfederacja polsko-czechosłowacka: dokumenty*; T. Wyrwa: *Audycje radiowe nadawane z Londynu*; J. Kleszczyński: *Świadkowie historii: Wiesław Domaniewski, Mord katyński w dokumentach SOE*; P. Daszkiewicz: *Pamiętki polskie w zbiorach manuskryptów Narodowego Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu oraz obszerny dział LISTÓW DO REDAKCJI*.

Zeszyt 117-ty: A. Ziółkowska-Boehm: *Rozmowa z inż. Zdzisławem Julianem Starosteckim*; T. Dubicki: *Próba ucieczki płk. Becka z Rumunii (20.10.1940) w świetle archiwaliów rumuńskich*; A. Grzywacz: *Polski plan operacyjny „Wschód” a planowanie sowieckie w 1939 r.*; E.J. Feuerman: *Moi lwowscy profesorowie*; A. Lebień: *Zmierzch imperium albo odrodzenie Rosji*; W. Rojek: *Dwa „jałtańskie” raporty ambasadora Kajetana Morawskiego*; R. Bortnowski: *Daniłowski Dietprijomnik*; Cz. Bielecki: *Teresa Lechnicka-Affeltowicz*; M. Danilewicz Zielińska: *Przeoczony*; B. Berdychowska: *To jest przełom...* (Rozmowa z Eugeniuszem Mironowiczem); T. Wyrwa: *Na*

rozdrożu interpretacji najnowszych dziejów Polski; N. Taylor: „Kresy” Jacka Kolbuszewskiego; W. Zajewski: *Zagadki Sejmu Czteroletniego*; A. Friszke: *Sprawa Hanny Rewskiej*; G. Mazur: *Uzbrojenie Armii Krajowej. Stan faktyczny*; K. Tarka: *Polska Hierarchia a Litwini*; M. Rudzki: *Winietki okupacyjne (II). Pacyfikacja Nałęczowa i LISTY DO REDAKCJI*

Zeszyt 118-ty: Z.S. Siemaszko: *Jeńcy z Pawliszczew Boru*; T. Mianowicz: *Rozmowy Marszałka Kulikowa z kierownictwem PRL w marcu 1981 r. Dokument z Archiwów Ministerstwa Obrony NRD*; B. Taborski: „Moja wojna” – *Początek i koniec*; M. Bernhardt: *Szkoła Wawelberga i Politechnika Warszawska w latach 1940-1944*; B. Schenkel: *Do Redakcji „Zeszytów Historycznych”*; J. Chrzanowski: *Dyszlowy z Birkenau*; K. Tarka: *Litwini w powojennej Polsce 1944-1950*; B. Nitschke: *Wysiedlenia Niemców w czerwcu i lipcu 1945 r.*; G. Mazur: *Z kart wojennej służby Czesława Zgorzelskiego*; J. R. Krzyżanowski: „Polski” *rozdział u Aksjonowa*; T. Wyrwa: *Francuzi i Polacy podczas okupacji niemieckiej*; L. Hass: *Wolnomularstwo w Polsce współczesnej*; M. Rudzki: *Winietki wyzwolenia i drugiej okupacji i LISTY DO REDAKCJI*.



WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne

oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4^{re} trimestre 1996.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1997			
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifschies, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszkó, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, tel.: (312) 489-2554; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 493

JACEK KRAWCZYK – JANUSZ SZYMAŃSKI

BIBLIOGRAFIA

**ZESZYTY HISTORYCZNE Nr 1-110
(1962-1994)**

Str. 240

Cena F. 100,00



Tom 496 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO OSIEMNASTY

zawiera opracowania: Z.S. Siemaszko: *Jeńcy z Pawliszczew Boru*; T. Mianowicz: *Rozmowy Marszałka Kulikowa z kierownictwem PRL w marcu 1981 r.* Dokument z Archiwów Ministerstwa Obrony NRD; B. Taborski: „*Moja wojna*” – *Początek i koniec*; M. Bernhardt: *Szkoła Wawelberga i Politechnika Warszawska w latach 1940-1944*; B. Schenkel: *Do Redakcji „Zeszytów Historycznych”*; J. Chrzanowski: *Dyszłowy z Birkenau*; K. Tarka: *Litwini w powojennej Polsce 1944-1950*; B. Nitschke: *Wysiedlenia Niemców w czerwcu i lipcu 1945 r.*; G. Mazur: *Z kart wojennej służby Czesława Zgorzelskiego*; J. R. Krzyżanowski: „*Polski*” *rozdział u Aksjonowa*; T. Wyrwa: *Francuzi i Polacy podczas okupacji niemieckiej*; L. Hass: *Wolnomularstwo w Polsce współczesnej*; M. Rudzki: *Winiетки wyzwolenia i drugiej okupacji* i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240 Cena F. 90,00

Cena 55 F